POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT
PIERWSZY Z CYKLU DODATKÓW

WIZYTY W AUSCHWITZ
CZEGO O POLSCE DOWIADUJĄ SIĘ MŁODZI ŻYDZI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 10 (275) 2018
5–11 marca
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

PRANIE BRUDÓW W PO

TRZASKOWSKI I JEGO TAJEMNICE

ILE JEST PRAWDY W SENSACYJNYCH ZARZUTACH WOBEC KANDYDATA PLATFORMY NA PREZYDENTA WARSZAWY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

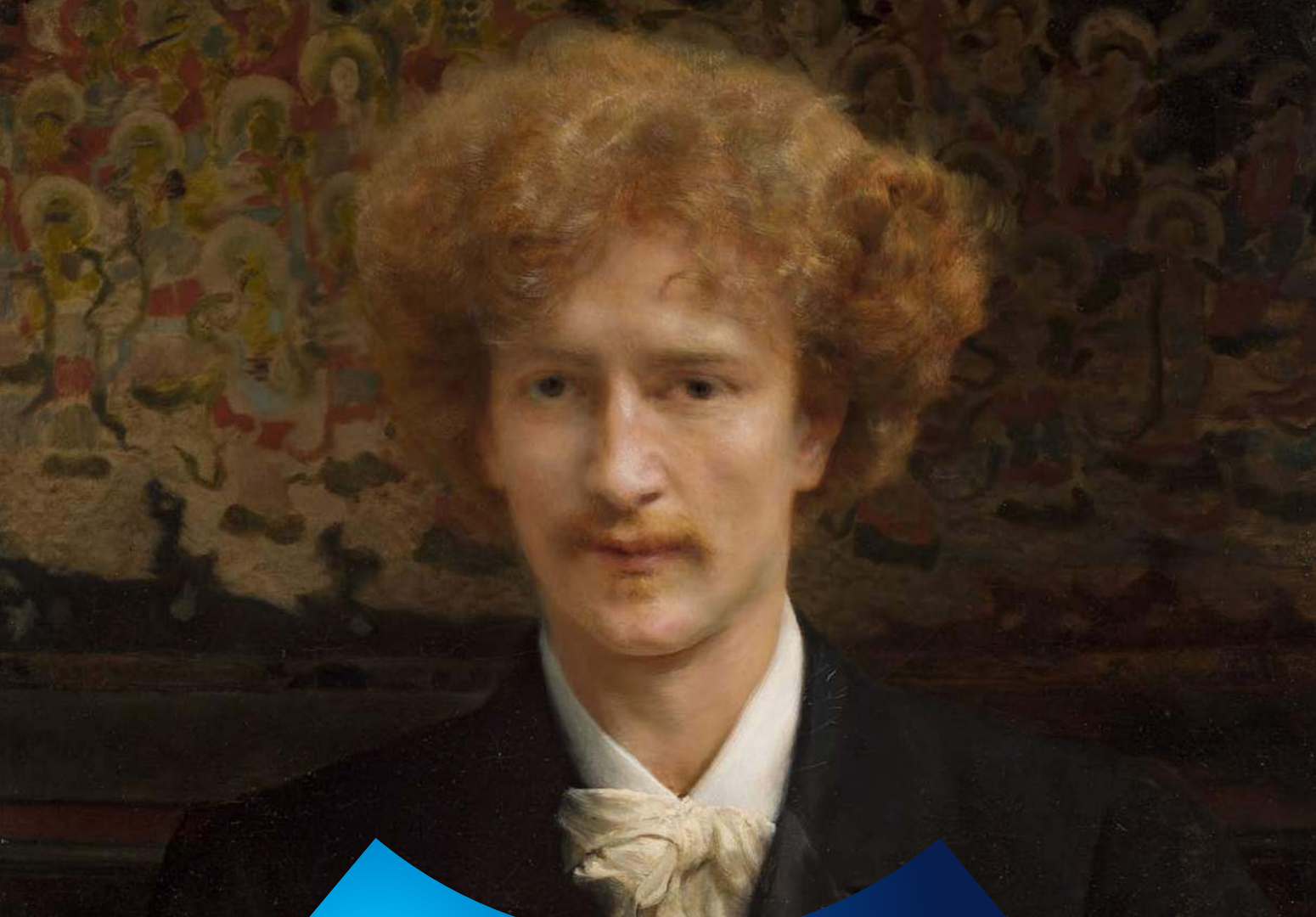

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

PZU mecenasem wystawy „Paderewski” w Muzeum Narodowym w Warszawie

Z dumą zapraszamy na wystawę poświęconą Ignacemu Janowi Paderewskiemu, który na kartach naszej historii zapisał się jako wybitny pianista, kompozytor i jeden z najważniejszych polskich działaczy niepodległościowych.

Wystawę można oglądać do 20 maja 2018 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie.

pzu.pl

eprasa.pl e12a91f2d0

Spalili się

Zaprezentowane na antenie telewizji TVN widowisko zatytułowane „Fabryka patriotów" grupy (przepraszam za wulgarność, nie moja wina) Pożar w Burdelu nie zebrało ani dużej widowni, ani dobrych recenzji. Zacytuję jedną z nich: „W spektaklu pojawiły się piosenki z niezagłuszonymi przekleństwami, patriotyczne plemniki i żarty z »wciągania« prochów przodków, hipisowska piosenka śpiewana przez »Wandę, przyjaciółkę papieża«, piosenka martwego płodu występującego wspólnie z prof. Chazanem". Jeśli więc warto odnotować to przedsięwzięcie (więcej o tym w artykule Krzysztofa Feusette'a na stronach 36–37), to z dwóch powodów. Po pierwsze, na widowni zaśmiewali się do łez m.in. Piotr Kraśko i Katarzyna Kolenda-Zaleska, przyjaciele biskupów, dziennikarze robiący kariery na relacjonowaniu żałoby narodowej po odejściu Jana Pawła II. Coś tam wyszło im z butów. Po drugie, widzimy, że TVN (i podobne środowiska) co jakiś czas sprawdza bojem, czy już zmienił się społeczny klimat, czy już można włączyć rechot i szyderstwo, które z takim powodzeniem były używane w okresie pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości. Bo sprowadzenie walki o kształt Polski do kwestii „obciachowości" to coś, w czym, z braku oferty programowej, przy własnej przewadze medialnej, establishment III RP czuje się najlepiej.

Niesmak, z jakim przyjęto całe przedsięwzięcie, napawa jednak optymizmem. Tym razem spalili się sami.

Michał Karnowski

Protest i problem

Fakt, że młodzi radykalni działacze lewicowi zdecydowali się protestować przeciw kultowi Żołnierzy Wyklętych w sam dzień ich święta, i to pod zmienianym dziś w muzeum-panteon gmachem aresztu na Rakowieckiej, mówi nam coś smutnego. Nie o Wyklętych, tylko o radykalnej lewicy właśnie.

Ja sam nie jestem wyznawcą powojennej partyzantki. Dostrzegam jej bohaterstwo, ale też to, że tragizm położenia sprzyjał ześlizgiwaniu się części Wyklętych w sferę bliską bandytyzmowi. Zdaję sobie sprawę z tego, że wielu spośród nich ożywiał żar nie tylko patriotyzmu, lecz również nacjonalizmu, co miewało zbrodnicze konsekwencje.

Tylko że znacznie ważniejszym wymiarem krwawej epopei już nie niektórych, tylko wszystkich Wyklętych był fakt, że z bronią w ręku bronili Polski przed oczywistym gwałtem zadawanym jej przez obcą przemoc. I nie sposób nie uznać, że właśnie ten wymiar – a nie paskudne incydenty – wyznacza ich miejsce w historii.

Ci, którzy nie chcą tego uznać (a oprócz radykalnych lewicowców mam tu na myśli również wielu liberałów), dają w ten sposób wyraz swojemu zasadniczemu problemowi. Ten problem to rozmaicie motywowana niechęć do nazwania po imieniu tego, co uczyniono z Polską w 1944 r. A ci, którzy na miejsce protestu wybierają sobie gmach, gdzie Wyklętych katowano i mordowano, nie unikną posądzenia o apologię już nawet nie komunizmu, tylko stalinizmu. I będą sami sobie winni.

Piotr Skwieciński

37/0118/F
eprasa.pl e12a91f2d0

SIECI spis treści

26 **Wszystkie wojny Schetyny**
Stanisław Janecki

29 **Z Markiem Suskim**
rozmawia Dorota Łosiewicz

59-74 **Polacy, którzy zmienili świat**
Dodatek edukacyjny (odc. 1)

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

9 **ŚCIEPA NA ŚCIEMĘ**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
Piotr Skwieciński

12 **NEWSY, FUSY, PSIKUSY**
Jan Pietrzak

13 **ROCZNICE POROZUMIENIA CZY KONFLIKTU**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **TRESEROWI DZIĘKUJEMY**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **TRZASKOWSKI I JEGO TAJEMNICE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 **WSZYSTKIE WOJNY SCHETYNY**
Stanisław Janecki

29 **Z MARKIEM SUSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

33 **PRIORYTETEM BEZPIECZEŃSTWO**
Jan Parys

36 **RECHOT NA ZGLISZCZACH**
Krzysztof Feusette

38 **KOMPROMITUJĄCE PIERWSZE MIEJSCE**
Jan Rokita

40 **OBALANIE GENERAŁA**
Jaromir Kwiatkowski

42 **Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM**
rozmawia Jacek Karnowski

46 **PRANIE MÓZGÓW**
Konrad Kołodziejski

49 **WSZYSCY POLACY BYLI SPRAWCAMI HOLOKAUSTU?**
Piotr Skwieciński

52 **Z PROF. JERZYM EISLEREM**
rozmawia Piotr Zaremba

56 **BISKUPI W OBRONIE STUDENTÓW**
Rafał Łatka

SIECI KULTURY

75 **MACIEJ ZAKOŚCIELNY. ZA ZDROWIE PAŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna

77 **NA FRONCIE WOLNOŚCI SŁOWA**
Łukasz Adamski

82 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

84 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

86 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

88 **Z MAGDALENĄ GAWIN**
rozmawia Marcin Fijołek

90 **USTAWA GOWINA**
Wojciech Reszczyński

91 **GLOGER W TYKOCINIE**
Wojciech Wencel

92 **ŻYCIE POLITYCZNE DZIKICH**
Dariusz Karłowicz

ŚWIAT

93 **Z ANCĄ-MARIĄ CERNEĄ**
rozmawia Grzegorz Górny

96 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

98 **Z ALICJĄ BARBARĄ KLIMIUK**
rozmawia Kajetan Kutnowski

SPORT

114 **A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE**
Jaromir Kwiatkowski

KUCHNIA

120 **MOJE SMAKI: BEATA ŚCIBAKÓWNA**
Jolanta Gajda-Zadworna

121 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

122 **RADŻOWIE RZĄDZĄ W LONDYNIE**
Piotr Skwieciński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **NIECH SIĘ PALI**
Wiktor Świetlik

125 **CUMULONIMBUS CALVUS**
Aleksander Nalaskowski

126 **ANNUSZKA KUPIŁA OLEJ**
Robert Mazurek

127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

128 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

130 **NEUROAUTORYTARYZM**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

26/0218/F

eprasa.pl e12a91f2d0

ALARM!

„Alarm!” w TVP1

Polski żołnierz, weteran z Kosowa, zostaje w lesie zastrzelony przez myśliwego. Dlaczego sprawca tego czynu do dziś nie poniósł kary? Czy winę ponosi opieszały wymiar sprawiedliwości, czy może raczej lokalny układ broniący wpływowego członka koła łowieckiego?

Jest taka gmina, której władze postanowiły skorzystać z unijnych funduszy w sposób wyjątkowo oryginalny. Otóż dzięki pieniądzom z programu służącemu rozwojowi rybołówstwa wybudowano... sklep znanej sieci handlowej. Czy miało to związek z własnością gruntu, na którym stanął, i rodzinnym powiązaniom właścicieli z władzami gminy? Jaka jest skala podobnie dziwacznych inwestycji w całej Polsce?

Człowiek skompromitowany w głośnej aferze, z długą listą prokuratorskich zarzutów, zostaje właśnie dyrektorem prestiżowego ośrodka wypoczynkowego prowadzonego przez szanowaną instytucję naukową. Jak to możliwe? Czy decydentom zabrakło wiedzy, rozsądku, czy może raczej uznali, że sprawa wątpliwej nominacji nie wyjdzie na jaw, a skryty w mazurskich lasach dyrektor ośrodka spokojnie będzie pobierał sowite wynagrodzenie?

Ostrzeżenia przed smogiem spowijającym polskie miasta są niczym wobec tajemnicy, jaka kryje się za substancją przypominającą węgiel, która trafia do składów w całym kraju, a ostatecznie do tysięcy indywidualnych pieców. Co zawiera pseudowęgiel, skąd pochodzi i jakie skutki wywołuje dym po jego spaleniu?

Te i mnóstwo innych spraw – spraw ważnych, ciekawych, skrytych dotąd przed oczami opinii publicznej – pojawi się w nowym programie reporterskim telewizyjnej Jedynki „Alarm!”. Od poniedziałku do piątku, w porze największej oglądalności, bo o 20:15, reporterzy TVP będą informować, ujawniać, ostrzegać i pomagać. Będą pokazywać prawdziwe historie i realne problemy. – Liczymy na ścisłą i owocną współpracę z naszymi widzami. Chcemy być interaktywni. Mamy nadzieję, że kopalnią ciekawych, inspirujących tematów podejmowanych przez reporterów „Alarmu!” będą właśnie sygnały płynące od tych, którzy nas oglądają. To ma być program współtworzony przez widzów – zapowiada Przemysław Wenerski, szef redakcji.

W „Alarmie!” znajdą się materiały o charakterze interwencyjnym, śledczym, dotykające ludzkich dramatów. – Obywatele skrzywdzeni przez niekompetentnych urzędników, rozzuchwaloną lokalną władzę czy nieumiejący znaleźć sprawiedliwości w sądach będą mogli liczyć na zainteresowanie i pomoc naszych reporterów – deklaruje Jacek Łęski, prezenter programu.

Ale w audycji pojawią się także historie interesujących, choć niekoniecznie wszystkim znanych ludzi. – W piątki zamierzamy przygotowywać wydania o nieco lżejszym charakterze, wprowadzające widzów w weekendowy nastrój. Jest przecież wokół nas mnóstwo dobra, uśmiechu i pozytywów, które również zasługują na to, by je pokazać – mówi Agnieszka Świdzińska, prezenterka i wydawca piątkowych odcinków „Alarmu!”.

Ekipę nowej audycji telewizyjnej Jedynki tworzą dziennikarze z reporterskim doświadczeniem i dorobkiem. Co ważne, wielu z nich to ludzie z terenu, doskonale znający lokalne realia i problemy. I to właśnie one będą stanowiły istotną część programu, w myśl przekonania, że „Polska gminna” i „Polska powiatowa” są tymi, którym w mediach ogólnokrajowych poświęca się zdecydowanie za mało uwagi. Dodatkowym wsparciem dla zespołu ma być współpraca z redakcją „Super Expressu”.

By przekonać się, jak ważną, ciekawą i unikatową pozycją na rynku telewizyjnym jest nowy projekt telewizyjnej Jedynki, wystarczy jedno: włączyć „Alarm!”, od poniedziałku do piątku o 20:15.

eprasa.pl e12a91f2d0

Z życia koalicji

Premie dla ministrów? No ludzie, nie czepiajcie się! Henio Kowalczyk od środowiska ogłosił, że to właściwie nie są premie, ale nadgodziny i należą mu się jak psu kość. Ale wszystkich zabiedzonych ministrów przebił ten mniej istotny z Jarosławów, czyli ***Gowin***. Otóż wyznał on, że kiedy jeszcze wysługiwał się zbrodniczemu reżimowi Tuska jako minister sprawiedliwości, to był tak krańcowo ubogi, że nie starczało mu do pierwszego. Na szczęście nie było tak źle, by musiał pawiom chleb w Łazienkach wyjadać. Same mu przynosiły w podziękowaniu za deregulację.

Gowinowi zaraz znaleziono oświadczenie majątkowe i wyszło, że za ministrowanie u Tuska zarabiał 17 520 zł miesięcznie. No i rację ma! A gdzie dodatek za służbę u zdrajców ojczyzny?!

Różnymi rzeczami chwalą się ludzie w internetach. Na ten przykład minister od czegoś tam Jerzy Kwieciński w czasach ekscytacji zimowym wejściem na K2 popisał się fotkami z zimowego wejścia na Małą Rawkę w Bieszczadach (1267 m). A przy okazji powiedział, że to dla niego nie pierwszyzna, bo wlazł tam zimą po raz trzeci. Następnym razem spotka u góry pikietę KOD.

A może i nie spotka, bo KOD zamarzł. Nieszczęsny Krzysztof Łoziński, czyli neo-Kijowski,przyznaje, że coraz trudniej ludzi wyprowadzić na ulicę, bo co prawda PiS nadal nie lubią, jakżeby inaczej, ale w nich duch osłabł. No sorry, PiS można nie lubić, ale żeby na demonstracje KOD chodzić, to trzeba być mądrym jak Róża Thun.

Ale zostawmy opozycyjne KOD-y i inne takie (serdeczności dla Mateusza Kijowskiego i jego nowego stowarzyszenia, które inauguruje swą działalność od zbiórki forsy dla najbardziej zasłużonych działaczy!). Minister Kwieciński stwierdził bowiem, że w Bieszczadach częściej niż niedźwiedź brunatny występuje marszałek Kuchciński.

Niezłe używanie ma teraz Witold Waszczykowski. Owszem, zdegradowany i pozbawiony ministerialnego stolca, owszem, wciąż dostać nie może upragnionego szefostwa sejmowej komisji, ale za to uśmiechnął się do niego los. Jak? Oto jego następca wpadł po uszy w drakę z Izraelem. „Mogą teraz marzyć o takich problemach jak przejęzyczenie z San Escobar" – palnął Waszczu i wypiął dumnie pierś. Ech, wciąż aktualne pozostaje sienkiewiczowskie zawołanie: Kończ, Waszcz, wstydu oszczędź.

Do Jerozolimy pojechała komisja rządowa do rozmów z Izraelem, ta z wiceministrem Cichockim i Bronkiem Wildsteinem. Sprawę skomentował Ekscelencja Minister Suski, cytujemy: „Nie jedziemy do Izraela negocjować treść ustawy". My, Susłowie drogi?! Jak to było? Konia kują, żaba nogę podstawia? Choć akurat obecność Suskiego w Jerozolimie, zwłaszcza w dzielnicy Mea Sharim, byłaby uzasadniona. W końcu to światowe zagłębie peruk.

Spotkaliśmy pisowskiego ministra, skapcaniałego nieco. Chodziło mu o komisję ds. Amber Gold. „Co za niewykorzystana szansa! Daliśmy tam naszą trójkę, by się wypromowała przed wyborami samorządowymi i kandydowała na prezydentów. Jarek Krajewski miał startować w Warszawie, ale szybko się okazało, że sobie kompletnie nie radzi. Joasia Kopcińska znów miała kandydować w Łodzi, ale to nie to, widać, że przegra. Najlepiej sobie poradziła Małgosia Wassermann, ale i tak ją polubił tylko nasz elektorat, a w Krakowie to za mało". Hm, wygląda na to, że z całej komisji awansował tylko Ekscelencja Suski.

PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl e12a91f2e0

Z życia opozycji

Ostatnio pewien polityk PiS zadał nam pytanie, czy ***Grzegorz Schetyna*** jest naprawdę twardy, bo jemu się wydaje, że nie. Otóż Schet jest odporny na ciosy jak mało kto w polskiej polityce i mimo wszystko nie można go lekceważyć. Był już na wylocie z PO, a jest jej szefem. Miał być zjedzony przez Nowoczesną, a Nowoczesnej prawie nie ma. Miał się podporządkować KOD, a kto dziś pamięta o tej śmiesznej organizacji. Schet przeżyje i na Antarktydzie, ale czy coś sensownego zrobi, to już insza inszość.

Bo ostatnio np. przewodniczący PO palnął coś o wprowadzeniu euro w Polsce. To ma być ta pozytywna wizja, cel, który rozpali wyobraźnię Polaków, odciągnie ich od PiS i pchnie w ramiona Platformy Obywatelskiej. Obawiamy się, że reakcje ludu będą raczej takie: „Patrzcie, nakradli złotówek, teraz chcą kraść euro, cwaniaki".

Prezydenta Adamowicza do niekandydowania na prezydenta Gdańska publicznie namawiał ekspremier Wałęsa. Przysłuchiwał się temu Schetyna z dość głupią miną. I chyba głupia mina najlepiej pasowała do tej sytuacji.

Pawła Piskorskiego poznaliśmy, kiedy był chudym przystojniakiem i najmłodszym liderem Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Teraz gabarytami przypomina nas i jest szefem Stronnictwa Demokratycznego. I właśnie skończył 50 lat, a my życzymy mu następnych 50. Kiedy to się wszystko stało? Czas już kończyć tę rubrykę. Za starzy na to jesteśmy. Powinniśmy zostać szefami SD czy czegoś tam.

Nowoczesna okopała się na granicy 5–6 proc. i na razie bohatersko trzyma przyczółek po parlamentarnej stronie rzeczywistości. Walcząca o przetrwanie Katarzyna Lubnauer cały czas zadaje sobie pytanie, jak to się stało, że Nowoczesna stanęła na progu zagłady. Oczywiście może to efekt tego, że jest fatalnym liderem, ale bardziej prawdopodobne jest to: Polacy to naród mizoginów i seksistów.

Niejaki Michał Dzięba prześladuje Rafała Trzaskowskiego. Panowie kiedyś, zdaje się, mieszkali w jednym pokoju, ale teraz Dzięba oskarża Trzaskowskiego o wszelkie możliwe przewiny, od korupcji po wciąganie koksu. Szczerze mówiąc, mieliśmy Trzaskowskiego za kompletnie drętwego cyborga, ale skoro wciągał koks, to widać są w nim jakieś ludzkie cechy. Skądinąd dziwnie to się układa w tej Platformie – wciąga niby Trzaskowski, a to Nitras gada jak naćpany.

Kandydat na prezydenta Warszawy ustosunkował się w końcu do zarzutów Dzięby, bo tenże oskarżał go, gdzie się tylko dało. Trzaskowski ogłosił, że Dzięba jest świrem i leczy się psychiatrycznie. Co od razu w naszych oczach podniosło wiarygodność Dzięby. W Polsce świry często mają rację.

Miło, że Polacy wreszcie się zjednoczyli. Nie słyszeliśmy bowiem ani jednego pozytywnego głosu o kabaretowym spektaklu Pożaru w Burdelu, który zaprezentował TVN. Wszyscy, ale to wszyscy jednym głosem stwierdzili, że to absolutne dno. A Pudelek napisał nawet, że brakuje słów, żeby opisać poziom zaprezentowanej żenady. Czyli jest jeszcze dla nas jako narodu nadzieja, a wszystko to zasługa kabaretowej trupy z Warszawy. Ojczyzna wam tego nie zapomni!

TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Andrzej Skwarczyński, Robson90/Shutterstock.com

eprasa.pl e12a91f2d0

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Kamienica przy al. Szucha 16 – to tam miał swoje biuro jeden z głównych macherów dzikiej reprywatyzacji w Warszawie, Jakub R. To tam mieszkała jego matka, która kupiła lokum od rodziny komunistycznego generała bezpieki Władysława Ciastonia. Teraz w tym samym lokalu mieszka ***Monika Olejnik***. To się nazywa ciągłość. Chyba czas na remake serialu „Dom". Ciecia powinien zagrać Paweł Graś.

W ramach obrony ***emerytur esbeckich*** SLD zorganizował konferencję w Parlamencie Europejskim. UDeków bronił m.in. szef MSW z lat 90. Henryk Majewski. „Oni dzisiaj są pozbawieni emerytur, źródeł utrzymania" – gdy to mówił, omal się nie rozpłakał. To jest problem ubeków: płaczą nad esbekami, nie płaczą nad ich ofiarami.

„Wyborcza" z kolei płacze, że wolna Polska nie chce się kajać za frakcyjną wojnę komunistów z wykorzystaniem antysemityzmu, czyli za ***Marzec 1968 r.*** Ocenia, że „rozpoczęto niebezpieczną grę historyczną podważającą fundamenty i trwałość państwowości". Te trudne dni mają pewne zalety: maski spadają. Oni naprawdę uważają PRL za swoje państwo.

Linię „Wyborczej" potępił sam ***Adam Michnik***, stwierdzając: „Polska była narodem zniewolonym, była krajem podbitym i nie wolno jednym tchem mówić o polskim antysemityzmie sprzed wojny, który był podły, wstrętny, ale był fragmentem prawdziwej Polski, i tym samym tchem o suchym pogromie w 1968 r. Bo suchy pogrom w 1968 r. był faktycznie pogromem polskiej inteligencji demokratycznej pod hasłami antysemickimi". Co prawda mówił to w 1995 r., ale zawsze.

I jeszcze jeden cytat z redaktora Michnika: „Kiedy wielokrotnie zastanawiałem się, skąd takie dramatyczne napięcie w relacjach polsko-żydowskich, to spostrzegam, że z taką pasją publicyści żydowscy nie mówią dziś o żadnym innym narodzie, tylko o Polakach. Ani o Niemcach, ani o Rosjanach, ani o Ukraińcach. Dlaczego? Skąd się to bierze? Sądzę, że to mechanizm odrzuconej miłości". Dlaczego ludzie Michnika mówią dziś coś odwrotnego? Może i tu dało sobie znać mechanizm odrzuconej miłości?

PiS wysłało pół kompanii posłów na posiedzenie polsko-izraelskiej grupy bilateralnej i przejęło kontrolę nad tym ciałem. Wydało się też, że dotąd grupą kierował Michał Szczerba z PO, który właśnie szykował wyprawę do Knesetu z okazji rocznicy Marca '68. Jak to było? „Cztery kolumny maszerują na Madryt, a w samym mieście jest jeszcze piąta kolumna". Nie, to nie za prof. Pawłowicz, to za gen. Emiliem Molą, bohaterem hiszpańskiej wojny domowej.

Na froncie izraelskim pewne wyciszenie, więc ***Bronisław Komorowski*** też postanowił „pomóc" naszej ojczyźnie. „Niech ten rząd się zreflektuje, jaką krzywdę zrobił Polsce. Polska radziła sobie bez tej ustawy" – zagrzmiał. Może radziłaby sobie jeszcze lepiej – i wówczas, i teraz – gdyby prezydent Komorowski, przemawiając w Auschwitz w 2011 r., wspomniał coś o Niemcach, a nie tylko o beznarodowych nazistach.

Wicepremier ***Jarosław Gowin*** skutecznie zwiększył rozpoznawalność (co politycy bardzo sobie cenią), ogłaszając, że gdy był ministrem sprawiedliwości w rządzie Tuska, to czasem nie starczało mu do pierwszego. Z miejsca zajął pierwsze strony tabloidów, stał się bohaterem memów i trafił pod strzechy jako temat rozmów przy stole. Naród pyta, czy w tych trudnych momentach brał chwilówki, a jeśli tak, to w jakiej firmie.

W sumie ciekawa seria: najlepsze wpadki zalicza „biała" część obozu rządzącego: ta cywilizowana, wykształcona i obyta. Ci, którzy mieli być wizerunkowym obciążeniem, czasem też coś chlapną, ale jednak mniej krwiście. Świat stanął na głowie. Na mądrej głowie.

Mimo wszystko ***prawica trzyma jakiś poziom.*** Po drugiej stronie z kolei Pożar w Burdelu – żałosny show w TVN z przekleństwami, „patriotycznymi plemnikami", hipisowską piosenką śpiewaną przez „Wandę, przyjaciółkę papieża", piosenką martwego płodu... W pierwszych rzędach na widowni Kraśko, Kolenda-Zaleska i Seweryn Blumsztajn. Nie tylko w kontekście PRL wracają do 1944 r. W sferze kultury również: znów założyli gumiaki i kufajki, i znów zioną ruską wódą. Coś w tym jest, że genów nie oszukasz.

Sygnalista

eprasa.pl e12a91f2d0

Ściepa na ściemę

KRZYSZTOF FEUSETTE

Koniec i kropka, nad i, jak „idę". Bo idę. Konkretnie – w politykę. Jest taki portal nawet – wPolityce.pl, którego nazwę doktor ornitolog Nielot-Migalski zawsze na „wPotylice.pl" przekręcał. W końcu sam się w czoło z taką siłą puknął, że mu palec z drugiej strony wyszedł, i teraz nawet w TVN rzadko go pokazują... Ale nie o tym chciałem. Tak sobie tylko ćwiczę na początek, bo w polityce mówić nie na temat to jest jedna z podstawowych umiejętności.

No dobrze, widzę, że jakoś mi to polityczne głędzenie wychodzi. Ale przecież ja nie dlatego na działacza się wybieram, że mi coś wychodzi, tylko dlatego, że wprost przeciwnie. Zacznę od zaorania czy tam zarania dziejów, moich własnych. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw (a proszę mi wierzyć, że po stronie „przeciw" sześć kartek mi wyszło, a za" – tylko jedno zdanie, za to przeważające...), poszedłem po rozum do głowy, dochodząc jednocześnie. Konkretnie zaś – do wniosku następującego: w obozie władzy miłościwie nam niepanującej nad sytuacją szukać nie mam czego. Nie dlatego, że sam też nie panuję, bo w domu jednak od czasu do czasu udaje się starą przekrzyczeć, ale dlatego, że tam już jest wszystko obsadzone, i to do trzeciego pokolenia. Nawet jak kogoś wywalą na zbity „PiS-k", natychmiast na jego miejsce tuzin bezpartyjnych fachowców z partyjnego rozdania się pojawia i taki żuczek jak ja, stawiający pierwsze kroki na drodze politycznego awansu, niczego dla siebie nie znajdzie. No, chyba że w fundacji, ale musiałaby być narodowa, a mnie się naród źle kojarzy, od kiedy Narodowy Bank Polski szwagrowi kilka tysięcy banknotów zakwestionował, że niby farba za jasna.

Za to w opozycji – dziura na dziurze, wakat na wakacie, wolna działka na działce działką pogania. Niby mają ten swój gabinet cieni w Platformie, ale co chwilę ktoś z niego z krzykiem wylatuje, jak z dentystycznego, że mu złote zęby wyrwali. No i jest niby ten gabinet śmiechu Nowoczesnej, z którego najgłośniej to się chyba doły partii śmieją, ale z pobieżnych choćby obserwacji medialnych wynika niezbicie, że miejsce w opozycji znaleźć może sobie teraz dosłownie każdy głupi. Jeśli nawet Cimoszewicz z puszczy za eksperta robi? Jeśli ten cały Sikorski z Chamielina na białym mecenasie powrócił, choć z nosa mu jeszcze ośmiorniczki zwisają? To co, nie wezmą kogoś świeżego i z pomysłami?

Konkretnie mam jeden – trzeba się zjednoczyć. Wszyscy ze wszystkimi, jak u Neurona na imprezach... czy jak tam się ten cesarz starorzymski nazywał. Platforma, Nowoczesna, ludowcy, lewica, postkomuniści, genderowcy, kodziarze, obywatele erpe, dziennikarze TVN i „Wyborczej", na końcu Mateusz Kijowski. Kolejność może być dowolna, pod warunkiem że ten ostatni będzie ostatni, bo lepiej, żeby się jeszcze przez jakiś czas ludziom nie pokazywał. A konieczny jest, bo ideę akurat, w odróżnieniu od pracy, ma całkiem dobrą. Ona mnie do polityki pchnęła ostatecznie.

Bo nie wiem, czy państwo wiedzą, ale Mateusz znowu zbiórkę urządza. Pieniędzy, niestety, nie ajfonów telefonów, ale w końcu kasa też się w życiu liczy. Urządza tę zbiórkę dla tych obrońców demokracji, którzy na skutek działalności ulicznej zapomnieli o swoim życiu zawodowym i prywatnym. I tu od razu wyrazy mojego oburzenia – jak można rozsiewać pogłoski, że to wszystko ma iść na życie i twórczość samego Kijowskiego, skoro on akurat nigdy o honorarium nie zapomniał? Wręcz przeciwnie! I do tego stopnia, że potrafił przypisywać sobie prace, które wykonywali inni! A teraz, niby z myślą o tych innych, którzy zamiast w KOD-zie zostali na LOD-zie (Lemingi Ostentacyjnie Dojone), urządza kolejną ściepę. Mnie to pasuje.

Teraz najważniejsze – kto powiedział, iż kierunek musi być koniecznie taki, że najpierw działamy, potem zapominamy o bożym świecie, a dopiero na końcu otrzymujemy wsparcie członkowskie z ręki do ręki? Przecież to jest amotywacyjne! Moja propozycja, moja koncepcja i antykoncepcja polityczna w jednym jest odwrotna: najpierw praca w kąt, potem rodzina na bok, następnie przelewy z niepustego w próżne, a na samym końcu dopiero, ewentualnie, działalność polityczna. Po pierwsze – za darmo w takie mrozy nikt na ulice nie wyjdzie. Już nie mówię nawet o puchowych kurtkach, które akurat Mateusz mógłby zaprojektować, bo przecież parał się tym zajęciem, zanim go wciągnął wir politycznej rzeki. Ale bez lampionów i badyli to się nam ludzie bankowo rozejdą w nieznanych kierunkach, zwłaszcza że większość autobusami zawsze dojeżdżała. A jak się towarzystwo pogubi i działacze Nowoczesnej z Obciachowa wsiądą przez pomyłkę do autokaru Platformy ze Śmierdziszewa albo młodzieżówka z Poznania zamieni się miejscami z emerytowanymi funkcjonariuszami SB nie do Poznania, to my się nigdy nie policzymy!

Dlatego w przypadku, gdyby z nowej zbiórki wyszła jakaś lipa (czyli mniej niż 6 tys. na głowę, bo za tyle to nawet zdaniem Alejaji Bieńkowskiej nikt nie będzie pracował), zalecałbym wszystkim płatnym obrońcom demokracji pracę publiczną nie na ulicy, tylko po prostu w domu. Można transparenty szyć na lato z macicami albo chociaż maile do Brukseli, Tel Awiwu czy Berlina słać z błaganiami o wyrazy poparcia. To nic nie kosztuje, a kasa za to akurat na pewno się znajdzie. Bo działalność domowo-publiczna jest dziś opozycji bardzo potrzebna.

eprasa.pl e12a91f2d0

Chiny

Triumf Czarnego Jeźdźca

To jest wbrew pozorom wiadomość znacząca: oto Chiny zniosą obowiązującą dotąd konstytucyjną barierę, uniemożliwiającą pełnienie funkcji prezydenta przez więcej niż dwie pięcioletnie kadencje. Wnioskuje o to Komitet Centralny KPCh, można więc być pewnym, że zmiana zostanie uchwalona. A co za tym idzie, Xi Jinping będzie zapewne władał dożywotnio.

Jest to odejście od zapoczątkowanej jeszcze przez Deng Xiaopinga zasady kolektywnego kierownictwa i tradycji odmładzania – co dekadę – kierownictwa państwa (kontrolowana sukcesja była dotąd uważana za pekińską specjalność). A rozmaici sinolodzy w różny sposób komentują to, co się stało. Od powrotu tradycji cesarskiej, poprzez manifestację chęci i zdolności do zachowania ciągłości polityki reform, aż po demonstrację, że prowadzona przez Xi wojna z korupcją nie zostanie przerwana.

Skoncentrowałbym się jednak przede wszystkim na innym aspekcie wydarzenia. Otóż zasada ograniczenia liczby kadencji sprawującego władzę jest zasadą par excellence zachodnią. Wymyślona w Ameryce, została przejęta przez większość krajów zachodniej cywilizacji. Po upadku komunizmu wprowadziły ją nawet państwa poradzieckie. Miała wręcz rangę fetyszu – kto chciał być bodaj formalnie uznawany za członka klubu państw cywilizowanych, wzdragał się przed jego jawnym podeptaniem. Gdy Władimir Putin zaczął się zbliżać do połowy drugiej kadencji, zdecydował raczej odstąpić Kreml na cztery lata figurantowi, niż wprost zerwać z zasadą dwukadencyjności.

Fot. 360b/Shutterstock.com

A teraz Chiny znoszą ją manifestacyjnie. Demonstracyjnie depczą fetysz.

To jest wyraźna oznaka tego, jak bardzo i jak szybko spada atrakcyjność Ameryki i w ogóle Zachodu. Jego wzorcotwórczy potencjał. Jak dalece już nie trzeba nawet utrzymywać pozorów, że chce się należeć do rodziny, upostaciowionej przez państwa i cywilizację Okcydentu.

Tych przywódców i te państwa, które same zrywały z dążeniem do zachodnich standardów i prowokowały do tego innych, zachodni politolodzy określili parę lat temu terminem „czarnych jeźdźców". Czarni jeźdźcy przemierzają kontynenty.

Piotr Skwieciński

Wegry

Zmartwychwstanie trupa?

25 lutego w Hódmezővásárhely na Węgrzech odbyły się wybory na burmistrza w miejsce zmarłego niedawno poprzednika. Traktowane były jako prognostyk przed wyborami parlamentarnymi 8 kwietnia. Ku zaskoczeniu komentatorów wygrał kandydat startujący jako niezależny, lecz popierany przez zjednoczoną opozycję – Péter Márki-Zay, który zdobył 57,49 proc. głosów. Dopiero drugi był dotychczasowy wiceburmistrz Zoltán Hegedüs z rządzącego Fideszu, z poparciem 41,63 proc. W wyścigu nie liczył się reprezentant partii socjalistycznej Gyula Hernádi, z wynikiem 0,88 proc. Zdziwienie było tym większe, że Hódmezővásárhely stanowi matecznik Jánosa Lázára, obecnego szefa kancelarii premiera, który przez wiele lat był burmistrzem tego miasta.

Wynik to zimny prysznic dla partii Viktora Orbána. Okazało się, że na jej kandydata głosowało tyle samo wyborców co zawsze, jednak tym razem to nie wystarczyło. Frekwencja była wysoka, bo sięgnęła 61,35 proc. Decydująca okazała się więc mobilizacja elektoratu i zjednoczenie opozycji, z którego wyłamali się tylko socjaliści.

Márki-Zay zwyciężył, choć w kampanii przyłapano go na kłamstwach. Najpierw twierdził, że lokalne władze śledzą go za pomocą kamer miejskiego monitoringu, a potem, że został zwolniony z pracy pod presją rządzących. Z obu oskarżeń musiał się wycofać, gdy udowodniono mu, że mija się z prawdą.

Po jego zwycięstwie opozycja nabrała wiatru w żagle i twierdzi, że jest w stanie pokonać Fidesz 8 kwietnia. Receptą na sukces ma być zjednoczenie wszystkich sił antyrządowych. Trzeba jednak pamiętać, że wybory samorządowe rządzą się swoimi prawami i niekoniecznie muszą odzwierciedlać preferencje polityczne w skali całego kraju. Widać to też w Polsce, np. prezydentem Rzeszowa od 2002 r. jest członek SLD, choć Podkarpacie pozostaje bastionem prawicy. Warto dodać, że tego samego dnia odbyły się wybory na burmistrza w mniejszym miasteczku Kiskunhalas i tam zdecydowanie wygrał kandydat Fideszu, uzyskując 2/3 głosów.

Mimo to obóz rządzący potraktował porażkę poważnie. Prawicowy publicysta Zsolt Bayer napisał: „Od 2006 r. prawie niczego nie przegraliśmy. Teraz mamy pierwszą poważną przegraną. W symbolicznej przestrzeni, w symbolicznym czasie, w symbolicznym mieście. [...] Do wyborów zaledwie 40 dni. A tu zmartwychwstał trup. W najbardziej nieoczekiwanym momencie. Dobrze, że zrobił to teraz, bo mógłby 8 kwietnia. Bez zapowiedzi. A wtedy nie mielibyśmy czasu, by sprawdzić, co spieprzyliśmy".

Być może Fidesz został uśpiony pomyślnymi sondażami. Dają mu one triumf na poziomie 51 proc. (Jobbik – 17 proc., a socjaliści – 13). Viktor Orbán zarządził więc mobilizację: „Zawsze, gdy chcieliśmy wygrać, musieliśmy wkładać dwa lub trzy razy więcej energii niż nasi rywale. Tak jest i teraz, musimy pracować ze zdwojoną siłą".

Grzegorz Górny

eprasa.pl e12a91f2d0

Niemcy

Nowa fasada, stary kurs

Kanclerz Niemiec Angeli Merkel udało się – przynajmniej chwilowo – spacyfikować bunt rodzący się w szeregach CDU. Na zjeździe chadecji w ubiegły poniedziałek w Berlinie 98 proc. delegatów poparło umowę koalicyjną z SPD.

Głosowanie nad rodzącą się w mękach GroKo, jak nazywana jest za Odrą wielka koalicja, nie zaabsorbowało uwagi działaczy jednak tak jak Annegret Kramp-Karrenbauer. Merkel zaproponowała na zjeździe, by premier kraju Saary, o trudnym do wymówienia nazwisku, została nową sekretarz generalną CDU. Delegaci przyjęli tę propozycję entuzjastycznie (były nawet owacje na stojąco), i to mimo że Kramp-Karrenbauer nie jest ani młoda (ma 55 lat), ani nie wykazała się dotąd szczególnymi zdolnościami mediacji.

A właśnie tym ma się zająć jako sekretarz generalna CDU: ma pogodzić zwaśnione frakcje. Po wyborach do Bundestagu minionej jesieni, w których partia osiągnęła najgorszy wynik od 1949 r., część posłów i działaczy CDU domagała się radykalnej odnowy i odmłodzenia chadecji. Nowych twarzy, nowych idei i powrotu na pozycje konserwatywne. Zapewne nie chodziło im wtedy o Kramp-Karrenbauer, która od lat należy do wąskiego grona doradców pani kanclerz. Złośliwcy twierdzą wręcz, że premier Saary to niewiele młodsza kopia Merkel. Ten sam ubiór, postura, a co gorzej – sposób myślenia. Nic dziwnego więc, że wybór Kramp-Karrenbauer na sekretarz generalną miał posmak koronacji. Jak pisze niemiecki tygodnik „Die Zeit", Merkel „wybrała swoją następczynię i zamknęła wszystkim usta". To wprawdzie polityczna jesień pani kanclerz, ale to ciągle jeszcze ona kształtuje losy CDU.

O powrocie na pozycje konserwatywne także nie było mowy na zjeździe. Merkel, Kramp-Karrenbauer i Co. mówili wprawdzie o potrzebnym przełomie, ale na czym miałby on polegać, jednak nie wyjaśnili. Wiadomo tylko, czego CDU nie chce: wyższych podatków ani kolejnych długów. Ale to przecież nic nowego. Tymczasem przed zjazdem politycy chadecji, jak choćby premier Bawarii Markus Söder, przekonywali, że „na prawo od CDU/CSU nie może być żadnej demokratycznie legitymizowanej partii". Za to, że zagnieździła się tam Alternatywa dla Niemiec (AfD), obwiniają Merkel. Chadecja nie powinna ich zdaniem szukać wyborców tylko w centrum. Ale czy tak się stanie? Sądząc po słowach Kramp-Karrenbauer, która zadeklarowała na zjeździe, że „kto chce poprowadzić partię znowu w prawo, ten nie chce, by została partią ludową", szanse na to są na razie niewielkie. Tak jak na prawdziwą odnowę.

W przyszłym rządzie nowych twarzy będzie wprawdzie niemało – jeden z młodych buntowników i nadzieja konserwatywnego skrzydła chadecji 37-letni Jens Spahn ma zostać ministrem zdrowia – jednak zmiany personalne, czyli „więcej młodych i więcej kobiet", nie wystarczą zdaniem niemieckich mediów do tego, by zamienić CDU ze „stowarzyszenia wybierającego kanclerza" (Kanzlerwahlverein) w „partię programową".

Taktyczne posunięcie Merkel potwierdziło więc na razie tylko maksymę, że wiele musi się zmienić, by wszystko zostało po staremu. Fasada jest wprawdzie nowa, ale kurs pozostaje ten sam.

Aleksandra Rybińska

Fot. 360b/Shutterstock.com

Rosja

Rybka prowokatorka

Ta historia wydawała się obyczajowym skandalem, jednak po kilku miesiącach ujawniło się jej drugie dno. O co chodzi? O kolejne poszlaki wskazujące na udział Kremla w amerykańskiej kampanii prezydenckiej. Ale po kolei.

We wrześniu 2017 r. do sztabu wyborczego Aleksieja Nawalnego w Moskwie wtargnęła grupa skąpo ubranych pań. Była to kolejna z wielu prowokacji wymierzonych w Nawalnego (ostatecznie Kreml uniemożliwił mu start w wyborach). Ludzie Nawalnego wyprosili roznegliżowane dziewczyny ze sztabu i postanowili sprawdzić, kto je nasłał. Przeprowadzone dochodzenie dało zdumiewające efekty.

Okazało się, że grupa pań jest czymś w rodzaju agencji towarzyskiej, która obok zwyczajowych w tej branży usług oferuje również prowokacje o charakterze politycznym. Ich nieformalną liderką jest pochodząca z Bobrujska Białorusinka ukrywająca się pod pseudonimem Nastia Rybka.

Śledząc jej profil na Instagramie, ludzie Nawalnego natrafili na zdjęcia zrobione na jachcie w towarzystwie oligarchy Olega Dieripaski oraz tajemniczego mężczyzny. Był również film, na którym obaj panowie debatują na temat wyborów w Ameryce, pada w nim nazwisko Victorii Nuland, urzędniczki Departamentu Stanu.

Nagle afera obyczajowa nabrała innego charakteru. Tajemniczym rozmówcą oligarchy okazał się bowiem wicepremier Siergiej Prichodko, który w sierpniu 2016 r. wraz z tabunem prostytutek pływał incognito jachtem Dieripaski po uroczych fiordach Norwegii. A co ma z tym wspólnego Ameryka? Otóż Dieripaska był oskarżany przez amerykańskie media o przekazanie milionów dolarów Paulowi Manafortowi, lobbyście wspierającemu Donalda Trumpa. W zamian za te pieniądze Manafort miał dostarczać Dieripasce poufne informacje dotyczące wyborów w USA. Ten z kolei dzielił się nimi na jachcie z Prichodką, który nadawał je dalej do Kremla. A wszystko to sfilmowała białoruska prostytutka i zamieściła w sieci.

Kreml oficjalnie milczy. Wygląda bowiem na to, że stał się ofiarą własnej prowokacji.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl e12a91f2d0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Newsy, fusy, psikusy

Jan Pietrzak

Partia opozycyjna urządziła konwencję. Głównym punktem programu była dziecinna zabawa: plucie do celu. Celem był rząd. Zwycięzcę ogłoszą najbliższe sondaże.

Program PO to likwidacja IPN, CBA, 500+, narodowej waluty i zdrowego rozsądku...

Legendowanie. W ostatnim czasie okazało się, że kolejna z legend „Solidarności" jest w większym stopniu legendą SB.

Obrażona na Czarneckiego hrabini von Szkop und Szmalc wysadziła go z fotela wiceprzewodniczącego. No i po co, Rysiu, zadzierasz z szemraną arystokracją?!

Pewien polityk izraelski, by pognębić polski antysemityzm, powiedział, że jego babcię zamordowano w Polsce. Wydało się, że jedna babka mieszkała w Palestynie, druga w Serbii. Reszta się zgadza. Jak w kawale z Radia Erewań. Na pl. Czerwonym mieli dawać samochody, a kradli rowery.

Paranoja. Niemcy ustami kanclerz oświadczyli parokrotnie, że Holokaust to ich projekt i wykonanie. Niektórzy Żydzi upierają się jednak, że wolą w tej roli Polaków. Tak nas kochają.

Zderzenie. W stanie Utah helikopter gonił łosia, by go uśpić. W trakcie potyczki łoś podskoczył i strącił helikopter. Uśpiona załoga obudziła się w szpitalu.

Solistka. Po miesiącu odnaleziono krowę, która uciekła ze stada. Ciekawe, kto w tym czasie ją doił.

Redaktor Zychowicz uważa, że ustawa w sprawie „polskich obozów śmierci" ogranicza wolność słowa i badań historycznych. Nie odróżnia wolności słowa od wolności oszczerstwa, a badań historycznych od nikczemnej propagandy.

Roztargnienie. Sąd Najwyższy uznał, że sędzia ukradł 50 zł z powodu roztargnienia i go uniewinnił. Najwyraźniej SN też jest roztargniony, ale uniewinnienia nie otrzyma od nikogo.

Były wódz KOD powołał stowarzyszenie „Wolność, demokracja, alimentacja". Apeluje o wielką zbiórkę. Ciekawe na co?

TVN przedstawiła autoironiczne widowisko „Pożar w burdelu". I rzeczywiście... w dodatku słoma w butach, sieczka w głowach, gnój w salonie.

Gdy zalega cisza

Z Jakubem Wocialem, aktorem musicalowym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Do Wielkiej Nocy pozostało mniej niż 40 dni, a pan na gorące życzenie widzów rozpoczyna kolejne rockoperowe „rekolekcje"?

Jakub Wocial: To rzeczywiście wyjątkowy czas. Ważny ze względu na tematykę. Wszystkim znaną. Ale też dlatego, że z roku na rok „Jesus Christ Superstar" jest obecny w warszawskim Teatrze Rampa coraz dłużej. Przy nadkompletach. Nie mogłem tego przewidzieć, gdy w 2016 r. zaproponowałem zagranie przed Wielkanocą pięciu koncertowych widowisk opartych na przebojach rock opery, którą na przełomie lat 60. i 70. stworzyli Andrew L. Webber i Tim Rice. W czasie prób projekt zaczął się rozrastać – o choreografię, ruch sceniczny. Spektakl się spodobał. Szybko zabrakło biletów, więc rok temu była już seria przedstawień. Teraz gramy od 2 marca do środy Wielkiego Tygodnia.

Czy Jezus może być dziś supergwiazdą?

Trafia do bardzo różnych odbiorców. I na widowni, i na scenie. W teatrze pracują zarówno ludzie głęboko wierzący, jak i agnostycy. Przełożenie emocjonalności materiału i odniesienie każdego z nas do tego, o czym opowiadamy, sprawia, że spektakl porusza. Także dylematami Judasza, z którego perspektywy jest pokazana ta historia. W dramatycznych momentach nie ma oklasków, na widowni jest cisza. Pojawiają się łzy.

Fot. Kinga Karpati

Przez 23 dni będzie pan na scenie Jezusem, a potem?

W Teatrze Muzycznym w Łodzi gram Jeana Valjeana w musicalu „Les Misérables", a w Rampie, gdzie jestem kierownikiem Sceny Muzycznej, szykujemy dwa nowe projekty.

eprasa.pl e12a91f2d0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Rocznice porozumienia czy konfliktu

Przed nami dwie rocznice. 50. Marca i 75. powstania w getcie. Obie powinny stać się okazją do pielęgnowania polsko-żydowskiej wspólnoty pamięci. Niestety, można mieć pewność, że staną się one pretekstem do rozniecania konfliktów między naszymi narodami. Totalna opozycja, głównie w medialno-opiniotwórczym wydaniu, nie zrezygnuje z takiej okazji. Wszystko dobre, aby zaatakować PiS. Jeśli Adam Michnik stwierdził, że antypis jako program wystarczy – kilkadziesiąt lat temu głosił, że antykomunizm niczym takim być nie może – to wszystko jest usprawiedliwione, aby uderzyć w znienawidzone ugrupowanie, które odsunęło go od władzy. Nic więc dziwnego, że spotkanie na temat Marca w muzeum Polin niczym się nie różniło od kodowskiego wiecu. Zaproszeni do panelu zostali Michnik i Jan Lityński, a np. nie Irena Lasota, która była jedną z najważniejszych postaci tamtych wydarzeń. Nie tylko organizowała petycję w obronie wydalonych ze studiów Michnika i Henryka Szlajfera, lecz także odczytywała rezolucję w czasie wiecu 8 marca na terenie UW. Dziś ma jednak „niewłaściwe" poglądy, a więc w dyskusji brać udziału nie może.

W wojnie z PiS totalna opozycja pojednała się z obrońcami komunizmu i dawni ubecy oraz byli antypeerelowscy opozycjoniści maszerują pod wspólnymi sztandarami

Teraz trzeba wysłać w świat hasło, że PiS świadomie rozpętuje w Polsce antysemityzm. „Czekam niestety, aż rozpęta się nagonka antysemicka, może nie w takiej skali jak w marcu 1968 r., ale po tylu latach trudno nam to sobie w ogóle wyobrazić. To jest okropne. I to jest świadoma decyzja Jarosława Kaczyńskiego" – ogłasza inny filar „Wyborczej" Seweryn Blumsztajn. I nie ma znaczenia, że w zachowaniach lidera PiS nigdy cienia antysemityzmu nie można było uświadczyć, a ostatnio publicznie ostrzegał on, że postawę taką podpowiadają Polakom ich wrogowie. W totalnej wojnie, jaką nowym, wybranym w demokratycznych wyborach, władzom wypowiedziały środowiska III RP, fakty nie mają znaczenia.

Oto środowiskowy historyk Andrzej Friszke głosi: „PZPR była dużo bardziej pluralistyczna od PiS-u. [...] Istniały różne grupy wpływów związane z różnymi sektorami państwa, osobno aparat partyjny, osobno wojsko, bezpieka, osobno sektor gospodarczy. To sprawiało, że na poziomie kierownictwa partii, czyli biura politycznego, te wpływy się krzyżowały i powodowały, że zawsze ta polityka ostateczna, jaką się realizowało, była wypadkową tych interesów".

Nic więc dziwnego, że w wojnie z PiS totalna opozycja pojednała się z obrońcami komunizmu i dawni ubecy oraz byli antypeerelowscy opozycjoniści maszerują pod wspólnymi sztandarami. Tak naprawdę to pojednali się już prawie 30 lat temu, ale dopiero teraz, jak można wnosić z wypowiedzi Friszkego, zaczęli oficjalnie deklarować, że PRL jest lepsza od demokracji. Naturalnie od takiej, w której nie oni wygrywają. W Towarzystwie Dziennikarskim, które obrońcy III RP założyli, kiedy przegrali wybory w SDP, obok aktywnych obrońców komunizmu do jego chwil ostatnich zasiadają funkcjonariusze „GW" ze sporym opozycyjnym stażem. Pewnie nie byli zadowoleni ze swojej pozycji w byłym systemie.

Już jakiś czas temu zwróciła się do mnie młoda reżyser z pytaniem, czy Polacy powinni przeprosić za Marzec. Moich argumentów, że marcowa kampania antysemicka była modelowym przykładem komunistycznej nagonki, której ofiarą padali wcześniej żołnierze AK, ziemianie, kler czy rolnicy, a system został narzucony naszemu krajowi przez Moskwę i Polacy zań nie odpowiadają, słuchała w oszołomieniu. Wyraźnie w jej środowisku za pewnik uznano, że „antysyjonistyczna operacja" jest efektem polskiego antysemityzmu. Wprawdzie nikt nie odnotował żadnych spontanicznych pogromów, a ludzi na „antysyjonistyczne" wiece albo zwożono, albo obligowano ich do uczestnictwa pod groźbą kar dyscyplinarnych, a obecność sprawdzali funkcjonariusze partyjni, ale, że powtórzę, faktami obrońcy III RP dawno przestali się przejmować.

Chodzi o to, aby znowu zawstydzić Polaków, zepchnąć ich w kompleks niższości, zmusić, aby pokornie przyjmowali to, co zaordynują im wspierane przez europejskie elity samozwańcze autorytety. Dla nich posadzenie Polaków na oślej ławce i zafałszowanie ich historii jest obojętną ceną za władzę, jaką nad narodem drogą tych operacji mogą osiągnąć.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e12a91f2d0

OGNIEM NA WPROST

Papier pamięta

Jak powszechnie wiadomo, USA uznały zachodnią Jerozolimę za stolicę Izraela i obecnie przenoszą tam swoją ambasadę. Teraz kolej na następny krok. Kneset właśnie włączył obszar miasta do terytorium Państwa Izrael. Polskie i polskojęzyczne media podeszły do tego raczej bez większych emocji, skupiając się li tylko na opisaniu wydarzenia. Nie wytrzymała tylko „Gazeta Wyborcza". Emocje z Knesetu sięgnęły w niej zenitu i zaowocowały bijącym w oczy tytułem „Jerozolima nasza!". Ten niekontrolowany, ba, wręcz spontaniczny wybuch radości i solidarności z Państwem Izrael wzbudził liczne reakcje w internecie i nie tylko, których wymowę można ująć w jednym zdaniu: „I wszystko jasne". Sanhedryn (kierownictwo redakcji) zaniepokojony odzewem, jaki wzbudził tytuł, zebrał się na Czerskiej i zarządził natychmiastowe usunięcie „Jerozolimy naszej!" z internetowego wydania „GW". Ale papier jeszcze długo będzie pamiętał.

Mający podwójne obywatelstwo (polskie i niemieckie) Tomasz Rogaczewski jest zawodowym oficerem Bundeswehry w stopniu hauptmanna (kapitana) i federalnym pełnomocnikiem ds. równouprawnienia, inkluzji i różnorodności w Związku Żołnierzy Bundeswehry (VSB). Niedawno udzielił wywiadu w stacji radiowej Deutsche Welle, w którym podzielił się ze słuchaczami dwiema istotnymi informacjami. Pierwszą: liczącą niemal 180 tys. żołnierzy armię niemiecką resort obrony chce do 2024 r. powiększyć o liczbę wstępujących do wojska imigrantów (przynajmniej o 10 proc.). Druga informacja to ta, że Bundeswehra będzie jeszcze bardziej wielokulturowa i nie chodzi tu bynajmniej o pochodzenie etniczne czy wyznanie przyszłych kandydatów. Jako przykład podał służące w armii „różne transseksualistki". „Podpułkownik Anastasia Biefang, która była mężczyzną, jest komendantem jednostki w Storkow w Brandenburgii. Mam kolegę oficera, który wstąpił do wojska, będąc facetem, zmienił płeć, a następnie wrócił do płci pierwotnej" – opowiadał z zapałem Rogaczewski. Tymczasem prezydent USA po konsultacjach z generałami zapowiedział zakaz służby w wojsku osób transpłciowych. „Nasze siły zbrojne muszą się skoncentrować na decydującym zwycięstwie i nie mogą być obciążone ogromnymi kosztami i zakłóceniami, jakie powodują osoby transpłciowe" – uzasadniał swoją decyzję Donald Trump. Teraz Bundeswehra powinna się pokusić o nowy symbol. Mógłby nim zostać półksiężyc z gwiazdą na tle tęczowej flagi LGBT i coś tam.

Według brytyjskiego „The Sunday Times" były komandos SAS Brian Walker, dziś pomocnik instruktora drużyny skautów, wniósł zażalenie do czasopisma dla tamtejszych harcerzy, po tym jak opublikowało ono zdjęcie kajakarki w nikabie całkowitym (zakrywa twarz, ma jedynie otworki na oczy). Walker zauważył całkiem rozsądnie, że „kajakarze tak się nie ubierają, muszą wszystko dookoła widzieć, aby zapewnić bezpieczeństwo całej drużynie. Mając na sobie strój Dartha Vadera z »Gwiezdnych wojen«, najpewniej by się potopili". Na to dziewczyna w nikabie odpowiedziała już nie za bardzo do rzeczy: „Wielokrotnie uczestniczyłyśmy w wycieczkach w naszych nikabach, ludzie podchodzili do nas i mówili wiele pozytywnych rzeczy. To nie jest przeszkoda, przed niczym mnie nie powstrzymuje. To ja tu wydaję rozkazy". „Sam jej wygląd wystarczy, żeby przestraszyć dzieci i zwierzęta" – podsumował wymianę zdań Walker, od 10 lat pracujący ze skautami. I się zaczęło. Wydalono go z organizacji za złamanie wartości takich jak „prawość, wzajemny szacunek, troska i współpraca" oraz za to, że „mógł się przyczynić do zniesławienia całego ruchu skautów". Walker nie odpuścił i wstąpił na drogę sądową, ponieważ „podważa się podstawowe wartości skautingu". A skaut w Wielkiej Brytanii ma służyć przede wszystkim Bogu i królowej oraz pomagać innym. Tak nowy polityczny dogmat w końcu zniszczy wspaniały niegdyś ruch młodzieżowy.

My tu się gimnastykujemy, jak wyjść z draki z Izraelem o ustawę IPN, a egipski prezenter państwowej TV Ahmad Suleiman w Międzynarodowym Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu nazywa Shoah „największym kłamstwem w historii" i „nonsensowną opowieścią wymyśloną przez Żydów w celu szantażowania". I co na to Tel Awiw? Przepraszam, dziś już Jerozolima. Nic. Nawet bombowców nie może wysłać nad Kair, bo ma podpisany traktat pokojowy z Egiptem, otwartą granicę, ambasadę, a izraelskie frachtowce hulają w biały dzień po Kanale Sueskim jak po swoich wodach terytorialnych.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl e12a91f2d0

Treserowi dziękujemy

Ministerstwo Środowiska wystąpiło z inicjatywą wprowadzenia zakazu posiadania przez cyrki niektórych dzikich zwierząt. Na liście sporządzonej przez urzędników znalazły się w szczególności wielkie dzikie koty, hipopotamy, szympansy i goryle. Wedle projektu pozostałe ssaki takie, jak żyrafy lub małpy, będą mogły nadal występować, ale za uprzednią specjalną zgodą regionalnego dyrektora ochrony środowiska. Głównym kryterium wyodrębnienia i wykluczenia wymienionych gatunków zdaje się stopień niebezpieczeństwa, z jakim wiąże się ich tresura, i kontakt z publicznością, a nie szeroko pojęte dobro naszych braci mniejszych.

Marta Kaczyńska

Lista polskich miast, które wprowadziły zakaz wjazdu na swój teren cyrków ze zwierzętami, jest coraz dłuższa i napawa optymizmem

O tym, że zwierzęta w cyrkach egzystują w warunkach znacznie odbiegających od biologicznych i są zmuszane do nienaturalnych zachowań, nikogo przekonywać nie trzeba. Nie wszyscy zdają sobie jednak sprawę, z jakim cierpieniem wiąże się przekonywanie ich do wykonywania zabawnych dla publiczności ewolucji czy też jak wielką traumę wywołuje życie w izolacji od stada albo spędzanie wielu miesięcy w roku w ciągłej podróży w samochodach i w klatkach. Wiele osób widząc kiwającego się na boki słonia, sądzi, że to efekt skutecznej tresury, a nierzadko jest to objaw choroby spowodowanej długotrwałym stresem, której zazwyczaj nie da się już wyleczyć. Na arenie nie każdy zauważy też, że zwierzęta są posłuszne, bo się boją. Ciężka, z zasady niezgodna z naturą praca zwierząt w cyrkach dotyka swoimi wyłącznie negatywnymi konsekwencjami w takim samym stopniu zwierzęta zakwalifikowane do grupy najbardziej niebezpiecznych, jak i pozostałe. Wszystkie cierpią tak samo.

Oglądanie dzikich zwierząt występujących w cyrku nie wiąże się z żadnymi walorami edukacyjnymi. Jest wyłącznie źródłem wątpliwej jakości rozrywki i zarobku. Widzami są przede wszystkim dzieci. Patrząc na wytresowane zwierzęta, najmłodsi nie zdobywają jakiejkolwiek wartościowej wiedzy o przyrodzie. Uczą się zaś, że dla przyjemności i zysku można pozbawiać czworonogów wolności, a nawet stosować przemoc. Cyrkowe występy jakichkolwiek dzikich zwierząt nie mają więc żadnego racjonalnego uzasadnienia.

Lista polskich miast, które wprowadziły zakaz wjazdu na swój teren cyrków ze zwierzętami, jest coraz dłuższa i napawa optymizmem. Organizacje ekologiczne informują o ogromnym poparciu społecznym dla wprowadzenia w Polsce całkowitej eliminacji nieudomowionych gatunków z cyrkowej areny. Za granicą coraz więcej państw ustanawia prawo niedopuszczające do wykorzystywania zwierząt w wyżej opisany sposób. Znacznie lepszej rozrywki niż ta oparta na bólu zwierząt dostarczają występy zespołów akrobatycznych, iluzjonistów, a nawet klaunów, choć ci ostatni zapewne wielu z nas kojarzą się głównie z głośną i wcale niewesołą ekranizacją Batmana.

Nowe wydanie w kioskach!

W numerze:

- LEGENDA WYKLĘTYCH
  1944–1963: chwalebna historia Żołnierzy Niezłomnych
- POLSKIE SKRZYDŁA
  Jak Żwirko i Wigura zmienili oblicze polskiego lotnictwa
- HISTORIA MARCA '68
  Jak demonstracje studenckie poruszyły cały naród

DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU. WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

eprasa.pl e12a91f2d0

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Klony

Barbra Streisand, amerykańska piosenkarka i aktorka, jest znaną miłośniczką psów. Gdy zdechła jej ulubiona Sammie, gwiazda postanowiła odtworzyć suczkę w laboratorium. Jeszcze za życia psa pobrano z jego pyszczka i brzucha komórki, które posłużyły jako materiał do replikacji. W wyniku procesu klonowania powstały aż dwa szczeniaki, wierne genetycznie kopie zmarłej suczki. Streisand nazwała je Miss Scarlett i Miss Violet. Ponieważ wyglądają identycznie, 75-latka zakłada im ubranka w różnych kolorach. A w schroniskach tyle psiaków czeka na miłość...

5,1 proc.

o tyle wzrósł PKB w IV kwartale 2017 r. Jest to największy wzrost kwartalny od IV kwartału 2011 r.

30 proc.

taki odsetek umów najmu w centrach handlowych może być renegocjowany w związku z wejściem w życie ustawy o zakazie handlu w niedziele i święta – szacują eksperci PwC.

ponad 32,4 mln zł

tyle z programu resortu rodziny Maluch+ 2018 trafi do województwa śląskiego na rozwój i utrzymanie placówek opieki dla najmłodszych dzieci. Utworzonych zostanie prawie 2 tys. nowych miejsc w żłobkach i klubach dziecięcych.

W pogoni za marzeniami

Czesi też mają swoją Anellę, czyli żywą Barbie. To Gabriella Jiráčková, która podobnie jak Anella marzy, by wyglądać jak żywa lalka. Spełnianie marzeń finansują rodzice Gabi. Dziewczyna twierdzi, że dzięki kolejnym modyfikacjom czuje się seksowniejsza. „Zainspirowały mnie inne kobiety Barbie. Jako dziecko sama kolekcjonowałam takie lalki. Kiedy pojawiła się szansa, by tak wyglądać, to pomyślałam, że to coś dla mnie" – opowiada Jiráčková. Dziwne mamy czasy. Ludzie wydają fortuny, by wyglądać jak potwory. To najlepszy dowód na to, że nie zawsze warto gonić za marzeniami.

Transdoradca

Transseksualna modelka Munroe Bergdorf została doradcą brytyjskiej Partii Pracy. Bergdorf będzie doradzać sekretarz ds. równości płci Dawn Butler w sprawach LGBT. Problem w tym, że pani Bergdorf zasłynęła z rasistowskich komentarzy pod adresem osób o białym kolorze skóry. Kiepska rekomendacja jak na kogoś, kto ma doradzać w sprawach równości. No chyba że bycie trans wystarczy za wszystko.

eprasa.pl e12a91f2d0

Skarpetkowy Adolf

Skarpetki Adolf znalazły się w ofercie polskiej firmy Nanushki. W opisie produktu można było przeczytać, że model Adolf to „zręczny strateg i urodzony przywódca", który „czuwa nad porządkiem w szufladzie ze skarpetkami i jest w tym naprawdę skuteczny. W wolnych chwilach obmyśla i rysuje plan podbicia świata". Skarpetki wywołały spore kontrowersje. Głos zabrało nawet Muzeum Auschwitz. Producent zmienił więc nazwę i opis produktu. Adolfa zastąpił Patrick – „makler, finansista biznesmen i filantrop #szef (czyt. #prezes). Kupuje, buduje i balansuje". Komuś trzeba pogratulować pomysłu na kampanię reklamową. Chyba niełatwo wprowadzić na rynek skarpetki, o których będą mówić wszyscy.

Kiedy byłem ministrem sprawiedliwości, to czasami nie starczało mi do pierwszego – zdradził Jarosław Gowin w Radiu Zet. A jak Elżbieta Bieńkowska mówiła, komentując zarobki wiceministrów, że za 6 tys. może pracować albo złodziej, albo idiota, wówczas PiS krzyczało, że to skandal. Kolejny dowód, że punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia.

Głowa pod pachą

Jedną z pierwszych kolekcji pokazanych podczas tegorocznego tygodnia mody w Mediolanie były propozycje marki Gucci na sezon jesień/zima 2018. Pokaz wywołał wiele emocji m.in. z powodu dwójki modeli, którzy wyszli na wybieg, trzymając w ręku własne głowy zamiast torebek. Były też jaszczurki, smoki i trzecie oko namalowane na czole modelki. Halę, w której zaprezentowano kolekcję, wystylizowano na szpitalną salę operacyjną. Na środku umieszczono leżankę przykrytą zielonym prześcieradłem, a światła ustawiono w taki sposób, aby jak najbardziej przypominały ostry dyżur. Dyrektor kreatywny marki Alessandro Michele wyjaśnił, że nowa kolekcja marki o nazwie „Cyborg" miała pokazać wizję świata w przyszłości, w której zdaniem projektanta wszyscy będziemy postludźmi. A dla mnie to po prostu dowód na to, że ktoś powinien się leczyć.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, lolotabella/instagram, S. Meddle/ITV/REX/Shutterstock, AP Photo/Antonio Calanni, mat. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Himalajska masarnia

Dominik Zdort

Himalaizm to nie sport. To idea. Filozofia. Więcej: filozofią jest już sam wybór dnia, gdy rozpoczyna się wspinaczkę. Denis Urubko chciał zdobyć szczyt K2 przed końcem lutego, bo ta data była zgodna z jego „przekonaniami" i „filozofią". Eksperci powtarzali: „mówił o tej swojej filozofii w różnych wypowiedziach", „to była filozofia, którą Denis często powtarzał", podtrzymał swoją „filozofię zimową". Poszedł na szczyt „zgodnie ze swoimi przekonaniami dotyczącymi sezonu zimowego".

Te wielkie i poważne słowa – idea, filozofia, przekonania – służą usprawiedliwieniu, dowartościowaniu działalności w najlepszym wypadku etycznie wątpliwej. Działalności będącej wynikiem niepohamowanej ambicji, pychy i zapatrzenia w siebie.

Wokół wyczynów taterników, alpinistów, himalaistów stworzono szlachetną legendę. Mówi ona o wielkiej przyjaźni, która powstaje podczas górskiej wyprawy – gdy wspinacze mogą liczyć tylko na samych siebie. Włodzimierz Wysocki napisał nawet poruszającą „Piosenkę o przyjacielu", w której testem przyjaźni jest właśnie wyprawa w góry. Jak jest naprawdę? Pewnie różnie.

Bismarckowi przypisuje się słowa, że im ludzie wiedzą mniej o powstawaniu kiełbasy i tworzeniu polityki, tym lepiej w nocy śpią. Dorzuciłbym do tej listy wspomnianą legendę i „ideę himalaizmu". Im mniej wiemy o jej praktycznej realizacji, tym dla nas lepiej, możemy się karmić złudzeniami o wielkiej górskiej przyjaźni, solidarności, lojalności, o wspinaczach połączonych jedną liną, którzy od siebie są zależni na śmierć i życie.

Cały czar jednak pryska, gdy dowiadujemy się, jak ta himalajska masarnia wygląda od strony zaplecza. Z czym mieliśmy do czynienia w ostatnich tygodniach. Na Nanga Parbat i na K2.

Nie zamierzam lekceważyć wysiłku, jaki jest potrzebny, aby wspinać się na wysokie szczyty. Wierzę, że potrzebne są sprawne ciało, hart ducha, odwaga. Ale co wyznaczenie terminu wspinaczki, a nawet sama wspinaczka ma wspólnego z filozofią? Gdzie tu miejsce na przekonania? I jakaż to wielka idea stoi za poświęceniem życia w Himalajach?

Czy naród polski będzie wspanialszy po tej narodowej wspinaczce? Czy – przepraszam za wielkie słowo – ludzkość będzie miała jakąś satysfakcję, że ktoś zdobędzie jakąś górę zimą? Czy zdobywcy zniosą na niziny nieznane próbki nowych minerałów?

Żeby choć Polacy pierwsi sfotografowali yeti. Ale i to chyba im się nie udało.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl e12a91f2d0

RZECZY POSPOLITE

Bez korzeni?

Tomasz Łysiak

Przyrodnik i leśnik Peter Wohlleben w fascynującej książce o życiu drzew opowiada o tym, w jaki sposób budują one swego rodzaju społeczne więzi. Otóż okazuje się, że drzewa w naturalnym, dawnym lesie, takim, który jeszcze nie był poddany wszechobecnej ingerencji człowieka, tworzyły społeczność, potrafiły się komunikować i świetnie współpracować dla wspólnego dobra.

Drzewa te tworzą „przyjaźnie" dzięki systemowi korzeni, a „światłowodami" grzybni przekazują sobie różne informacje. Potrafią m.in. wspólnie walczyć z wrogiem, np. jakąś natrętną gąsienicą.

Natomiast w hodowlanym lesie (czyli takim, jakich obecnie jest większość) drzewa pozbawione są swych naturalnych sposobów komunikowania się, swych „instynktów". Pozbawione więzi rosną jak „dzieci ulicy" (tak je nazywa Wohlleben) wykorzenione ze wspólnoty. Wynika to m.in. z tego, że ciągle jest robiona wycinka, by drzewa mogły szybciej i równiej rosnąć. Nie istnieją więc prawidłowo zbudowane systemy wzajemnie splatających się korzeni, nie współistnieje obok siebie wiele pokoleń, brak jest osobników mniejszych, które co prawda żyją w cieniu, ale za to wspierają swą brać dołem.

Wohlleben któregoś dnia znalazł w lesie resztki bardzo starego pnia bukowego. Gdy zajrzał do wnętrza, zdumiony dostrzegł nie tylko ślady życia, lecz i zielony kolor – oznakę „pompowania" chlorofilu. Ten pniak był pozostałością po drzewie, które padło może trzysta, a może czterysta lat temu. I okazuje się, że od tamtego czasu okoliczne buki, za pomocą korzeni pomagały starcowi, podtrzymywały go przy życiu. Jakby stanowił dla nich wielką wartość, godną sporego wysiłku...

Czy podobnych mechanizmów nie widać w życiu ludzi i narodu? Gdy się go wykorzeni, odetnie od wspólnotowych więzi, wtedy naród staje się skupiskiem indywidualności wiodących samotniczy i jałowy dla wspólnoty żywot. A do życia jest też jeszcze potrzebna pamięć i cześć dla dawnych pokoleń. Trzeba tę pamięć cenić, wkładać wielki wysiłek w jej przetrwanie i zachowanie. Bez niej wszyscy staniemy się „dziećmi ulicy". Podatnymi na wycinkę. I bezbronnymi wobec każdego drwala, który gdy zechce, to włączy piłę spalinową i dokona wyrębu...

Gra w Chińczyka

Piotr Cywiński

Pani kanclerz się zdenerwowała. Na Polskę, na Grupę Wyszehradzką i na całe Trójmorze. Ale na nasz kraj zwłaszcza. Co tak wkurzyło Angelę Merkel? To, że kombinujemy coś z Chińczykami, że jakiś nowy „jedwabny szlag" nam się marzy i w ogóle, że chcemy być chińską bramą na Europę. „Mogą one [te inicjatywy – przyp. P.C.] osłabić wspólne stanowisko polityczne Unii wobec Państwa Środka" – rzuciła z dezaprobatą na konferencji prasowej z prezydentem Serbii Aleksandarem Vučiciem.

Francuzom też się to nie podoba, a ostatnio i Hiszpanom, o czym doniósł dziennik „El Confidencial"; że to skłócanie krajów UE, czego państwa środkowo-wschodniej Europy w liczbie 16+1 nie widzą i dają się nabrać na chiński lep. Nie daj, Boże, martwi się ów dziennik, Chińczycy zaszczepią nam ichniejszy, autorytarny model polityczny, „obcy zachodnim demokracjom", na co podatne mają być zwłaszcza Polska i Węgry...

Jest takie chińskie porzekadło: szczęśliwi ci, którzy mają krótką pamięć. Ja, niestety, pamiętam, jak kanclerz Helmut Kohl pojechał do Pekinu, zanim jeszcze wyschła krew po masakrze na placu Niebiańskiego Spokoju. Ku zaszokowaniu całego cywilizowanego świata, bo Chiny spotkały się wówczas z międzynarodowym ostracyzmem, odwiedził nawet wojskowe koszary. Ale w zamian przywiózł lukratywne kontrakty, włącznie ze sprzedażą technologii i zleceniem na budowę Transrapidu, superkolei magnetycznej, której w samych Niemczech jeszcze nie było. Podobnie Gerhard Schröder i Angela Merkel. Ostatni raz pani kanclerz odwiedziła Chiny półtora roku temu, i znów były liczne umowy, ba, Merkel zapewniła gospodarzy o zniesieniu wiz dla Chińczyków w ciągu pięciu–dziesięciu lat. Każdej z tych wizyt towarzyszyli w odrębnych samolotach przedsiębiorcy, a zawierane kontrakty opiewały na miliardy. Doszło też do osobliwej rywalizacji między Niemcami a Francją o względy Chińczyków, i były prezydent Nicolas Sarkozy robił z nimi lukratywne geszefty, i on spuszczał zasłonę na łamanie praw człowieka przez chińskie władze, i on wychwalał je za „postępy w demokratyzacji".

À propos chińskich mądrości, jest i taka: bezużyteczne jest uczyć się, ale nie myśleć, a niebezpieczne myśleć, lecz nie uczyć się niczego...

eprasa.pl e12a91f2d0

Wesprzyj budowę Pomników

Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.

W skład komitetu wchodzą m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.

Serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.

Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.

Z góry dziękujemy, ***Redakcja tygodnika „Sieci”***

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

odbiorca:
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP

nazwa odbiorcy cd.
LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

waluta
W P P L N

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

tytułem
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA

tytułem cd.
KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

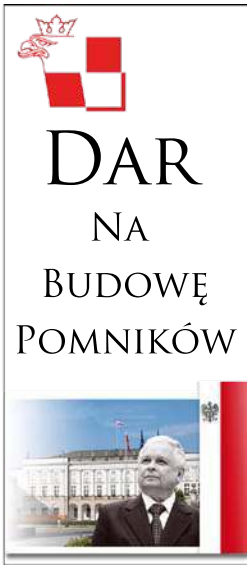

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FELUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 119 590 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

FOT. NA OKŁADCE: RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER, KAROLINA MISZTAL/REPORTER, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e12a91f2d0

Haki „złotych chłopców”

To nie jest tylko sprzeczka dwóch byłych kumpli ani przewidywalny „strzał” w kandydata na prezydenta Warszawy. Ciężkie zarzuty wobec Rafała Trzaskowskiego wysuwa człowiek, który bardzo dużo wie o funkcjonowaniu Platformy Obywatelskiej. Oficjalnie Michał Dzięba jest lekceważony, ale liderom PO strach zagląda w oczy

eprasa.pl e12a91f2d0

Jeśli Trzaskowski zostałby prezydentem stolicy i przysłużył się rozwojowi miasta, dopisałby znaczącą kartę w kolejnym pokoleniu swojego rodu. Jego ojciec, Andrzej, był jednym z największych polskich jazzmanów w historii. Ponad cztery dekady jego wspaniałej pianistycznej i kompozytorskiej kariery przyczyniły się do rozsławienia polskich muzyków w świecie. Pradziadek, Bronisław, był wybitnym językoznawcą.

Rafał na razie ma na koncie mandaty posła i europosła, stanowisko ministra cyfryzacji, wiceministra spraw zagranicznych i wciąż uchodzi za wielką nadzieję Platformy Obywatelskiej. W tegorocznej kampanii samorządowej miał być wręcz wybawieniem dla PO. Ratunkiem przy próbie zmazania wizerunku skompromitowanych samorządowców – prezydentów dużych miast (jak Hanna Gronkiewicz-Waltz czy Paweł Adamowicz) i możliwością pokazania nowej twarzy partii.

Kampania w Warszawie jeszcze nie wystartowała, a już lecą w niej wióry i padają niezwykle mocne oskarżenia. Trzaskowski jest pod ostrzałem swojego dawnego kolegi, Michała Dzięby. Z jednej strony mamy doniesienia o przyjęciu sporej gotówki na kampanię wyborczą w 2009 r., ale też obyczajowe, dotyczące zażywania narkotyków i udziału w sex party, z drugiej – zarzuty choroby psychicznej i zapowiedź pozwu o naruszenie dóbr osobistych.

Nie rozstrzygamy racji w tym sporze. To mogą zrobić tylko bezpośrednio zainteresowani. Być może na sali sądowej. Wierzymy, że to nastąpi, bo sprawa dotyczy jednego z najważniejszych polityków opozycji i całej sceny politycznej. W interesie publicznym jest więc jej dokładne wyjaśnienie.

BURZA W SIECI

Michał Dzięba to były asystent Aleksandra Grada, ministra skarbu w rządzie Donalda Tuska. Wspólnie z Rafałem Trzaskowskim byli także asystentami europosła PO Jacka Saryusz-Wolskiego. Dzięba twierdzi, że wie o kandydacie PO na prezydenta Warszawy więcej, niż ten chciałby odkryć, i w internetowym wpisie demaskuje jego rzekome kłam-

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

stwa: „[...] nigdy nie miałem romansu ze stażystką Klaudią w 2005 r. w Brukseli, nigdy nie byłem na sex party w Brukseli, kokainę to mi musieli wpychać do nosa, wcale nie wziąłem od Marcina Cioka 150 000 PLN na swoją kampanię w 2009 [...]. A ja akurat wiem, Rafciu, bo ze mną siedziałeś w pokoju 1,5 roku, że jest zupełnie odwrotnie [...]".

Trzaskowski odpowiedział po kilku dniach, także na Facebooku: „Nic z tego, co napisał Pan Michał Dzięba, z którym 10 lat temu pracowałem w PE, nie jest prawdą. To stek bzdur. Gdyby nie fakt, że się leczy, rozważyłbym podjęcie kroków prawnych. Mam nadzieję, że wygra z chorobą, ale do tego czasu spodziewam się wielu różnego typu zarzutów z jego strony. W ostatnich miesiącach tego typu zarzuty sformułował zresztą w stosunku do wielu osób. Mam nadzieję, że najbliżsi Michała Dzięby spowodują, że przestanie on rozpowszechniać oszczerstwa na mój temat".

Gdy wpis z portalu społecznościowego podchwyciły media, Dzięba miał moment zawahania: „Uhu szybko to poszło... szkoda mi jego żony Gosi [...]. Gosia super kobieta... przepraszam... tu chodzi o Warszawę i Polskę...". Ale szybko się okazało, że nie zamierza przestać. Na zarzut choroby psychicznej odpowiada publikacją dokumentacji medycznej zaświadczającej o jego zdrowiu, choć nie ukrywa, że miał momenty załamania nerwowego, które wiąże z niepowodzeniami w biznesie. Był na kilkutygodniowej obserwacji w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach. A teraz w koszulce z napisem: „Rafał Trzaskowski – polityk grubej kreski", sugerującej zażywanie kokainy, odwiedza kolejne media i coraz dosadniej formułuje zarzuty. Programy telewizyjne ze swoim udziałem zapowiada w pikantny sposób: „Ukraińscy inwestorzy, korupcja polityczna, nielegalne finansowanie kampanii wyborczej PO, ukryci lobbyści, przekręty prywatyzacyjne – a wszystko przyprawione kokainą, sex skandalami i podwójnym życiem 47-letniego dr. Trzaskowskiego. Będzie naaaaaaaprawdę ciekawie, obiecuję!".

Rafał Trzaskowski z jednej strony jest niewzruszony lawiną pomówień, z drugiej – zapowiada pozwy wobec dziennikarzy i redakcji, które zdecydują się w ogóle informować o sprawie. To ma być – jak pisze – twarda obrona jego dobrego imienia. Mało przekonujące jak na człowieka, który tak zdecydowanie twierdzi, że ma rację. I wręcz absurdalne z pozycji posła, któremu tak na sercu leży hasło „wolne media". Przydałoby się przeciąć sprawę w sądzie z Dziębą.

„Miarka się przebrała. Dosyć oszczerstw kwestionujących moją osobistą uczciwość. Spotkamy się z Panem Dziębą w sądzie. Leczenie choroby psychicznej nie uzasadnia tak uporczywego powielania wierutnych kłamstw" – napisał na Twitterze poseł Platformy po ostatnim występie Dzięby w Telewizji Republika. Czy wreszcie się na to zdecyduje? Rafał Trzaskowski nie odbierał od nas telefonu, poprosił o esemes. Na pytania zawarte w wiadomości tekstowej jednak nie odpowiedział.

HEJTER CZY ŚWIADEK?

Co właściwie zarzuca Trzaskowskiemu jego były współpracownik? Najbardziej zależy mu na tym, by do opinii publicznej przebiła się informacja o nieprzejrzystym finansowaniu kampanii wyborczej do europarlamentu w 2009 r. Chodzi o 150 tys. zł, które Trzaskowskiemu, kandydatowi PO z niższego miejsca, miał wręczyć lobbysta Marcin Ciok, współwłaściciel wraz z Jackiem Łęskim nieistniejącej już dziś agencji PR Aimcomms. Dzięba twierdzi, że był świadkiem, jak Ciok chwalił się, iż „dał Rafałowi 150 tys. zł na kampanię, bo bidny Rafał nie miał tych pieniędzy" (Ciok temu zaprzecza, a Łęski na Twitterze twierdzi, że Dzięba ma zerową wiarygodność).

To miała być swego rodzaju inwestycja w przyszłego europosła, który może w czymś pomóc. Podczas pracy w Brukseli Trzaskowski złożył 23 pytania na forum Parlamentu Europejskiego,

Fot. Kamil Kiedrowski/REPORTER

eprasa.pl e12a91f2d0

Rafał Trzaskowski był w 2010 r. szefem kampanii wyborczej Hanny Gronkiewicz-Waltz. Dziś próbuje udawać, że nie miał z nią nic wspólnego

Fot. Adam Guz/REPORTER

Dzięba sugeruje, że sześć z nich miało być zadanych „w konkretnych sprawach sponsorów".

Inne kwestie dotyczą spraw obyczajowych, brania narkotyków, romansu ze stażystką i udziału w sex party. Dowody, nagrania? Brak. To każe na sprawę patrzeć z naprawdę dużym dystansem. Dzięba twierdzi, że sporadycznie zażywał kokainę wraz z Trzaskowskim oraz był świadkiem wielu opisywanych przez siebie sytuacji. Mówi, że może to zeznać pod przysięgą, ale dla sądu to może być za mało i na tę chwilę wygląda jak klasyczne pomówienie. Dzięby nie zbija to z tropu, powtarza zarzuty bardzo konsekwentnie, prowokuje byłego kolegę. Na Facebooku pisze: „Zadajmy sobie jedno podstawowe pytanie, dlaczego Rafał Trzaskowski nie napisał oświadczenia o treści: 1. Nigdy nie miałem romansu ze stażystką Klaudią. 2.Nigdy nie brałem kokainy. 3. Nigdy nie brałem udziału w sex party, będąc żonatym. 4. Nigdy nie wziąłem od Marcina Cioka pieniędzy (150 000 pln) na swoją kampanię wyborczą w 2009 r. 5. Nigdy nie zadawałem pytań poselskich w UE w konkretnych sprawach moich sponsorów. 6. Nigdy nie dałem Michałowi Dziębie, ówczesnemu doradcy w gabinecie politycznym Ministra Skarbu Państwa, CV osób zaangażowanych w transakcje Zakupu Stoczni Gdańskiej. 7. Nigdy nie lobbowałem na rzecz Siergieja Taruty z ISD".

ISD to Przemysłowy Związek Donbasu, jeden z największych ukraińskich holdingów w branży energetycznej i metalurgii. Dzięba doprecyzowuje: „[...] posiadam CV tych osób powiązanych z ISD z odręczną rekomendacją Rafała Trzaskowskiego datowane na listopad 2007 r. A na książce wejść i wyjść z budynku MSP z listopada/grudnia 2007 r. będzie wpisane moje spotkanie z Marcinem Ciokiem. Umówione w interesie ISD przez Rafała Trzaskowskiego".

Podkreślmy: polityk PO wszystkim tym zarzutom konsekwentnie zaprzecza. Jego dawny kolega zaś chce, by wierzyć tylko w jego słowa. Materialnych dowodów swoich sensacji nie przedstawia.

KIM PAN JEST?

Jaki jest cel Dzięby? Skąd ten raptowny atak na Trzaskowskiego? Tłumaczy, że chce pomóc wyborcom w lepszym poznaniu kandydata PO i wyrobieniu sobie zdania. „Tu chodzi o Warszawę i Polskę" – napisał w internecie. Nie pachnie to jednak czystym altruizmem. Zwłaszcza że skala ujawnianych przez Dziębę patologii na zapleczu PO dotyka nie tylko byłego ministra cyfryzacji, lecz całej jego formacji. Dlaczego Dzięba nagle, po kilku latach, przypomniał sobie o „dilach", jakich dokonywali „złoci chłopcy" Platformy? Gdzie był ze swoimi rewelacjami przez całe lata? To pytania, na które sprawca przedwyborczej burzy nie udziela jasnych odpowiedzi.

Trzaskowski mówi i pisze teraz o Dziębie bardzo lekceważącym tonem. To może być tylko fasada, bo musi przecież wiedzieć, że jego były kolega ma ogromną wiedzę o funkcjonowaniu PO; że wraz z innymi „złotymi chłopcami", Marcinem Rosołem i Piotrem Wawrzynowiczem, był bardzo blisko samego jądra partii. Mieli wpływ na kluczowe decyzje personalne w najważniejszych

eprasa.pl e12a91f2d0

spółkach skarbu państwa i byli zaufanymi ludźmi szefów PO – Donalda Tuska i Grzegorza Schetyny – gdy ci jeszcze grali w jednej drużynie. Również dosłownie, gdyż i młodzieży zdarzało się poharatać w gałę z kierownictwem. To był kolejny stopień wtajemniczenia, bo nie tyle liczyć się miała sama gra, ile późniejsze rozmowy w szatni. Sami swoi.

W 2004 r. Dzięba ruszył do Brukseli, by asystować i doradzać europosłom. Miał niespełna 25 lat. Plotka głosi, że posłał go tam Schetyna, by był jego „uszami i oczami". Gdy w 2007 r. Platforma przejęła władzę, Dzięba trafił do resortu skarbu mimo protestów ówczesnego ministra Aleksandra Grada. Zadanie, znów od Schetyny, się nie zmieniło: obserwować i raportować. Miał się chwalić, że sprawdza życiorysy kandydatów na prezesów spółek – czy nie współpracowali z PiS, czy nie mają wyroków, czy nie będą kraść. On sam przyznawał, że bywa nazywany „pierwszym kadrowym skarbu", ale zaznaczał, że to kłamstwo.

Od początku było jasne, że żaden ze „złotych chłopców" nie chce iść za bardzo w politykę, interesowały ich biznes i gruba kasa, a ta leżała na styku tych dwóch dziedzin. Dzięba, który w 2011 r. był bliskim współpracownikiem ministra Grada, załapał się do rad nadzorczych spółek powiązanych z kapitałem państwowym: PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna, Przedsiębiorstwo Przeładunku Paliw Płynnych Naftoport i KGHM Metraco.

Gdy w 2012 r. zaczęło się mówić, że są jakieś „taśmy" na ludzi Platformy, oczy dziennikarzy, polityków, działaczy i lobbystów skierowały się na Michała Dziębę. Chaos informacyjny był taki, że trudno się było zorientować, czy to on ma te taśmy, czy on na nich jest nagrany. „Newsweek" pisał, że na Dziębę ktoś zbiera materiały, uderzenie w niego miało być ciosem w ministra skarbu, a nim był wówczas Mikołaj Budzanowski. Taśmy ostatecznie nie wypłynęły. Stało się to dopiero w czerwcu 2014 r. Wybuchła afera, ale wtajemniczeni twierdzą, że nie o tych taśmach mówiono w kontekście Dzięby. Do dziś nie wiadomo, czy takowe w ogóle istnieją, ale też nie ma pewności, że ich nie ma. I to jest, wydaje się, źródło obecnej siły Michała Dzięby. Nikt w PO nie wie, jakie materiały i na kogo mógł zgromadzić „Majkel", ale dla wszystkich w partii jest jasne, że tego faceta trzeba się bać. Tym bardziej że idzie ostro do przodu i rzuca kolejne oskarżenia, które dotyczą np. finansowania kampanii wyborczej posła PO Zdzisława Gawlika, interesów żony kolejnego parlamentarzysty Platformy Sławomira Nitrasa czy deweloperskich biznesów w stolicy byłego współwłaściciela Legii Warszawa, Macieja Wandzela.

> Kampania w Warszawie jeszcze nie wystartowała, a już padają niezwykle mocne oskarżenia. Trzaskowski jest pod ostrzałem swojego dawnego kolegi

Jest jeszcze jedna teoria, karkołomna, ale na tyle ciekawa, że nie można jej nie przytoczyć – że obecny nagły zryw Dzięby to nic innego jak kontrolowana detonacja min, na które w kampanii mógłby wpaść Trzaskowski. Rozbrojenie ich teraz i umiejętne przeprowadzenie przez nie kandydata miałoby go uchronić w zasadniczym wyścigu o prezydenturę w stolicy.

BOMBY POD RAFAŁEM

W Sejmie aż huczy od plotek na temat haków, jakie właśnie wyciągają na siebie „złoci chłopcy" Platformy Obywatelskiej. W oficjalnych wypowiedziach posłowie są bardziej niż wstrzemięźliwi. Prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza łapiemy w biegu. Gdy słyszy, o co pytamy, jeszcze przyspiesza kroku. – Dla Rafała Trzaskowskiego to bardzo trudna sytuacja, bardzo trudna – rzuca i biegnie dalej.

Jeden z posłów PO sugeruje, żeby nie traktować Michała Dzięby poważnie, bo ten „się leczy". – Spodziewaliśmy się oczywiście, że będą jakieś ataki na Rafała, ale... to wszystko dzieje się jakoś za wcześnie, przecież jeszcze kawał kampanii przed nami – mówi lekko zdziwiony.

A co o Trzaskowskim sądzi Katarzyna Lubnauer, szefowa Nowoczesnej? – Przystojny. Na pewno niejednemu się podoba. I niejednej – mówi pani poseł z uśmiechem. A poważniej: – Na razie jest naszym wspólnym kandydatem, dogrywamy koalicję, mam nadzieję, że to się uda – dodaje. Swoją drogą to ciekawe, że w momencie, gdy wydawało się, że między PO a Nowoczesną już wszystko

Ewie Wesołowskiej

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci", „Gazety Bankowej" i portali wPolityce.pl oraz wGospodarce.pl

eprasa.pl e12a91f2d0

w Warszawie jest poukładane w kwestii wyborów samorządowych, słyszymy, że to „na razie" wspólny kandydat. Co do zarzutów Dzięby Lubnauer uważa je za „jeden wielki fejk", przewiduje też, że „takich ciosów w kierunku kandydatów opozycji będzie więcej". Koniec komentarza.

Przypomina nam się rozmowa, którą jesienią przeprowadziliśmy z jednym z polityków Nowoczesnej. Było to tuż po połączeniu w Warszawie sił z PO, co de facto oznaczało rezygnację Pawła Rabieja z kandydowania na fotel prezydenta. Już wtedy słyszeliśmy, że sprawa wcale nie jest definitywnie zamknięta: „A co jeśli pod Trzaskowskim wybuchnie jakaś bomba?".

Na dzisiaj stan jest jednak taki, że w przypadku „dogrania koalicji" i zwycięstwa wiceprezydentem Warszawy ma być Rabiej. – Ja Rafałowi ufam. Rozmawiałem z nim o tym, co się teraz dzieje, nie widzę zagrożenia dla naszej wspólnej kandydatury. Jego ogromną zaletą jest to, że on jest daleko od jądra PO. On wręcz przełamuje wewnętrzny opór w partii do zmian, które są miastu konieczne – mówi polityk Nowoczesnej. Pytamy o zarzuty stawiane przez Dziębę. – Sprawy obyczajowe zawsze niosą jakieś zagrożenie, bo to temat nośny dla ludzi i mediów. O tym, że palił trawkę, mówił sam. Słyszałem też, że ktoś go chce wrobić w jakieś romanse ze studentkami, ale to mogą być prowokacje. Osoby publiczne, a my, politycy takimi jesteśmy, zawsze dostają różne „propozycje". Gdyby zebrać te, które ja dostaję... Jest ich tyle, że spokojnie mógłbym sobie ułożyć życie towarzyskie – mówi Rabiej. Trzaskowski jest wykładowcą w Collegium Civitas w Warszawie i w Krajowej Szkole Administracji Publicznej im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W ubiegłym roku sam ujawnił, że otrzymuje propozycje spotkań z kobietami i prośby o pomoc w zorganizowaniu aborcji. Uznał je za prowokację, sprawą zajmuje się prokuratura.

KANDYDAT ZE SKAZĄ

PO nie miała dobrego kandydata na stolicę. Jak mówił w listopadzie na łamach „Sieci" Jan Śpiewak, prezes stowarzyszenia Wolne Miasto Warszawa, ta partia ze względu na reprywatyzację nie powinna wystawiać w Stolicy nikogo. Zdecydowała się postawić na Trzaskowskiego, a on na samym początku postanowił rozbroić to, co mogłoby mu zaszkodzić w zasadniczym wyścigu. Przy okazji chciał się pokazać jako człowiek z poczuciem humoru i dystansem do samego siebie. W żartobliwej „autolustracji" na Facebooku przyznał się wówczas m.in. do palenia w młodości marihuany i wyjazdu na stypendium w Oxfordzie za pieniądze George'a Sorosa.

> W Sejmie aż huczy od plotek na temat haków, jakie właśnie wyciągają na siebie „złoci chłopcy" Platformy Obywatelskiej

Gdy walka o prezydenturę w stolicy rozpocznie się na dobre, zapewne przyjdzie czas na poważniejsze pytania. Na przykład czy zdecydował już, skąd pochodzi. W 2015 r., gdy starał się o mandat posła ze stolicy Małopolski, w jednym ze spotów towarzyszył swojemu przyjacielowi ze szkolnych lat Michałowi Żebrowskiemu. Ten opowiadał o Trzaskowskim: „Z dziada pradziada pochodzi z Krakowa i wie o Krakowie lepiej niż niejeden profesor UJ". Pytamy w obozie rywali, Prawa i Sprawiedliwości, czy przygotowując się do tamtej kampanii, szukali czegoś „na Trzaskowskiego" w kontekście krakowskim. W odpowiedzi słyszymy: – Nie było czego szukać. On nie jest identyfikowany z jakimkolwiek przejawem działalności w Krakowie lub na rzecz Krakowa.

Dziś Trzaskowski przedstawia się jako warszawiak z krwi i kości. Faktycznie tu się urodził. Ale nie można powiedzieć, że zna miasto i jego problemy od podszewki. W mediach społecznościowych cieszy się, że „na spotkaniach z wyborcami" w małym gronie „można się dużo dowiedzieć". Warto przy tej okazji zapytać, dlaczego Trzaskowski relacjonuje spotkania „z wyborcami", skoro prowadzenie kampanii przed jej oficjalnym rozpoczęciem jest złamaniem prawa.

Kandydat PO wie już, że musi lepiej opanować geografię stolicy. Onet.pl opisywał jego spotkanie w południowej części miasta: „Chciałem państwa serdecznie powitać na Kabatach" – zaczął Trzaskowski. „Stokłosy! To są Stokłosy! Stokłosy! Kabaty są dalej. Bez przesady!" – odpowiedzieli mu oburzeni mieszkańcy.

To tylko drobna wpadka, ale w wyborach samorządowych takie rzeczy mogą mieć znaczenie. Za Trzaskowskim ciągną się i inne historie, z lubością odnotowywane przez prasę. W maju „Fakt" opisał, jak poseł podjechał taksówką pod drogą warszawską cukiernię i kupił w niej cztery ciastka za 44 zł. Chwilę wcześniej kobiecie proszącej na ulicy o dołożenie się do jej leków ofiarował... 20 gr. Gdy w 2014 r. szefował resortowi administracji i cyfryzacji, ta sama gazeta przeprowadziła prowokację dziennikarską, z której miało wynikać, że minister zatrudnia na czarno Ukrainki.

Jednak największym problemem Trzaskowskiego w najbliższych miesiącach – jeśli ucichnie afera wokół wspomnień Dzięby – może być odklejenie się od dotychczasowych władz Warszawy. Hanna Gronkiewicz-Waltz i jej najbliższe otoczenie to jeden z największych balastów dla Platformy.

SZEF SZTABU HGW

Pytanie, czy to zadanie jest w ogóle wykonalne. Trzaskowski to przecież człowiek ze ścisłego otoczenia pani prezydent. W 2010 r. był nawet szefem jej kampanii wyborczej. Dziś próbuje udawać, że nie miał z nią nic wspólnego. Zrozumiałe jest więc, że polityczni oponenci mówią o jego ewentualnej prezydenturze jako de facto „czwartej kadencji Gronkiewicz-Waltz".

W kampanii w stolicy niezwykle silny będzie głos ruchów miejskich i lokatorskich. Zwłaszcza ci ostatni po latach

26/0218/F

eprasa.pl e12a91f2d0

gehenny i nieustannego lekceważenia przez urzędników ratusza wreszcie są słuchani. To brak reakcji na ich problemy pokazuje rzeczywistą postawę urzędników. Nie dziwi zatem, że na pytanie o kandydaturę Trzaskowskiego Bożena Baranek, przyjaciółka śp. Jolanty Brzeskiej, mówiła w TVP: „Będzie tak, jak było! Pozostanie buta urzędników". Ewa Andruszkiewicz z rady społecznej przy komisji weryfikacyjnej po ogłoszeniu startu Trzaskowskiego w rozmowie z portalem wPolityce.pl powiedziała: – Bardzo dobrze, że takiego kandydata proponuje opozycja, ponieważ nie sądzę, żeby ktoś chciał na niego zagłosować. Tylko trzeba przypominać stale, że to on jest ojcem polityki ostatnich lat, owych „Mossakowskich" i innych bandytów, którzy bogacili się, niszcząc zwykłych ludzi. To właśnie jemu zawdzięczamy nasze nieszczęścia. Może mieć piękne pomysły podczas nowej kampanii, tylko szkoda, że nie miał ich przy poprzedniej.

Tego argumentu Trzaskowski nie ma jak zbić: skoro w Platformie jest tyle wspaniałych, nowych idei dla Warszawy, to co partia rządząca stolicą robiła przez ostatnie 11 lat?

Czyli dokładnie tyle, ile w ratuszu pracuje Małgorzata Trzaskowska, żona Rafała. Dziś w biurze rozwoju gospodarczego, wcześniej – w biurze promocji miasta.

Jak ma w stolicy wyglądać „mądra zmiana", o której mówi kandydat PO? Co w takim razie do tej pory było „głupie"? I jaka to zmiana, skoro chodzi o to, by ekipa się nie zmieniała? Trzaskowski jest – wbrew wyżej wspomnianym słowom Pawła Rabieja – z samego jądra partii (były minister, wiceminister, oczy i uszy Schetyny w Brukseli, dziś szef dyplomacji w gabinecie cieni Platformy) i jej warszawskich struktur (szef sztabu HGW, z żoną znajdującą zatrudnienie w ratuszu po wygranych przez partię wyborach). Nie sposób udawać, że to człowiek z zewnątrz skompromitowanej partii, który może w Warszawie cokolwiek posprzątać.

Były wiceszef MSZ to sprawny polityk. Z niezłymi kompetencjami (wykształcenie, znajomość języków obcych) i talentem – doskonale wie, kiedy zagrać niezależnego (jak wtedy, gdy zarzucił populizm Donaldowi Tuskowi grożącemu wyciąganiem konsekwencji wobec protestujących lekarzy). 46-latek wciąż uchodzi za polityka młodego, nieskażonego platformerskim betonem. Ale w wielu sprawach jest tego betonu emanacją. Jak w przypadku pomników smoleńskich. Przez osiem lat były bliski współpracownik Gronkiewicz-Waltz nie zrobił nic, by upamiętnić ofiary katastrofy 10/04, teraz przemawia przy transparencie „Nie ma nic wiecznego na pl. Piłsudskiego", co oznacza, że razem z partyjnymi kolegami chciałby pomniki tragicznie zmarłych w Smoleńsku burzyć.

Platformerską strategię „ulicy i zagranicy" realizuje również na arenie międzynarodowej. W 2016 r. uczestniczył w pisaniu rezolucji Parlamentu Europejskiego przeciwko Polsce. Nie przeciwko PiS, lecz Polsce, której stolicy chce być prezydentem.

REKLAMA

Wszystkie wojny Schetyny

Wszystkie frakcje i grono delfinów w PO zdają sobie sprawę, że partia znajduje się obecnie w okresie „wielkiej smuty”

STANISŁAW JANECKI

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

Tylko pozornie zaproszenie Elżbiety Bieńkowskiej i Radosława Sikorskiego na Radę Krajową Platformy Obywatelskiej (24 lutego 2018 r.) było zaskoczeniem. Tym bardziej że komisarz Bieńkowska była jednoznacznie przypisywana do frakcji Donalda Tuska, a Sikorski naraził się Grzegorzowi Schetynie, nazywając go w restauracji Amber Room członkiem „żulii lwowskiej”, człowiekiem „ograniczonym, którego górny pułap możliwości to szefowanie MSWiA”. Co innego jednak urazy i dawne podziały, a co innego pilna potrzeba wzmocnienia się w związku z walkami frakcyjnymi, które rozsadzają PO od wewnątrz. A po wyrzuceniu z partii Stefana Niesiołowskiego, Michała Kamińskiego, Jacka Protasiewicza i Stanisława Huskowskiego przewodniczący Schetyna nie jest już w stanie pacyfikować buntowniczych nastrojów kolejnymi karnymi akcjami. Jest na to po prostu za słaby i zbyt uwikłany w wewnętrzne wojenki oraz konflikty.

Zaproszenie Bieńkowskiej, a jeszcze bardziej jej pojawienie się na spotkaniu Rady Krajowej, miało pokazać wyborcom Platformy, że nie ma konfliktu ani z frakcją Tuska w PO, ani z samym byłym premierem jako ewentualnym „zbawcą” partii i Polski w roku wyborów parlamentarnych (2019) oraz prezydenckich (2020). Z kolei wyciągnięcie Sikorskiego z zamrażarki miało dowodzić, że w obliczu zewnętrznych zagrożeń Schetyna nie jest już politycznym kilerem i potrafi korzystać z wszystkich aktywów ugrupowania. Odhibernowanie Sikorskiego miało ewidentnie Schetynę wzmacniać, tym bardziej że były szef MSZ i marszałek Sejmu nie ma w partii własnej frakcji, więc jego możliwości knucia są niewielkie. Miało też dowodzić wspaniałomyślności przewodniczącego, wciąż jednak chcącego uchodzić za Grzegorza „Zniszczę Cię” Schetynę. I miało zdjąć ze Schetyny piętno największego radykała, przynajmniej w sferze werbalnej. Było bowiem pewne, że odhibernowany Sikorski będzie chciał powetować sobie wielomiesięczne odstawienie i „popłynie” retorycznie w stronę „dorzynania watahy”, i to 24 lutego 2018 r. się stało.

WIRUS ADAMOWICZA

Pozornie mogłoby się wydawać, że pozycja Schetyny jako szefa PO jest niezagrożona, podobnie jak status jego partii jako najważniejszej siły opozycji. Rozmawiał z pozycji siły z Nowoczesną oraz jej nową przewodniczącą Katarzyną Lubnauer i wydawało się, że jest w najlepszej sytuacji od przejęcia władzy w partii w styczniu 2016 r. Te pozory rozwiały się przy pierwszej rzeczywistej konfrontacji, czyli przy okazji rokoszu prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Na nic zdały się namowy samego przewodniczącego Schetyny i szefa klubu parlamentarnego Sławomira Neumanna. Adamowicz zapowiedział kandydowanie w wyborach na prezydenta Gdańska nawet wbrew PO i bez jej poparcia. W tej konfrontacji nie chodzi tylko o Adamowicza, prestiż Schetyny ani wartość jego przywództwa w partii. Chodzi o to, czy Platforma pod wodzą Schetyny rzeczywiście ma te aktywa, którymi się szczyci jako swymi najważniejszymi zasobami. Formalnie cała siła PO to obecnie największe polskie miasta i ich prezydenci oraz sejmiki wojewódz-

eprasa.pl e12a91f2d0

kie i ich marszałkowie. Tyle tylko, że nad wieloma z nich krąży „wirus Adamowicza", czyli perspektywa otwartego buntu.

Ważni samorządowcy związani z PO od co najmniej roku uważają, że partia niemająca oparcia we władzy centralnej nie jest im do niczego potrzebna, a wręcz może być balastem. Szczególnie gdy Schetyna i centrala ugrupowania domagają się dzielenia łupami i stanowiskami, a nic w zamian nie oferują. Lokalni liderzy są już na tyle silni, że nie widzą powodu, by dzielić się fruktami i stanowiskami z centralą czy robić miejsce dla ludzi Schetyny w samorządowych spółkach i instytucjach. Od dawna nic wspólnego z PO nie chcą mieć jej byli reprezentanci, tacy jak prezydenci: Wrocławia – Rafał Dutkiewicz, Szczecina – Piotr Krzystek, Gliwic – Zygmunt Frankiewicz, Sopotu – Jacek Karnowski, Opola – Arkadiusz Wiśniewski czy marszałek województwa dolnośląskiego Cezary Przybylski. W najbliższych wyborach od PO może się odciąć prezydent Poznania – Jacek Jaśkowiak, Białegostoku – Tadeusz Truskolaski, a odciął się już Paweł Adamowicz, który ma wciąż w partii wielu zwolenników. I „wirus Adamowicza" może infekować kolejne regiony oraz prezydentów i marszałków. Nie mają oni wprawdzie tak licznej i uzależnionej od siebie klienteli jak Adamowicz, ale szybko się uczą. Poza tym wiedzą, że to oni mają taktyczną przewagę, a nie Schetyna, gdyż w wyborach samorządowych mogą sobie bez niego poradzić, a dla przewodniczącego PO rozsianie „wirusa Adamowicza" po całej Polsce byłoby zabójcze, bo oznaczałoby przegraną partii w wielu dużych miastach i na poziomie województw. To z kolei oznaczałoby koniec Schetyny jako szefa Platformy już przed wyborami do Parlamentu Europejskiego (późną wiosną 2019 r.). Gdy więc Schetyna pręży muskuły w rozmowach o ewentualnych koalicjach z Nowoczesną, w istocie przykrywa strach przed plajtą w regionach i w dużych miastach.

TOTALNA WOJNA TOTALNEJ OPOZYCJI

Strach Schetyny o zły wynik wyborów samorządowych, które są dla niego być albo nie być, wykorzystuje oczywiście wewnętrzna opozycja. Rada Krajowa PO poświęcona polityce zagranicznej (24 lutego 2018 r.) była więc próbą choćby częściowego spacyfikowania tej opozycji na terenie bezpiecznej problematyki. W tej problematyce można było wykorzystać Elżbietę Bieńkowską i reaktywować Radosława Sikorskiego, demonstrując przy tym jedność, której faktycznie nie ma. Na razie skutecznie Schetyna obezwładnił tylko Rafała Trzaskowskiego, robiąc go kandydatem na prezydenta Warszawy. A gdyby Trzaskowski przegrał, Schetyna uczyni go winnym po wyborach i trwale wyeliminuje jako konkurenta do przewodzenia partii. Częściowo obezwładnił też Agnieszkę Pomaskę z frakcji „młodych wściekłych", obiecując wystawienie jej w wyborach na prezydenta Gdańska. Ale podobne obietnice złożył Jarosławowi Wałęsie, gdy zatem dojdzie do konkretnego wskazania kandydata, jedno z nich będzie mocno zawiedzione. Mniej szkodliwy w skutkach byłby zawód młodego Wałęsy, więc chyba Pomaska ma większe szanse, by być kandydatem.

Frakcja „młodych wściekłych" nie została jednak spacyfikowana. Na przykład posłowie Sławomir Nitras, Michał Szczerba, Joanna Mucha, Paweł Olszewski czy Kinga Gajewska.

eprasa.pl e12a91f2d0

Osobnym buntownikiem jest zaliczany do „młodych wściekłych" Borys Budka, mający ambicje występowania w roli najpoważniejszego następcy Grzegorza Schetyny. Żeby z szefem PO wygrać, potrzebuje nie tylko swojej grupy, lecz także wciąż silnej frakcji Donalda Tuska – z Ewą Kopacz, Czesławem Mroczkiem, Marcinem Kierwińskim, Cezarym Tomczykiem czy Jakubem Rutnickim. Potrzebuje też uśpionej spółdzielni Cezarego Grabarczyka oraz coraz słabszej, ale wciąż istniejącej, grupki Bronisława Komorowskiego (z senatorem Bogdanem Borusewiczem). Schetyna częściowo rozbroił Budkę, robiąc go wiceprzewodniczącym partii, ale były minister sprawiedliwości jest przez żelazną gwardię Schetyny traktowany jako osoba bardzo niebezpieczna. I zdeterminowana, by walczyć o przywództwo.

Przy Schetynie wiernie trwają właściwie tylko jego starzy druhowie z wewnętrznej opozycji wobec Tuska, czyli Rafał Grupiński, Sławomir Neumann, Andrzej Halicki i Robert Tyszkiewicz. Może też liczyć na ludzi, którzy wiele mu zawdzięczają, czyli Monikę Wielichowską, Gabrielę Lenartowicz, Tomasza Lenza i Marzenę Okłę-Drewnowicz. Schetyna doprowadził do przejścia kilku posłów Nowoczesnej do PO, więc siłą rzeczy wdzięczni mu są Joanna Augustynowska, Marta Golbik czy Grzegorz Furgo. Ale inne ważne postacie PO, przede wszystkim Ewa Kopacz, Małgorzata Kidawa-Błońska, Bogdan Borusewicz, Tomasz Siemoniak, Bartosz Arłukowicz, Henryka Krzywonos, Elżbieta Radziszewska czy Iwona Śledzińska-Katarasińska, tylko czekają na potknięcie lidera, a niektórzy bez oporów wbiją mu nóż w plecy. Tacy ludzie jak Krzysztof Brejza z sejmowej komisji ds. Amber Gold czy Robert Kropiwnicki z komisji weryfikacyjnej ds. warszawskiej reprywatyzacji w razie konfrontacji przyłączą się do Borysa Budki. Raczej trwale Schetyna zraził do siebie coraz szczuplejszą grupę konserwatywną, gdy po głosowaniu w sprawie ustawy Barbary Nowackiej dotyczącej aborcji wyrzucił z partii Marka Biernackiego, Joannę Fabisiak i Jacka Tomczaka. Wciąż lojalnym wobec obecnego przewodniczącego samorządowcom PO, np. prezydent Łodzi Hannie Zdanowskiej czy prezydentowi Lublina Krzysztofowi Żukowi, będzie wszystko jedno, czy Schetyna pozostanie, czy będzie wymieniony na kogoś innego, jeśli wygrają wybory w swoich miastach.

„WIELKA SMUTA"

Dla Schetyny testem prawdy będą wybory samorządowe. Jeśli przegra na poziomie sejmików wojewódzkich, a w kilku największych miastach dawni kandydaci Platformy odetną się od tej partii, będzie po obecnym przewodniczącym PO. Nie tylko rzuci mu się go gardła Budka, lecz przede wszystkim frakcja Tuska, inspirowana i zachęcana przez obecnego przewodniczącego Rady Europejskiej, który wciąż swego dawnego zastępcy szczerze nie cierpi (z wzajemnością). Generalnie można się spodziewać zaprzestania wojen pomiędzy poszczególnymi frakcjami niechętnymi Schetynie i wspólnego ich wystąpienia, by się pozbyć przewodniczącego partii. Obecne ożywienie i odrodzenie frakcji wiąże się z utrzymywaniem się wielkiej przewagi PiS nad PO w sondażach i z programowej oraz strategicznej bezradności ekipy Schetyny. Budka czy frakcja Tuska wcale nie są pod tym względem lepsi, ale mogą mówić, że nie ujawniają swoich pomysłów, aby nie rozbijać ani nie osłabiać partii. I część wyborców Platformy ten „kit" kupi, naciskając na obalenie Schetyny, jeśli PO wypadnie słabo w wyborach samorządowych.

> Rada Krajowa PO z udziałem Bieńkowskiej i Sikorskiego była próbą choćby częściowego spacyfikowania przez Schetynę jego wewnątrzpartyjnej opozycji

Wszystkie frakcje i grono delfinów w PO zdają sobie sprawę, że partia znajduje się obecnie w okresie „wielkiej smuty". Analogia z rosyjską wielką smutą z przełomu wieków XVI i XVII jest tylko trochę przesadzona. Wewnętrzne wojny oraz intrygi w czasie, gdy odchodziła dynastia Rurykowiczów, a instalowała się dynastia Romanowów, przypominają wojenki i intrygi w PO. Wtedy w Rosji była jeszcze zewnętrzna interwencja (polska i szwedzka), ale w wypadku PO za taką można uznać mieszanie się w sprawy partii przez Tuska. Zaproszenie Bieńkowskiej miało mu trochę utrudnić to mieszanie się, ale de facto nic nie zmieniło.

Mimo że do wyborów samorządowych pozostało prawie osiem miesięcy, wewnętrzne wojny w PO wcale nie są przedwczesne. W kampanii wyborczej wojenki siłą rzeczy muszą się wyciszyć, więc czasu na przygotowanie pozycji i okopów realnie zostało niewiele. Wszystko musi być przemyślane i zaplanowane, zanim zacznie się ścisła kampania, czyli na wewnętrzne rozgrywki i walki pozostały właściwie tylko cztery miesiące, gdyż wakacje temu nie sprzyjają. Dlatego wiosna będzie czasem decydującej rozgrywki. Pozornie Schetyna ma przewagę, gdyż to on będzie układał listy wyborcze. Ale perspektywa buntu wielu lokalnych działaczy i samorządowców sprawia, że będzie musiał zawrzeć z nimi setki kompromisów, czyli de facto jego władza nad listami będzie ograniczona. Tym bardziej jeśli dojdzie do jakiejś formy koalicyjnego porozumienia z Nowoczesną. Schetyna ma więc narzędzia dyscyplinowania partii, ale nie są one mocne. Rada Krajowa PO miała pokazać jedność partii i zasypywanie podziałów, ale widać było, że za fasadą wszystko buzuje. Wprawdzie w roli pierwszego frustrata wystąpił Sikorski, ale większość działaczy jest sfrustrowana i zniechęcona. I taka powiązana sznurkami, skonfliktowana wewnętrznie partia staje do serii czterech wyborów. Wiele wskazuje na to, że już po pierwszych z nich dojdzie w PO do otwartej wojny i próby wymiany kierownictwa.

eprasa.pl e12a91f2d0

Malowanie mnie relaksuje

Mam na swoim koncie wykonanie kilkuset obrazów, karykatur, ozdobnych kluczyków, grawerowanego tasaka konfederatów barskich, pisanek, broszek, bombek. Niektórzy koledzy wstydzą się przyznać, że umieją szyć. Ale nie ma czego. Pochwalę się, że potrafię też szydełkować i haftować

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl/e12a91f2

Z Markiem Suskim, szefem gabinetu politycznego premiera Mateusza Morawieckiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Co pan ostatnio zmalował?

Marek Suski: Mam nadzieję, że nic. A jeśli chodzi o malowanie, to choćby fresk na przydomowym garażu. Od dawna marzyłem, żeby namalować fresk. Przez kilka lat szukałem odpowiedniej ściany i nie znajdowałem. Ale latem robiłem remont garażu i wpadłem na pomysł, aby świeżo otynkowaną ścianę pokryć freskiem. I tak powstał obraz inspirowany starożytnymi freskami pompejańskimi i tymi z Herkulanum. Zadbałem o detale, np. umieściłem wizerunek wazy tzw. portlandzkiej. To odnalezione w ruinach starożytnego Rzymu naczynie z dwubarwnego szkła. Kunsztowne dzieło sztuki, właściwie do dziś nie wiadomo, jak oni to zrobili. W tym fresku także ma udział moja utalentowana wnuczka, która dzielnie mi pomagała.

Jeśli ktoś nie zna pana zamiłowania do sztuki, pomyśli, że to żart.

W sprawie sztuki jestem śmiertelnie poważny. No, chyba że akurat rysuję karykaturę. Malowanie bardzo mnie relaksuje. Odreagowuję w ten sposób polityczne stresy. To taka pędzloterapia. Niekiedy podczas długich obrad uciekam w karykaturę. Kiedyś w trakcie komisji usiadła na stole natrętna mucha, nie dawała się przegonić, to ją też narysowałem.

Ulubiony obiekt?

W karykaturze wdzięczny obiekt to: Stefan Niesiołowski jako truteń Gucioł, który wysyła dzieci na szczaw i mirabelki. Także Myszka Agresorka, która z wałkiem rzuca się na kota prezesa. Były polityk PO w „szale wstęgocięć", gdy dwa razy otwierano tę samą drogę. Ofiarą mojej karykatury padł też Sławomir Nowak, meldujący na kolanach przed Tuskiem przed Euro 2012 o działających objazdach, bo przecież autostrad nie było.

Co jeszcze pan tworzy?

Mam na swoim koncie wykonanie: ozdobnych kluczyków, grawerowanego tasaka konfederatów barskich, pisanek, broszek, bombek, sporo portretów (również przodków).

Zarabiał pan kiedyś malowaniem?

Owszem, choć to było dawno. Sprzedawałem także obrazy na giełdzie staroci. W sumie namalowałem kilkaset obrazów. Dom, w którym teraz mieszkam z żoną, kupiłem częściowo za pieniądze z malowania. Jednak, żeby zarobić na sztuce, trzeba sporo pracować. Może przesada, że od świtu do nocy, ale wymaga to dużej samodyscypliny. Trzeba traktować to jak pracę i codziennie swoje odsiedzieć przy sztaludze. Odkąd zostałem posłem, czas mam głównie podczas wakacyjnej przerwy i wtedy staram się zawsze coś zrobić. Z braku czasu tylko niektóre pomysły udaje się zrealizować. Obawiam się, że teraz, gdy znalazłem się w KPRM, może już nie być chwili na malowanie. A w domu czeka sporo rozpoczętych obrazów, więc gdybym kiedyś miał dość polityki albo polityka mnie, będę miał co robić.

Jak się zaczęło to pana malowanie?

Od dziecka marzyłem, żeby mieć w domu obrazy, tęskniłem za piękną rzeczywistością, a ta w PRL była raczej smutna i szara. Nie było nas stać na kupowanie obrazów, komuniści pozbawili moją rodzinę całego majątku. Obiecałem sobie, że gdy będę duży, to sobie sam namaluję. Nauczyłem się malować i słowa dotrzymałem.

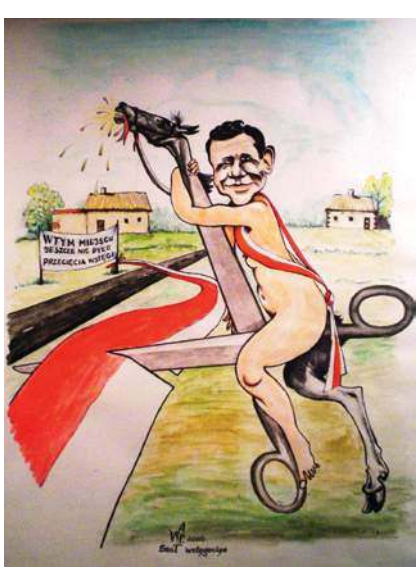

Gdzie pan się uczył?

W wieku przedszkolnym chodziłem na zajęcia do ogniska plastycznego przy PKS-ie, gdzie pracowała moja mama. Tam mnie uczyła artystka – pani Bajkowska. W domu dużo rysowałem. Miałem swoje szkicowniki. W średniej szkole uczęszczałem na zajęcia z rysunku, a po niej poszedłem do pomaturalnej szkoły technik teatralnych. Tam uczyłem się malarstwa, rysunku, rzeźby, charakteryzacji, perukarstwa, stąd moja ksywka „Perukarz". Ale zrobienie peruki to bardzo trudne zadanie. Trzeba znać wiele ściegów szycia, umieć pracować szydełkiem, zrobić kształt głowy, trzeba znać kierunki rośnięcia włosów, wiedzieć, że każdy włos ma inny kolor itd. Jedna peruka to około dwóch tygodni pracy.

I co pan robił po tej szkole?

Trafiłem do teatru. Jednak nie na długo. Pracowałem tam przez rok. Później poszedłem do wojska, a gdy wyszedłem, to trwał stan wojenny i trzeba było podpisać deklarację współpracy. A ja nie chciałem, więc zacząłem pracować w zakładzie rzemieślniczym. Zajmowałem się tam ślusarstwem i metaloplastyką. Tam nauczyłem się robić np. sztuczną biżuterię. Wiedza wyniesiona ze szkoły bardzo się przydawała. W PRL, gdy wszystkiego brakowało, na własne potrzeby robiłem farby, a nawet pastę do butów. Byłem samowystarczalnym zakładem rzemieślniczym, chemicznym, malarskim, krawieckim. Uszyłem ubrania: spodnie, kamizelkę, koszulę. Dziś mi się zdarza tylko incydentalnie przyszyć guzik. Niektórzy koledzy wstydzą się przyznać, że umieją szyć. Ale nie ma czego. Pochwalę się, że potrafię też szydełkować i haftować.

Zostańmy jeszcze chwilę przy charakteryzacji. Którą wspomina pan najlepiej?

eprasa.pl e12a91f2d0

Kiedyś robiłem uciętą głowę do przedstawienia Szekspira. Była dość przerażająca. Oczy i usta w grymasie, ociekała krwią. No i wpadliśmy z kolegami aktorami na pomysł, żeby zrobić dowcip w akademiku. Uciętą głowę z podobizną twarzy aktora położyliśmy na podłodze. Kolega przykrył sobie głowę poduszką, oblał się ketchupem. Zawołaliśmy koleżanki. Prawie pomdlały na widok odciętej głowy kolegi na podłodze. W młodości miewałem szalone pomysły! Prowadziliśmy szkolny kabaret. Ale najlepiej wspominam przedstawienie w domu kultury w Tarczynie. Wykonałem wiele masek zwierząt do bajek, tak że młodzi aktorzy stawali się owcą, wilkiem, myszą itd. Kiedy zostałem posłem, zaprosił mnie TVN, żebym zrobił charakteryzację. Gdzieś wyczytali, że się tym zajmowałem. Umówiliśmy się, że zrobię sarmatę. Przygotowałem się do tego, przywiozłem elementy twarzy: nos, brodę, wąsy, a kiedy przyjechałem do TVN, usłyszałem, że zmieniła się koncepcja i jednak mam zrobić pirata. Pomyślałem, że to taki test.

> W pomaturalnej szkole technik teatralnych uczyłem się malarstwa, rysunku, rzeźby, charakteryzacji, perukarstwa, stąd moja ksywka „Perukarz”

Do oceny mojej pracy zaproszono panią, która pracowała z Szymonem Majewskim, przerabiając aktorów na polityków. Miałem ucharakteryzować prezentera pogody. Zrobiłem mu złoty ząb, kurzajki, szramy na twarzy, brodę, kolczyki pirackie. Zaproszona ekspertka dobrze oceniła moją pracę. I potem pokazali tego młodego człowieka ucharakteryzowanego na pirata, ale już nie powiedzieli, że to moja robota. Może za dobrze mi poszło.

Premiera też by pan umiał ucharakteryzować?

Oczywiście. Gdyby się okazało, że przed ważną konferencją nie dojechała pani od make-upu, umiałbym zrobić pełny makijaż. Tylko nie wiem, czy premier by się zgodził, słysząc, że lubię malować karykatury.

O Grzegorzu Schetynie mówi się Shrek. Pana zdaniem pasuje?

Nie bardzo, bo Shrek był postacią pozytywną, obok brzydkiego wyglądu miał szlachetny charakter. To mi nie pasuje do szefa PO. Kiedy patrzę na Schetynę, przychodzi mi na myśl film „Maska”. Jest tam taka scena, w której zdegenerowany gangster zakłada maskę. Zawsze wtedy sobie myślę: o, jaki podobny do Grzesia.

Sam pan często pada ofiarą karykaturzystów i prześmiewców. Przeszkadza to panu?

Kiedyś zbierałem karykatury z sobą w roli głównej, podobnie jak te, które sam robię. Zwłaszcza że często te ze mną są po prostu bardzo zabawne, choć zjadliwe. Czasem padam też ofiarą własnej kreski. Kiedyś narysowałem się w dybach.

Wspomniał pan żart z młodości, który mógł koleżanki doprowadzić do zawału. A w dzieciństwie też pan miewał zwariowane pomysły.

eprasa.pl e12a91f2d0

Wstyd się przyznać, ale nie byłem szczególnie grzecznym chłopcem. Na lekcjach mnie nosiło, nie mogłem spokojnie usiedzieć. Często do szkoły byli wzywani rodzice. Nierzadko słyszałem: „Suski do kąta", dostawałem też piórnikiem po rękach. Jednak nie każdy nauczyciel miał ze mną tak samo trudno. Gdy lubiłem przedmiot i profesora, to można się było ze mną dogadać. Lubiłem chemię i nauczycielki tego przedmiotu. Maturę z chemii zdałem więc na piątkę. A gdy kogoś nie lubiłem, to mój cięty język dawał o sobie znać. Czasem dostawałem dwóję za pyskowanie. Do dziś uważają mnie za politycznego rozrabiakę, mówią, że mam cięty język, ostre riposty. W szkole podstawowej była taka nauczycielka, działaczka PZPR, a ja nigdy nie kochałem partii ani komuny, więc mieliśmy na pieńku. I gdy byłem w klasie maturalnej, ta pani skończyła jakiś kurs i przyszła uczyć do liceum, wpadliśmy na siebie na korytarzu i ona mówi do mnie: „A ty, Suski, co tu robisz?". Ja jej na to: „Ja maturę, a pani co?". Pani się obraziła, a potem próbowała mnie wyrzucić ze szkoły, ale byli tacy, którzy mnie bronili.

A te psikusy?

Było ich sporo. Zwłaszcza w szkole podstawowej. Mieliśmy np. nauczycielkę zaawansowaną wiekiem i niezbyt dobrze widzącą. Wpełzaliśmy jej pod biurko i przywiązywaliśmy sznurowadła do krzesła, co się kończyło zachwianiem równowagi pani profesor. Nie polecam takich dowcipów, zresztą mało kto dziś używa sznurówek. Na szczęście trafiłem też na wielu wybitnych profesorów, którzy dostrzegli we mnie coś więcej niż tylko rozrabiakę.

Jak pan poznał żonę?

Kolega zaprosił mnie na choinkę dla nauczycieli do szkoły, w której uczył. I podczas tej choinki dzieci wystawiały dla nauczycieli przedstawienie pod kierownictwem pani Eli. No i weszła ONA z dziećmi. Wtedy poprosiłem kolegę, żeby mnie poznał z panią Elą, bo to będzie moja żona. Powiedziałem to żartem, no i żart się ziścił. To było jak piorun z nieba. Po 15 minutach podzieliłem się z nią swoim przeczuciem. Trochę ją to rozbawiło, ale chyba i spodobało się, skoro mamy dziewięcioletnią wnuczkę.

> Do dziś uważają mnie za politycznego rozrabiakę, mówią, że mam cięty język, ostre riposty

I kota.

Mieliśmy kiedyś suczkę, którą wychowaliśmy od szczeniaka. Jednak była już bardzo stara i odeszła. Później przybłąkała się kotka i została z nami.

Jest pan dumny ze szlacheckich korzeni?

Faktycznie wywodzę się z rodu Chebda de Grabie Suskich herbu Pomian z Suska. Jednak pochodzenie to głównie zobowiązanie. Na uznanie trzeba pracować w każdym pokoleniu, a dokonania przodków powinny być drogowskazem. To, że posłowie przodkowie na sejmach elekcyjnych wybierali królów, jest zobowiązaniem do odpowiedzialnego dbania o losy Polski i żeby nie przynieść rodzinie wstydu.

Historię rodzinną też pan zilustrował?

Słyszę ironię w głosie. A ja na potrzeby rodziny przygotowałem amatorską publikację. Proszę zobaczyć. Pierwszy noszący w dokumentach nazwisko Suski to Jan z Zakrzewa, miecznik brzesko-kujawski, właściciel Suska od 1399 r., bo to od tego miejsca pochodzi nazwa rodu. To z tego roku pochodzi dokument wystawiony przez księcia Janusza Mazowieckiego, który nadaje podatek koniczny na majątku Susk dla Jana z Zakrzewa właśnie. Kolejny z rodu był Łastek Hebda de Grabie Suski, o którym wiadomo, że zmarł około 1446 r., marszałek księcia Mazowieckiego. Pierwszy z herbem Pomian z Wieniawitów (którzy to ponoć mieli przybyć na tereny Polski jeszcze z Dobrawą). Przyjął nazwisko Suski i przejął Susk od brata około 1408 r. A tu [poseł pokazuje na drzewo] konfederacja barska. Szymon Suski był marszałkiem konfederatów, walczył o Polskę, później się ukrywał, a następnie część rodziny przeniosła się na Mazowsze.

Robi wrażenie.

O, a tu, na drzewie genealogicznym, widać posłów na Sejm 1753 r. „Kacper Suski z hetmanem Janem Zamoyskim jeździł na wszystkie ekspedycje do Moskwy, w potrzebach znacznym mężem się okazywał" – to zapiski z dokumentów historycznych. Tu mój dziadek Piotr z Eugenią Maciejowską, a tu stryj z Antoniną Trąbczyńską, rodziną marszałka Trąbczyńskiego. A ja tu, na samym dole. Niżej mój syn. Taka historia zobowiązuje.

eprasa.pl e12a91f2d0

Priorytetem bezpieczeństwo

JAN PARYS

Dlaczego bezpieczeństwo zostało uznane za priorytet polskiej polityki zagranicznej w okresie rządu Beaty Szydło po wygranych przez PiS wyborach parlamentarnych w końcu 2015 r.? Czy to tylko upodobanie ministra Witolda Waszczykowskiego,czy może to partyjny program PiS?

Fot. Julita Szewczyk

Nie, to nie pasja Waszczykowskiego ani program partyjny PiS decydowały o wyborze priorytetu naszej dyplomacji w końcu 2015 r. Priorytet ten został zatwierdzony przy okazji exposé ministra spraw zagranicznych na początku 2016 r. przez Sejm. Wybór bezpieczeństwa jako priorytetu wynikał z analizy sytuacji międzynarodowej wokół Polski. Nasz kraj ma pewne doświadczenia historyczne, bo Polska leży tu, gdzie leży, czyli – jak napisał Dmowski ponad 100 lat temu – między Rosją a Niemcami. Dziś można dodać: także obok potencjalnie silnej Ukrainy. Trudno ignorować sąsiadów, zwłaszcza kiedy już pokazali, że mają imperialne, agresywne zamiary i są zdolni do wszystkiego.

Zatem stara idea geopolityki mówiąca o wpływie otoczenia na bezpieczeństwo państwa w naszym przypadku jest aktualna. Zadaniem dyplomacji państwa o średnim potencjale w Europie jest: patrzeć na położenie kraju i budować korzystny układ sił. Nie leżymy na skraju Europy jak Portugalia czy Szwecja, nie leżymy obok przyjaznych sąsiadów jak Szwajcaria, wiadomo, że w czasie II wojny światowej Niemcy mieli inne zamiary wobec Holendrów czy Duńczyków, a inne wobec Polaków.

KONIEC RESETU

Świat po 1990 r., kiedy upadł Związek Radziecki, był przez chwilę pod wrażeniem proroctwa Fukuyamy o końcu historii. Razem z końcem ZSRS miał się skończyć konflikt Wschód–Zachód, miała nastać epoka zgody, pokoju, rozwoju, redukcji zbrojeń, pokojowej współpracy. Dziś wiemy, że tak się nie stało. Rosja po paru latach kooperacji z Zachodem wróciła do polityki zbrojeń, zanegowała Kartę paryską z 1990 r., która przewidywała swobodny wybór sojuszy przez każdego z uczestników, zburzyła równowagę militarną, jaka istniała podczas podpisywania układu NATO–Rosja, powróciła do stosowania siły w relacjach międzynarodowych, do zmiany granic przemocą (Gruzja, Ukraina). To spowodowało, że Zachód zatrzymał politykę resetu i szerokiej bezwarunkowej współpracy polityczno-gospodarczej z Moskwą. Rozpoczęły się wyścig zbrojeń i rywalizacja mocarstw. My to już znamy z przeszłości, kiedy istniała PRL. Tym razem jednak Polska jest po drugiej stronie, tzn. jest w NATO, jest w obozie zachodnim i mamy wojska USA na naszym terytorium.

SUKCES SZCZYTU

Jak w tej sytuacji może i powinna wyglądać nasza polityka zagraniczna? Nie zamierzam tu krytykować poprzednich ekip, bo wtedy ktoś pomyśli, że prowadzę partyjną agitację. Przypomnę jedynie, co się wydarzyło w dziedzinie bezpieczeństwa w czasie ostatnich dwóch lat.

Kiedy Witold Waszczykowski zostawał szefem MSZ, sytuacja w Europie wspomniana powyżej już była jasna dla każdego profesjonalisty. PiS nie bez powodu wybrało na szefa MSZ osobę, która jest zawodowym dyplomatą i jest wyspecjalizowana w problematyce bezpieczeństwa międzynarodowego. W końcu 2015 r. mieliśmy z jednej strony wojnę obok Polski – agresję rosyjską wobec Ukrainy, rosnące rosyjskie zbrojenia, ale i szczyt Sojuszu Północnoatlantyckiego latem 2016 r. w Warszawie. Ten szczyt był dla Polski wielką szansą, a dla MSZ ogromnym wyzwaniem.

Dotychczas, czyli do 2016 r., Polska będąc w NATO, miała gwarancje bezpieczeństwa, ale papierowe. Trzeba było wielkich starań, by to zmienić, przekonać inne państwa członkowskie sojuszu, że potrzebne są plany obrony wschodniej flanki, że potrzebna jest na wschodniej flance obecność wojsk sojuszniczych. To zostało osiągnięte. Każdy może przeczytać 30-stronicowy komunikat ze szczytu NATO w 2016 r., gdzie jest diagnoza sytuacji oraz są zadania dla członków sojuszu. To była wielka praca MSZ oraz ogromna odpowiedzialność za bezpieczeństwo RP, i to ważna dla kilku pokoleń. Jak wiadomo, nie wszyscy w tym pomagali. Są kraje zachodnie, które lekceważą zagrożenie rosyjskie, są kraje zachodnie, które wyżej cenią kooperację gospodarczą z Rosją i bieżące zyski niż bezpieczeństwo. Są także ludzie w Polsce, którzy z nienawiści do obecnego, demokratycznie wybranego rządu proponowali, by odwołać szczyt, wynieść z Warszawy lub zablokować jego decyzje, uwarunkować obronę Polski od usunięcia obecnego rządu. Zadania związane ze szczytem były zatem dla naszej dyplomacji naprawdę trudne.

Pragnę przypomnieć coś, czego wielu polityków w Polsce nie rozumie, a mianowicie, że w państwach demokratycznych tworzących sojusz obowiązuje cywilna kontrola nad armią. To jedna z zasad demokracji zachodniej. To oznacza, że odróżniamy politykę obronną od polityki bezpieczeństwa. Polityka obronna należy do wojskowych, tak jak cała sfera decyzji czysto militarnych, natomiast polityka bezpieczeństwa należy do cywilów, czyli dyplomatów z MSZ. To nie jest przypadek, że sekretarzem generalnym NATO jest zawsze cywil; że sojusz decyzje strategiczne podejmuje w gronie ministrów spraw zagranicznych. Dlatego właśnie za to, co się działo przed szczytem i podczas szczytu, odpowiadało MSZ, a realizacja decyzji podjętych na szczycie należy do MON. Ważnym obowiązkiem MON dotyczącym szczytu było także jego zabezpieczenie logistyczne – zapewnienie lokum na obrady. Z tego zadania MON wywiązało się znakomicie, zapewniając warunki obrad nie tylko wygodne, lecz i bardzo eleganckie, wręcz luksusowe. Dorobek szczytu to komunikat, był on redagowany przez dyplomatów, w tym polskich. Walka o pewne zapisy trwała jeszcze w nocy między obradami, nawet dwie godziny przed ostatnim plenarnym posiedzeniem był spór o kilka zdań. Polska jako gospodarz szczytu miała odpowiedzialność nie tylko za swoje interesy, lecz za powodzenie całego szczytu – kierunek, w jakim idą decyzje.

STRATEGICZNY SOJUSZ Z USA

Ale szczyt to nie koniec problemów z bezpieczeństwem. Jak wiemy, kilka miesięcy później zmienił się prezydent USA. Przyszła nowa republikańska administracja. Nie było oczywiste, czy nowa ekipa zrealizuje postanowienia szczytu, w jakim zakresie i jak szybko. W tej sytuacji zadaniem dyplomacji było doprowadzić do zbudowania silnych relacji z nową administracją USA, która zaczęła urzędowanie w końcu stycznia 2017 r. To się udało. Najpierw były

eprasa.pl e12a91f2d0

rozmowy z zapleczem intelektualnym Waszyngtonu, jak Kissinger, Brzeziński czy Heritage Foundation, a wreszcie na początku kwietnia 2017 r. doszło do merytorycznej rozmowy z Rexem Tillersonem. Wtedy zostały przedstawione nie tylko nasze interesy, lecz i pewna diagnoza sytuacji w Europie, pogląd na nasze zadania w Europie na flance wschodniej wobec militaryzacji rosyjskiej polityki zagranicznej. Byłem przy tej rozmowie i mogę powiedzieć, że okazała się sukcesem. Dowód na to nadszedł na początku czerwca 2017 r., kiedy Departament Stanu ogłosił, że pierwsza podróż bilateralna prezydenta USA będzie podróżą do Polski, w lipcu 2017 r.

Jak wiadomo, podczas wizyty w naszym kraju prezydent Donald Trump nie tylko powiedział wiele ciepłych słów o Polsce i o Polakach w Europie, lecz także potwierdził zobowiązania militarne USA wobec Europy, potwierdził stacjonowanie kilku tysięcy żołnierzy amerykańskich w Polsce, budowę tarczy antyrakietowej w naszym kraju, wsparł współpracę państw Trójmorza, obiecał, że USA dostarczą gaz i ropę, gdyby Rosja próbowała szantażować kraje naszego regionu. Przemawiając w Warszawie, prezydent USA pokazał również, na czym polega jego podejście do spraw zagranicznych. Nie unikał odwołania do wartości, religii, pojęcia cywilizacji. Wskazał, że dla niego liczy się nie tylko sojusz, lecz cała cywilizacja zachodnia, do której zalicza USA, Europę, Kanadę, Australię, Nową Zelandię oraz państwa sojusznicze, jak Japonia, Republika Korei czy Tajwan. To coś nowego, bo od wielu lat taka refleksja w Europie po prostu nie istniała.

W styczniu 2018 r. Rex Tillerson, będąc w Warszawie, powtórzył słowa prezydenta USA. Czyli obietnice Trumpa z lipca 2017 r. to nie była chwilowa uprzejmość, to jest trwały kierunek amerykańskiej dyplomacji w Europie. Sekretarz stanu publicznie skrytykował budowę rurociągu Nord Stream II, ponownie zadeklarował wsparcie dla regionu Trójmorza, przypomniał, że Polska jest krajem o starej tradycji demokratycznej, który stosuje trójpodział władz. Można powiedzieć, że amerykańskie wsparcie dla Trójmorza jest najważniejszą inicjatywą USA wobec Europy od czasu zjednoczenia Niemiec.

NIC NIE JEST DANE NA ZAWSZE

To najkrótsze i bardzo ogólne podsumowanie polityki bezpieczeństwa, jaką prowadziło MSZ podczas ostatnich dwóch lat. Oczywiście nie wyczerpuje ono wszystkich problemów z zakresu bezpieczeństwa Polski. Można i trzeba bardziej szczegółowo zdiagnozować sytuację w zakresie bezpieczeństwa Polski na poszczególnych kierunkach, czyli w kontekście poszczególnych relacji bilateralnych, by zrozumieć, co się dzieje, co jest w naszym interesie i o co gramy z innymi.

> Nie można lekceważyć polityki zagranicznej. Jej trzeba podporządkować reformy wewnętrzne i partykularne interesy poszczególnych resortów

Jedno jest pewne – ostatnie dwa lata to wielki historyczny sukces polskiej dyplomacji, jakim jest zapewnienie Polsce bezpieczeństwa przez powiązanie naszego kraju sojuszem z najsilniejszym państwem na świecie, z USA. O takiej sytuacji marzyły pokolenia Polaków. Wielu osobom brakuje dziś wyobraźni, by zrozumieć skalę osiągniętego sukcesu w dziedzinie bezpieczeństwa w czasie pierwszych dwóch lat rządów PiS, czym jest budowa w Polsce tarczy antyrakietowej i stacjonowanie w naszym kraju kilku tysięcy żołnierzy amerykańskich. Teraz nasze relacje z NATO to już nie są gwarancje tylko na papierze.

Nic nie jest jednak dane na zawsze. O utrzymanie obecnego korzystnego dla Polski układu sił trzeba dalej się starać. Jest kilka państw, którym obecna silna pozycja Polski i nasz sojusz z USA bardzo nie odpowiadają. I zrobią wszystko, by zminimalizować nasze aktywa w dziedzinie bezpieczeństwa. Nie jest zatem prawdą, że po osiągniętym sukcesie można teraz spocząć na laurach, ograniczyć rolę MSZ, zrezygnować ze starań o bezpieczeństwo, zająć się głównie forsowaniem handlu zagranicznego, ograniczyć dyplomację do relacji z Unią Europejską, czyli zmienić priorytet naszej polityki zagranicznej. Takie podejście świadczyłoby o naiwności i niezrozumieniu tego, co się dziś dzieje w Europie. Przebieg wydarzeń z początku 2018 r. jest tego najlepszym dowodem. W ciągu kilkunastu dni nasze relacje z Izraelem, USA, Ukrainą znalazły się na zakręcie, co oczywiście Polski politycznie nie wzmocniło. Nasza pozycja w dziedzinie bezpieczeństwa nagle stała się trudniejsza, bo powstały napięcia międzynarodowe na tle naszej polityki wewnętrznej z państwami, które są dla nas ważne.

Reformowanie kraju jest istotne, bo pozwala pokazać elektoratowi, co rząd robi i na kogo należy głosować w nadchodzących wyborach. Mąż stanu to jednak ktoś, kto nie jest jedynie politykiem partyjnym, nie myśli tylko o wygraniu najbliższych wyborów. Dla niego najważniejszy jest długookresowy interes państwa. Nie można dopuścić do takiej sytuacji, w jakiej Polska była w końcu XVIII w. Wówczas skoncentrowano się na bardzo potrzebnych i nowoczesnych reformach wewnętrznych, lekceważąc znaczenie zagrożeń zagranicznych. Trzeba wyciągać wnioski z takich sytuacji. Nie można lekceważyć polityki zagranicznej. Co więcej, to ona ma być naczelnym interesem państwa, jej trzeba podporządkować reformy wewnętrzne i partykularne interesy poszczególnych resortów. Bo nie będzie żadnych reform wewnętrznych ani żadnych wygranych wyborów, kiedy państwo straci swą pozycję w Europie, kiedy utraci suwerenność, bo zostanie zwasalizowane.

Autor był szefem gabinetu politycznego ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego, jest członkiem rady Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Prezentowane poglądy reprezentują opinie autora, a nie instytucji, w której pracuje.

eprasa.pl e12a91f2d0

Rechot na zgliszczach

Pożar w Burdelu miał być hitem TVN, bo „»Ucho Prezesa« się kończy". Tylko czy żarty z martwego płodu i nazywanie Polski „zdzirą" mogły rozbawić kogoś więcej niż gwiazdy z Wiertniczej?

KRZYSZTOF FEUSETTE

Pokaz widowiska przygotowanego przez – jak zapowiadali entuzjaści – „kabaret polityczno-literacki" o gorącej nazwie Pożar w Burdelu miał być satyrycznym wejściem smoka. Edward Miszczak, dyrektor programowy TVN, zapowiadał: „[...] »Ucho Prezesa« jest oparte na tekście i chyba swój szczyt ma już za sobą. W programach Pożaru w Burdelu jest więcej piosenek. Natomiast »Fabryka patriotów« to miks starych i nowych rzeczy". Miszczak uprzedzał, że pierwszy odcinek nie zostanie pokazany na żywo, „event będzie rejestrowany" i „przejdzie kolaudację ze względu na odpowiedzialność prawną nadawcy". W pierwszych rzędach widowni zasiadły takie tuzy dziennikarstwa, jak Seweryn Blumsztajn, Katarzyna Kolenda-Zaleska, Magda Mołek czy Piotr Kraśko, który tuż przed emisją zachęcał na jednym z portali społecznościowych: „A Ty? Zabrałeś kiedyś żonę do Burdelu? I jeszcze pożar był! Genialny spektakl. Jak zawsze. Zobaczcie koniecznie".

I tylko przed telewizorami zapadło niezręczne milczenie, z każdą minutą przechodzące w wycie z rozpaczy. I to wcale nie z ust prawicowych publicystów, którzy wielką porażkę TVN musieli przyjąć z radością – ale ze strony najbardziej oddanych „krewnych i znajomych" stacji z Wiertniczej. „Ależ to jest słabe, to, co nadaje teraz TVN (Pożar w Burdelu »Fabryka patriotów«)" – komentował na gorąco Tomasz Sekielski, dawny gwiazdor stacji. „Pożar (w Burdelu), zamiast parzyć, zniesmacza. Rozczarowanie!" – dodawał Grzegorz Kępka z Polsatu. „Zacząłem oglądać Pożar w Burdelu nagrany z TVN. Przestałem po 15 minutach" – nie wytrzymał nawet Zbigniew Hołdys, felietonista „Newsweeka", którego zniesmaczyć raczej trudno, biorąc pod uwagę jego wulgaryzmy pod adresem obecnej władzy

Jeśli nawet im Pożar w Burdelu nie przypadł do gustu, to może chociaż oddanemu sprawie „walenia w PiS" Onetowi? Niestety, recenzent Wojciech Krzyżaniak tuż po emisji donosił: „Pożar w Burdelu to zawsze było wydarzenie bardziej towarzyskie niż artystyczne. Za sprawą elitarności wynikającej z trudności dostania się na spektakl (małe sale) i zachwytów snobujących się nań »luminarzy towarzyskiego życia stolicy« obrósł legendą i stał się niemal synonimem walki z obecną władzą przy użyciu nieskrępowanej sztuki". Coś jednak poszło nie tak. „Byli wyjątkowi i nagle nie są. Byli wspaniali i nagle okazali się po prostu bardzo średni". Krzyżaniak dodawał, że jedyne, co mogłoby uratować TVN przed blamażem, to sytuacja, gdyby „jakiś polityk się obraził, a najlepiej, żeby Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji wydała gniewne oświadczenie. Będzie się czym chwalić. Gorzej, jeśli nic się w tej kwestii nie wydarzy, wtedy cały ten pożar pójdzie w gwizdek". Nawet plotkarski Plotek.pl zmiażdżył TVN-owską propozycję: „Miało być zabawnie i z dystansem, ale według widzów wyszło bardzo słabo, a żarty osiągały poziom wręcz żenujący". A tzw. zwyczajni telewidzowie? Pod zwiastunem „Fabryki patriotów" na stronie internetowej TVN.pl podczas trwania programu (nieco ponad godzinę) pojawiły się raptem cztery komentarze. Cytuję w całości: 1. „Straszne... przykre... jeżeli przekleństwa są dla Was artyzmem, to nie za wysoka ta Wasza półka"; 2. „Moim zdaniem straszna lipa! Fałszują! Potwornie... Miny osób na widowni również pozostawiają wiele do życzenia"; 3. „Oglądam i żałuję. Nie wiem, jak mogliście dopuścić do emisji tego »czegoś«. Dno"; 4. „Nie da się tego oglądać!".

EGO W TUNELU

Rzeczywiście od czasu opolskiego Kabaretonu sprzed kilku lat, gdy Jerzy Kryszak „żartował", że Jarosław Kaczyński „dostał od matki pieniądze, he, he, na loda, he, he", rzadko widuje

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. Jankowski/REPORTER

się w polskich telewizjach rozrywkę na tym poziomie. Już początek jest ostry. Prowadzący, wystylizowany na alfonsa, zwany Burdeltatą, witając się z siedzącą na widowni Magdą Mołek, rzuca piłeczkę krótką, acz treściwą: „Witam, rączki całuje, a kto zmieni kanał, ten będzie ch...". Alfons informuje, że za całe wcześniejsze chamstwo (choć rzecz dopiero się zaczyna) „przeprasza suwerena", bo niniejszym przyjmuje posadę „ministra kultury i rozrywki narodowej". Propozycję tę otrzymał od swego kolegi Matiego, jak nazywa premiera Morawieckiego. Dowiadujemy się także, że za komuny „burdele były jaskinią dla opozycjonistów", a o potwierdzenie tego faktu poproszony zostaje wspomniany już Seweryn Blumsztajn z „Gazety Wyborczej". Osią fabularną staje się opowieść Burdeltaty o zorganizowanej przez rząd Matiego tytułowej „Fabryce patriotów". Tam na początek spotyka seksoholiczkę Michalinę Wisłocką-Curie (w tej roli znana ze „Szkła kontaktowego" Katarzyna Kwiatkowska). Kolejne żarty: „U pana Michała Piroga w najciemniejszym tunelu jego ciała znaleziono szczelnie opakowane folią spożywczą jego ego". Piróg siedzi w pierwszym rzędzie i po słowie „tunel" eksploduje radością. Potem piosenka zbiorowa, która przynosi informację, iż fałszują w tym spektaklu w zasadzie wszyscy. Po grającym Burdeltatę Andrzeju Konopce już w dziesiątej minucie widać pierwsze oznaki zmęczenia (ciągle coś piją z Kwiatkowską). A może nawet bardziej – brak pomysłu na zbudowanie roli na czymś więcej ponad zniżaniem głosu, dziwnym podrygiwaniem jedną nogą i rzucaniem mięsem, którego w widowisku jest niemało. Na scenę wbiegają „piastowskie plemniki" (postacie w białych strojach z antenkami na głowach), które „na cześć ojczyzny" trzykrotnie wznoszą hitlerowski okrzyk „Sieg hail!". Brawa są, choć ciche, przerywa je piosenka aktorki uosabiającej Polskę (w ręce narty, w blond perukę wpiętych kilkanaście biało-czerwonych chorągiewek). Śpiewa, że „ma trochę grzechów do ukrycia", żegna ją utwór zbiorowy, w którym artyści krzyczą na koniec: „Zap...dalamy!". Zaczyna się spektakl właściwy.

RECHOT Z PAPIEŻA

Pani z DziwaTiwi wita europosła Ryszarda Czarneckiego (nie ma go na widowni) i Rafała Ziemkiewicza (którego też nie ma). Za to będąca Karolina Korwin-Piotrowska śmieje się z tego do łez. Artyści ciągną swoje: „Burdel jest jednym z ostatnich miejsc, które jednoczy naród". Widać, że już samo brzmienie tego strasznego słowa na „b" (podobnie zresztą, jak przekleństw) przynosi nie tylko wykonawcom, lecz i wyrobionej TVN-owskiej widowni dużo radości. To, jak się wydaje, jeden z filarów scenariusza, drugim ma być, co z każdą minutą widać wyraźniej, wywołanie skandalu i oburzenia wśród tzw. środowisk patriotycznych. Bo nikt już nie ukrywa, że całość wymierzona jest nie w polityków jako takich ani nawet nie w obecną władzę, ale przede wszystkim – we wszystko, co polskie. W wartości bliskie większości normalnych Polaków, w ich sentymenty, tradycje, wspomnienia, wspólne uniesienia. Pewnie, że to ostrze najmocniej kłuć ma PiS, ale przecież ślepymi nabojami głuchych dowcipów próbuje się tu trafić w każdego, komu na Polsce w jakiś sposób zależy. To dlatego gwiazdorska, TVN-owska publika tak chętnie rechocze. Wbrew temu, o czym chcieliby przekonać społeczeństwo, to nie jest dla nich „oczyszczający śmiech z samych siebie", ale rechot z innych. Z fanów Stocha, katolików, ludzi, dla których polska kultura nie zaczyna się na Gombrowiczu, a kończy na Szycu i dla których wolność nie jest ani darem szpicla dla narodu, ani prezentem od „ludzi honoru", którzy tyle legend opozycji przerobili na tłustych misiów. To uderzenie w „polski ciemnogród".

Więc są „dowcipy" o „stringach z husarzem, czyli bielizny erotyczno-patriotycznej", z papieża Jana Pawła II, jest „pieśń martwego płodu", dyrygowana przez lalkę przedstawiającą prof. Chazana. Pojawia się temat Marca '68: „Polacy z natury czyści, niewinni, inni szatani bywają tu czynni" – drwią artyści Pożaru w Burdelu. Jest opowieść o polskim antysemityzmie: para polskich chłopów wychodzi na Żydów z widłami, śpiewając „Antysemitką nie jestem, ale...". A kiedy starsza kobieta wyje, że chce „swatać Polaków", a na koniec ujawnia, iż jest „Wandą, przyjaciółką papieża" (Wanda Półtawska – przyp. K.F.), publika jest wniebowzięta. Widać, jak wciąż brakuje jej tanich żartów z Ojca Świętego, a „Klątwa" w Powszechnym to dla niektórych za mało.

Na koniec Maciej Stuhr zniszczy piosenkę „Żeby Polska była Polską", a potem wygłosi sarkastyczny (chyba) monolog o samym sobie, iż kiedyś był „lewacką k...wą", która „grała w antypolskich filmach", ale zmądrzał, gdyż „usłyszał Polskę". W ostatniej scenie Polska zostaje nazwana, zupełnie dosłownie, „zdzirą".

ZAMIAST POST SCRIPTUM

Pożar w Burdelu – za Wikipedią – 2013 – „Wdecha", nagroda warszawskiego dodatku „Gazety Wyborczej" („Co jest grane") w kategorii „Wydarzenie Roku"; 2014 – dyplom ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Małgorzaty Omilanowskiej (za twórczy wkład i odkrywanie niekonwencjonalnych dróg popularyzacji wiedzy); 2015 – nominacja do Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida; 2016 – Grand Prix Ogólnopolskiego Festiwalu Komedii w Tarnowie; 2017 – Nominacja do nagrody „Paszporty Polityki" w kategorii teatr...

eprasa.pl e12a91f2d0

Kompromitujące pierwsze miejsce

Fot. Julita Szewczyk

W rywalizacji o zmienianie i mnożenie przepisów prawa Polska osiągnęła europejskie dno. Jedyną władzą mającą moc walki z tym legislacyjnym potopem jest premier

JAN ROKITA

Wskaźnik zmienności prawa w UE (państwo o najbardziej stabilnym prawie = 1)

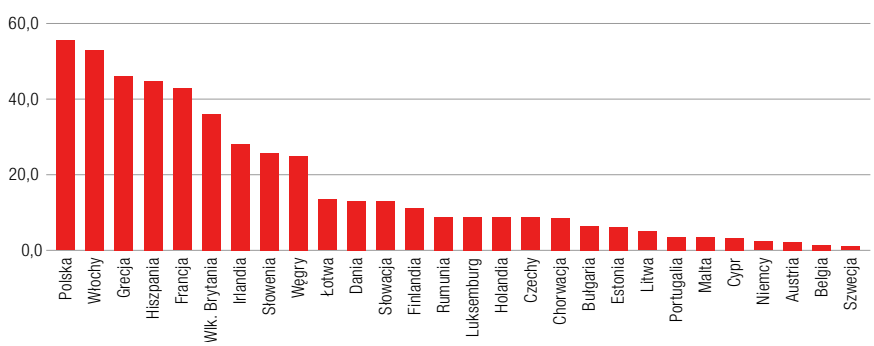

Źródło: Raport „Barometr prawa" przygotowany przez zespół badawczy firmy Grant Thornton

Ten wykres powinien niepokoić zwłaszcza premiera, ministra sprawiedliwości i wszystkich posłów. A już na pewno dwojgu wysokim rangą urzędnikom winien każdej nocy spędzać sen z powiek: szefowej Rządowego Centrum Legislacji Jolancie Rusiniak (która wróciła na tę funkcję i sprawuje ją łącznie przez pięć lat) oraz Piotrowi Kędziorze – od ośmiu lat dyrektorowi sejmowego Biura Legislacyjnego. O ile tylko wszyscy oni traktowaliby serio swój obowiązek ratowania systemu polskiego prawa. Ten prosty wykres pokazuje bowiem, że pod względem płynności i niestabilności przepisów prawnych Polska zajmuje kompromitujące... pierwsze miejsce w całej Unii Europejskiej. A niedaleko za nami plasują się nieco tylko lepsze Włochy i Grecja, czyli kraje słynące z niskiej kultury prawnej, chaosu legislacyjnego, oraz – co z tym związane – umiejętności życia i prowadzenia biznesu obok przepisów.

To, że w tej kluczowej dla jakości rządzenia rywalizacji udało nam się osiągnąć europejskie dno, jest jedną z najgorszych informacji o stanie naszego państwa. Wystarczy rzucić okiem na wykres, aby zauważyć, że dla rzekomo zbiurokratyzowanych, przeregulowanych i uginających się pod ciężarem tysięcy przepisów Niemiec ów wskaźnik jest w ostatnich latach 24-krotnie mniejszy niż dla naszego kraju (2,3 w stosunku do 55,6). Faktu lawinowego narastania przepisów i ich zmienności nie da się zatem tak łatwo wytłumaczyć jakimiś abstrakcyjnymi trendami cywilizacyjnymi, które ponoć miałyby zmierzać ku powszechnej

eprasa.pl e12a91f2d0

regulacji wszystkiego i wszędzie. Przykład niemieckiej polityki legislacyjnej pokazuje, że realnie silne państwo jest w stanie skutecznie się przeciwstawić takim trendom. Oczywiście nie umie tego zrobić państwo słabe.

PRAWOTWÓRCZY POTOP

Raport pt. „Barometr prawa", z którego wykres pochodzi, jest tworzony każdego roku przez zespół badawczy firmy Grant Thornton. Autorzy „Barometru" robią przy tej okazji trochę śmieszne, a trochę straszne przeliczenia mające przemówić do naszej obywatelskiej wyobraźni. Możemy się więc np. dowiedzieć, że gdyby średnich zdolności człowiek chciał porządnie (wraz z niezbędnymi odnośnikami) przeczytać tylko nowe akty prawne, uchwalone w 2017 r., wymagałoby to odeń... 62 lat czytania. Można takie obliczenia traktować jako sprowadzanie całej rzeczy do groteski. Ale są one pożyteczne, gdyż pozwalają zobaczyć absurd tak tworzącego się systemu prawnego oraz ślepą uliczkę, jaką jest dodawanie do tej puli ciągle nowej i nowej porcji przepisów. Logicznie myślącemu człowiekowi musi się przecież nasunąć pytanie: no dobrze, ale czy jest gdzieś w ogóle kres tej lawiny? Czy też za – powiedzmy – 20 lat będziemy mieć do czynienia z prawną apokalipsą, w postaci milionów sprzecznych i powikłanych nawzajem przepisów, w których już ani człowiek, ani nawet komputer nie będzie w stanie znaleźć ni ładu, ni logiki?

Paradoksem jest, że ów smutny europejski rekord Polska bije, mimo że w 2017 r. tempo przyrostu zmian w prawie było minimalnie mniejsze niźli w rekordowym roku poprzednim. Wygląda to zresztą na niekontrolowany przypadek, który następny rok może znów odwrócić w złą stronę. Nikt bowiem w Polsce nie prowadzi polityki legislacyjnej, która powinna być fundamentem rządzenia państwem. Nie robią tego ministrowie ani podlegli im resortowi urzędnicy, którzy najczęściej bezmyślnie prą do tego, by przeforsować w swojej branży jeszcze jedną ustawę, jeszcze jedno rozporządzenie... Bo niemal każde nowe prawo daje im jakąś władzę, uprawnienia, możliwości kontroli życia ludzi albo ich działalności gospodarczej. Nie od dziś wiadomo (na ten temat przed laty prof. Klaus Goetz i Radosław Zubek zrobili świetny raport dla Ernst & Young), że nie ma takiej siły, która by skłoniła resorty do wyhamowania prac nad zmienianiem i mnożeniem przepisów. Nie inaczej rzecz się ma z posłami, którzy z naiwną beztroską i z reguły bezmyślnie skłonni są w sali sejmowej naciskać na przemian guziki zielone i czerwone, myląc tylko czasem ich kolory, jeśli akurat nie nazbyt uważnie śledzili dostarczone im przez partię kolorowe schematy głosowań. Niestety takim hamulcem nie są też profesjonalne służby legislacyjne – ani rządowe, ani sejmowe. Legislatorzy, sprowadzeni w Polsce do roli kwiatka do kożucha, najwyżej rozpaczliwie starają się (a i tak często bez skutków) uspójniać i porządkować to, co i tak już się ani uspójnić, ani uporządkować nie daje.

> Gdyby średnich zdolności człowiek chciał przeczytać tylko akty prawne uchwalone w 2017 r., wymagałoby to odeń... 62 lat czytania

JAK TO ROBIĄ INNI

Cokolwiek by mówić, głównym winowajcą jest tu wadliwy ustrój i nieprzemyślana konstytucja. W XXI w. konstytucja, która nawet nie próbuje przeciwdziałać inercyjnej fali inflacji i degeneracji prawa, zupełnie nie odpowiada na wyzwania czasu. Zrozumieli to Węgrzy, wprowadzając do swej nowej konstytucji wymóg trudno zmienianych tzw. ustaw organicznych w wielu głównych segmentach państwa. Wadliwe przepisy konstytucyjne odpowiadają za samowolę poprawek poselskich, walnie przyczyniających się do niespójności systemu prawnego. Nie mają mocy konstytucyjnej, więc w praktyce są całkiem lekceważone, instytucje tak fundamentalne dla ustroju jak plan prac legislacyjnych i tzw. oceny skutków regulacji, mające w założeniu ochraniać państwo przed zalewem projektów ad hoc, często wynikających z jakiegoś akurat głośnego faktu medialnego albo z potrzeb propagandowych partii rządzącej. Francuzi, których w tej akurat mierze warto by było naśladować, w ogóle radykalnie ograniczyli tzw. materie ustawodawcze, tak by rosnąca liczba skomplikowanych kwestii czysto technicznych nie zmuszała posłów do naciskania „czerwonego lub zielonego" w sprawach, których sensu w ogóle nie rozumieją. Zmarły tragicznie w katastrofie smoleńskiej rzecznik praw obywatelskich Janusz Kochanowski przygotował nawet niegdyś projekt utworzenia Rady Stanu, która by odpowiadała za jakość prawa i walkę z nadregulacją. Nikt jednak nie sięgnął do jego idei.

Skoro jednak dzisiejsza polityka uniemożliwia szybką naprawę złego ustroju i kiepskiej konstytucji, jedyną władzą mającą moc walki z legislacyjnym potopem jest premier. A ściślej mówiąc: premier, który miałby tu stanowczą wolę, egzekwowaną przez podległe mu rządowe służby. Twórcą przygniatającej większości zmian w przepisach jest bowiem rząd. A nawet, gdy ostatnimi czasy PiS często dla ominięcia procedur rządowych składa projekty poselskie, to i tak bez stanowiska rządu z reguły nie mogą one iść do przodu. Jedynie premier mógłby odnowić w Polsce ideę polityki legislacyjnej, której celem jest polityczne panowanie nad całością systemu prawnego. Chodzi tylko o to, że kolejni premierzy właśnie na tym polu od lat zawodzą. Chyba jest im po prostu wygodnie z tym, iż w każdej chwili, jeśli tylko komuś w partii lub rządzie wpadnie coś do głowy, można to niezwłocznie przekuć w obowiązującą ustawę. Dlatego nie wprowadzają ani nie respektują żadnych sztywnych reguł czy procedur tworzenia prawa. I dlatego ponoszą winę za prawotwórczy potop, jaki na nas sprowadzają.

eprasa.pl e12a91f2d0

Obalanie generała

JAROMIR KWIATKOWSKI

W Jabłonkach w gminie Baligród w Bieszczadach nie ma już pomnika gen. Karola Świerczewskiego. Rozebrano go – na mocy ustawy o dekomunizacji przestrzeni publicznej – w ostatniej dekadzie lutego. Zniknęła atrakcja turystyczna czy monument upamiętniający komunistyczną kreaturę?

Monument według projektu Franciszka Starynkiewicza został odsłonięty w roku 1962 w miejscu, w którym 28 marca 1947 r. Świerczewski, ówczesny wiceminister obrony narodowej, został śmiertelnie raniony w zasadzce UPA. Pozwolenie na – planowany już od ponad roku – demontaż pomnika, znajdującego się na terenie Nadleśnictwa Baligród, wydał starosta leski.

„Istnienie pomnika w opinii IPN kłóci się z zasadami szacunku pamięci narodowej, jak również pozostaje w sprzeczności z zapisami art. 156 kodeksu karnego zabraniającymi gloryfikacji systemów totalitarnych" – głosił komunikat Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie.

Koszt demontażu monumentu – 52 tys. zł – pokryje nadleśnictwo, które za pośrednictwem wojewody podkarpackiego wystąpi do skarbu państwa o refundację tych nakładów. Fragmenty pomnika trafią do Muzeum Zimnej Wojny w Podborsku w Zachodniopomorskiem.

NIEUDOLNY DOWÓDCA

Świerczewski był ważną postacią PRL-owskiej propagandy, otoczoną swoistym kultem, który – zdaniem dr. Piotra Szopy, historyka z rzeszowskiego oddziału IPN – stał się jednym z mitów założycielskich PRL. Przykładem tego kultu była choćby hagiograficzna powieść Janiny Broniewskiej „O człowieku, który się kulom nie kłaniał". Doczekała się ona kilkunastu wydań i przez wiele lat była obowiązkową lekturą szkolną. Imieniem Świerczewskiego nazywano ulice i szkoły; jego podobizna niegdyś znalazła się na banknocie 50-złotowym.

To, że władze PRL wybrały takiego „bohatera" do propagandowego prania mózgów obywateli, nie dziwi. Świerczewski całe życie ofiarnie służył totalitaryzmowi. Był komunistą z krwi i kości, sowieckim generałem w polskim mundurze. Już w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. walczył przeciwko polskim oddziałom. Brał też udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Do jego wysokiej pozycji, jak zauważa dr Szopa, przyczyniło się zapewne i to, że był pupilkiem Stalina. Ważnym elementem jego mitu była śmierć w walce z UPA.

Ale na tym życiorysie, nawet z punktu widzenia komunistycznej hagiografii, są głębokie rysy skrzętnie w okresie PRL ukrywane. Świerczewski był wyjątkowo nieudolnym dowódcą. W czasie wojny niemiecko-sowieckiej, w listopadzie 1941 r. pod Wiaźmą, powierzona mu 248. Dywizja Piechoty została całkowicie unicestwiona (z 10 tys. do pozycji sowieckich dotarł tylko Świerczewski z zaledwie czterema żołnierzami). Został wtedy na dwa lata przesunięty do szkolenia rezerw. Tragicznie zakończyła się także bitwa pod Budziszynem w kwietniu 1945 r., w której 2. Armia Wojska Polskiego dowodzona przez Świerczewskiego straciła 4 900 żołnierzy.

Zła ocena sytuacji na froncie była nie tylko wynikiem jego niekompetencji, lecz również pogłębiającego się alkoholizmu: większość rozkazów wydawał w stanie upojenia alkoholowego.

– Ale jak mogło być inaczej, skoro dzień zaczynał od wypicia dwóch szklanek bimbru? – pyta Robert Stępień, wójt gminy Baligród.

WIZERUNEK GMINY NIE UCIERPI

Żądania usunięcia pomnika pojawiały się po 1989 r. wielokrotnie. Formułowały je środowiska prawicowe i niepodległościowe, np. Porozumienie Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie. Ale zawsze też

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. East News/Krzysztof Kapica

znajdowali się obrońcy monumentu: działacze SLD, byli żołnierze LWP i milicjanci, którzy organizowali przy pomniku rocznicowe spotkania. Dla nich, jak podkreślali, Świerczewski na zawsze pozostanie bohaterem, bo to dzięki niemu oczyszczono Bieszczady z sotni UPA i ludzie mogli wreszcie zacząć normalnie żyć.

Reporter podkarpackiej „Gazety Codziennej Nowiny" w relacji z jednego z takich spotkań przy pomniku, które odbyło się w 2009 r., zacytował m.in. wypowiedź Andrzeja Woźnego z Sanoka, porucznika LWP, uczestnika walk polsko-ukraińskich w Bieszczadach: „Wiem, że są zakusy w prawicowych środowiskach, by zburzyć monument, ale my do tego nie dopuścimy. On jest i nadal powinien być chlubą żołnierza polskiego". Kilkakrotnie przy takich okazjach dochodziło do przepychanek i utarczek słownych między zwolennikami i przeciwnikami istnienia monumentu.

Poprzednie władze gminy Baligród uznały, że postać Świerczewskiego powinna zostać wykorzystana do jej turystycznej promocji. Zdobyły nawet 25 tys. zł z funduszy unijnych na projekt „Gen. Karol Świerczewski »Walter« – bohater czy bieszczadzka ikona komunistycznej propagandy". W 2012 r. ówczesna wójt Agata Pomykała mówiła w rzeszowskim dodatku „Gazety Wyborczej": „Każdego roku ktoś składa kwiaty pod pomnikiem. Mieszkańcy są wdzięczni Świerczewskiemu za to, że uwolnił ich od band UPA. Nie możemy udawać, że go tu nie było. Jest postacią historyczną, generałem, który zginął na naszym terenie".

Głosy, że pomnik w Jabłonkach jest jedną z największych atrakcji turystycznych Bieszczad, było słychać często. Obrońcy monumentu przypominali, że było to popularne miejsce postoju wycieczek, że stąd wyruszały rajdy krajoznawcze, tu odbywały się spotkania harcerskie, a turyści robili pamiątkowe zdjęcia.

– Nigdy nie wiązaliśmy naszej marki turystycznej z pomnikiem Świerczewskiego, chociaż starsze pokolenie kojarzy Baligród właśnie z nim i z czołgiem, który stoi na rynku – obrusza się Robert Stępień, który jest wójtem od 2014 r. I dodaje: – Mimo że nie mamy na terenie gminy połonin, to ma ona takie walory przyrodnicze, iż nasz wizerunek na braku pomnika nie ucierpi.

Wójt, dla którego postawienie monumentu w Jabłonkach jest z dzisiejszej perspektywy, mówiąc delikatnie, nieporozumieniem, nie zaprzecza jednak, że w Baligrodzie, kilkakrotnie atakowanym przez sotnie UPA (6 sierpnia 1944 r. w ataku sotni „Burłaki", dowodzonej przez Wołodymyra Szczygielskiego, zginęło ponad 40 mieszkańców wioski), pojawienie się żołnierzy LWP przyjęto z ulgą.

– Dla ówczesnych mieszkańców Baligrodu Świerczewski był dowódcą żołnierzy, którzy zaprowadzili tu spokój – przekonuje wójt Stępień. – Poza tym nie sądzę, by ci ludzie znali jego przeszłość.

UPAMIĘTNIAĆ BANDYTÓW?

Szymon Jakubowski, redaktor naczelny dwumiesięcznika „Podkarpacka Historia", przyznaje, że Świerczewski niekoniecznie był predysponowany do roli bohatera, w jakiej obsadziły go PRL-owskie władze. Niemniej dziennikarz przekonuje, że generał stał się symbolem tamtych czasów. Jakubowski cytuje także słowa Adama Asnyka, który w wierszu „Do młodych" pisał: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy / Choć macie sami doskonalsze wznieść".

Dlatego red. Jakubowski ma poważne wątpliwości, czy decyzja o usunięciu pomnika była słuszna. – I nie przekonuje mnie argument, że wymagały tego zapisy ustawy – tłumaczy. – Nie wszystkie postacie związane z poprzednim ustrojem znikają z przestrzeni publicznej. Pomnik Świerczewskiego, podobnie jak wiele tych już zburzonych albo przewidzianych do likwidacji, to jednak część naszej historii, która nigdy nie była czarno-biała. Dawno już nie ma w Polsce pomników Dzierżyńskiego czy jemu podobnych zbrodniarzy. Te pomniki, które pozostały, już mało komu kojarzą się z poprzednim systemem. Moim zdaniem te ostatnie „pamiątki" po czasach PRL powinny jednak pozostać. Jako świadectwa naszej trudnej przeszłości, ewentualnie uzupełnione np. tablicami informacyjnymi.

Taką właśnie tablicę w miejscu, w którym został zastrzelony Świerczewski, o treści uzgodnionej z IPN, wójt Stępień uważa za wystarczające upamiętnienie tego, co sie wydarzyło w Jabłonkach 71 lat temu.

Z tokiem myślenia Szymona Jakubowskiego nie zgadza się dr Piotr Szopa. – Albo przyjmujemy dobre wzorce, albo złe. Albo będziemy relatywizować zło, albo nie – przekonuje. – Polski naród ma chwalić w przestrzeni publicznej zbrodniarzy? Albo wstaliśmy z kolan, albo nadal mentalnie jesteśmy na kolanach. Dziwne, że nie ma takiej samej zgody na upamiętnienie brunatnego totalitaryzmu. Każdy przejaw propagowania systemu nazistowskiego spotyka się – i słusznie – z potępieniem. A propagowanie czerwonego totalitaryzmu, który pod względem liczby ofiar przerósł system nazistowski, jakoś uchodzi płazem.

Również wójt Baligrodu uważa, że pomniki powinniśmy stawiać jedynie osobom zasłużonym. – Życie Świerczewskiego nie nadaje się do gloryfikacji i upamiętniania. To nie jest bohater, któremu powinniśmy składać wieńce i kwiaty, lecz bandyta, który m.in. zatwierdzał wyroki na żołnierzach 27. Wołyńskiej Dywizji AK – przekonuje Robert Stępień. I retorycznie dodaje: – Czy upamiętnienie bandyty i alkoholika to jest to, o co chodzi narodowi?

eprasa.pl e12a91f2d0

Batalia na dziesięciolecia

Z historykiem prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Jacek Karnowski

Fot. Julita Szewczyk

Próba wprowadzenia prawa krajowego, które ma kryminalizować pewien sposób mówienia o przeszłości, choćby kłamliwy i bardzo krzywdzący, jest nieskuteczna i niemądra

Jak pan ocenia dyskusję czy wręcz starcie międzynarodowe wokół nowelizacji ustawy o IPN? Jak wysoka jest stawka tego, co się dzieje?

Andrzej Nowak: Dziś potrzebujemy przede wszystkim spokoju. Musimy bowiem mieć świadomość, że nie rozstrzygniemy tego starcia o dobre imię Polski – a o nie tutaj chodzi – w czasie jednej bitwy. Nie pomoże nam żadne pojedyncze uderzenie głową w ścianę. To, czego jesteśmy świadkami, to jest

eprasa.pl e12a91f2d0

tylko epizod batalii, która trwa już od setek lat. Nie zaczęła się przecież od II wojny światowej, ale co najmniej od XVIII w.

Mówimy o okresie przedrozbiorowym i propagandzie wymierzonej w Polskę.

Tak, mam na myśli czarny obraz Polski świadomie budowany przez jej sąsiadów, życzących Rzeczypospolitej zagłady, czyli przez Prusy Fryderyka II i Rosję Katarzyny II. Ci władcy zamawiali we Francji czy Anglii publikacje prezentujące Polskę jako czarną dziurę na mapie Oświecenia, jako samo zło, które powinno być wykorzenione. Te stereotypy wciąż mają ogromną siłę oddziaływania. Na to wszystko od kilkudziesięciu lat nakłada się sprawa Holokaustu. Pojawia się problem odpowiedzi na tę systematyczną kampanię oczerniania Polski; kampanię, która w coraz większym stopniu przypisuje Polsce główną odpowiedzialność za Holokaust. To jest wyzwanie, z którym musimy sobie radzić. Naiwnością jest jednak myślenie, że można sobie z tym poradzić za pomocą jednego aktu prawnego.

Na to chyba nikt nie liczył. Autorom ustawy i większości sejmowej chodziło o walkę z epidemią pojęcia „polskie obozy śmierci". To był cel zasadniczy i chyba jedyny tej nowelizacji.

Trzeba postawić pytanie, czy to prawo mogło być efektywne. Czy wyobraża pan sobie, że w Australii, Kanadzie, USA i Wielkiej Brytanii, czyli w krajach, w których najczęściej pisze się o „polskich obozach śmierci", będzie można na podstawie tej ustawy cokolwiek zmienić, cokolwiek osiągnąć? Oczywiście nie. To prawo może jedynie zostać wykorzystane, i już zostało, do dalszego oczerniania Polski.

Ustawa miała być sygnałem ze strony państwa polskiego, że traktujemy tę sprawę poważnie, że chcemy zbudować pewną normę.

Kilka lat temu, gdy PiS nie było jeszcze u władzy, omawiano zupełnie inną koncepcję, związaną z wykorzystaniem istniejącej aktywności czynnika społecznego. Wystarczyło ten czynnik wzmocnić poprzez wynajęcie dobrych, prestiżowych kancelarii prawnych. To one powinny wytaczać procesy ludziom, którzy świadomie i ze złą wolą używają tego rodzaju określeń lub którzy stawiają nam fałszywe zarzuty. Gdyby Polska wygrała dwa, trzy takie procesy, nie na podstawie swojego prawa, ale w oparciu o prawo powszechne, byłby to czynnik istotnie zmieniający sytuację.

Ale procesy również nie powstrzymałyby przypisywania Polsce współsprawstwa Holokaustu.

To zjawisko rzeczywiście narasta. Kilka dni temu w artykule wstępnym w „The Guardian" stwierdzono, że Polska jest „odpowiedzialna za Holokaust". Nawet nie współodpowiedzialna, ale właśnie odpowiedzialna.

Gdyby w sprawie tego wstępniaka doszło do procesu, druga strona bez problemu znalazłaby ideologów przebranych za historyków, którzy potwierdziliby jej tezy i powiedzieliby na sali sądowej: „Tak, jesteście odpowiedzialni za Holokaust".

Nie mówię, że będzie łatwo. Oczywiście, że znajdą kogoś takiego jak pan Jan Grabowski, który jest zresztą cytowany we wspomnianym artykule „Guardiana", a który dopuszcza się łajdackiego nadużycia, twierdząc, że Polacy „zamordowali 200 tys. Żydów". Mówię, że to łajdackie nadużycie, z pełną świadomością, ponieważ tego twierdzenia nie da się w żaden sposób obronić na gruncie warsztatu historyka.

To echo stwierdzenia prof. Szymona Datnera, który po wojnie obliczał liczbę ocalonych z Holokaustu na 200 tys., dodając, że połowa przeżyła, a połowa zginęła w różnych okolicznościach.

Jak jednak można to obliczyć? Niezwykle trudno jest powiedzieć, kto zabił: czy był to Niemiec, Polak, Ukraiński, Litwin czy Żyd. Historia polega na tym, że musimy schodzić również do szczegółów. A wówczas tego typu liczby okazują się złudzeniem. Twierdzenie o 200 tys. zamordowanych Żydów jest nie do udowodnienia na gruncie historycznym. Przed sądem historycznym, gdyby taki istniał, pan Grabowski przegrałby na pewno. Chyba że dysponowałby certyfikatami opartymi na ustawach norymberskich, dowodzącymi, że konkretni ludzie to na pewno Polacy i że to oni zamordowali tych konkretnych Żydów.

Co z tym można zrobić?

Tego rodzaju łajdactwa, systematycznie i ze złą wolą uprawiane przez ludzi, którzy uczynili sobie z oczerniania Polski zawód, można stopniowo ograniczyć, a może i zwalczyć. Podkreślam: stopniowo. Z jednej strony należy się oprzeć na prawie Polaków mieszkających w Stanach Zjednoczonych i innych krajach do obrony dobrego imienia; te działania państwo polskie musi wspierać materialnie. Z drugiej strony trzeba działać w sferze edukacji, promując rzeczywiste ustalenia historyków. To jednak musi potrwać, i to nie lata, ale dziesięciolecia.

Bo dziesięciolecia budowano to fałszywe oskarżenie.

Podam prosty przykład. W czasie Holokaustu zginęło 6 mln europejskich Żydów. W operacji polskiej NKWD, według zachowanych dokumentów, zostało rozstrzelanych 111 tys. 91 osób; w sumie ocenia się, że w latach 1937–1938 zostało zamordowanych ok. 200 tys. Polaków – za to tylko, że byli Polakami w Związku Sowieckim. 200 tys. to jest 30 razy mniej, niż było ofiar Holokaustu. Przepraszam, że używam tego rodzaju statystyki, ale czynię to nie bez przyczyny. Na świecie powstało kilka albo może nawet kilkanaście tysięcy filmów budujących i utrwalających świadomość o Holokauście jako wielkiej zbrodni, i bardzo dobrze, że one powstały, choć nie wszystkie są zgodne z faktami historycznymi. A ile powstało filmów o największej zbrodni w Europie przed Holokaustem, o zbrodni na Polakach? Zero. Wiedza o niej nawet w Polsce jest niewielka.

Wręcz minimalna.

W tym kontekście pojawiają się takie stwierdzenia, jak wypowiedź jednego

eprasa.pl e12a91f2d0

z ważnych polityków izraelskich, który wprost powiedział, że Polacy nie mają prawa mówić o żadnych zbrodniach komunistycznych, których byli ofiarami, ponieważ będzie się to wiązało z natychmiastowym poszukiwaniem odpowiedzialności Żydów za te czyny. Jest to teza bardzo karkołomna, a nawet łajdacka, ponieważ sugeruje, że Polacy automatycznie muszą szukać semickiej ręki we wszystkich zbrodniach, które ich dotknęły. Tego typu podejście, konsekwentnie stosowane, doprowadzi do tego, że ogromna liczba niewinnych ofiar, także kobiet i dzieci, nie zostanie należycie upamiętniona, ponieważ ma to rzekomo grozić pamięci ofiar Holokaustu. Czyli ofiary żydowskie mają być chronione w ten sposób, że inne ofiary nie mogą zostać opłakane ani upamiętnione.

Straszna „propozycja".

Straszna, ale znów – jak możemy to przełamać? Na pewno nie prawem. Prawem nie da się przywrócić pamięci niewinnych ofiar. Trzeba zacząć od jednego filmu, potem zrobić kolejny, potem dziesiąty. Trzeba zacząć od pierwszej, setnej i dwusetnej konferencji na ten temat; konferencji, na które zaprosimy ludzi z całego świata, prezentujących różne punkty widzenia, przywołujących dostępne świadectwa. I w ten sposób za lat kilkanaście możemy coś w tej sprawie, i innych, zmienić. Natomiast próba wprowadzenia prawa krajowego, które ma kryminalizować pewien sposób mówienia o przeszłości, choćby kłamliwy i bardzo krzywdzący, będzie na pewno nieskuteczna i także niemądra.

Problem w tym, że niemal nikt nie alarmował w sprawie tej ustawy. Jeśli dyskutowano, to tzw. wątek ukraiński. Pośrednia penalizacja pojęcia „polskie obozy śmierci" nie budziła większych emocji, nie spodziewano się żadnych kłopotów.

Mam tu czyste sumienie, ponieważ w styczniu 2017 r. w artykule zamieszczonym w „Gościu Niedzielnym" napisałem, że nie wolno wprowadzać takiej ustawy. Że to jest po prostu głupota. Cóż więcej mogłem zrobić?

Wobec tego wyłączam pana profesora ze zbioru ludzi, którzy ustawę akceptowali i nie spodziewali się burzy. A czy obóz rządzący zrobił słusznie, nie wycofując się z tej ustawy już po wybuchu międzynarodowej afery? Stawką stały się prestiż państwa, a nawet jego godność.

> Ta sprawa ujawniła cynizm i dwulicowość tych wszystkich, którzy miotają oskarżenia przeciwko Polsce. Okazało się, że w sprawach historycznych są równi i równiejsi

Tak i dlatego, gdy o tym dziś mówię, to odczuwam duży dyskomfort. Bo rzeczywiście stawka została ustawiona tak wysoko, że krytykując ustawę, co czynię, stawiam się w sytuacji jakoś nielojalnej wobec własnego państwa. Uważam jednak, że gdy nasze państwo popełnia błąd, to mamy prawo zwrócić na to uwagę i szukać wyjścia. Pierwszym krokiem w tym kierunku była decyzja prezydenta, by odesłać tę ustawę do Trybunału Konstytucyjnego.

To stworzyło pewne pole manewru.

To dało szansę na wyhamowanie emocji, które błyskawicznie narosły, także w związku z rozgrywką polityczną w Izraelu, niemającą nic wspólnego z historią czy prawdą. Z tego punktu widzenia dobrze byłoby przeciągnąć rozstrzygnięcie sprawy przez Trybunał na czas po wyborach w Izraelu. TK powinien rozważyć od strony prawnej skuteczność, efektywność i precyzję sformułowań zawartych w tej ustawie, by dać polskiemu narodowi politycznemu i wybranemu przez niego parlamentowi szansę na poprawienie ustawy.

W jakim kierunku?

W takim, by nie przynosiła ona więcej strat niż korzyści, jak to dzieje się obecnie. Choć są tacy, którzy twierdzą, czego ja nie jestem w stanie ocenić, że długofalowo ta ustawa przyniesie również dobre owoce.

Bo nas obudziła?

Tak, obudziła, przecięła pewien wrzód, przepraszam za obrazowość, pełen cuchnącej ropy. Z pewnością ta sprawa ujawniła cynizm i dwulicowość tych wszystkich, którzy miotają oskarżenia przeciwko Polsce. Okazało się, że w sprawach historycznych są równi i równiejsi. Tu na obronę Polski warto podkreślić, że jesteśmy jednym z ostatnich krajów w Europie, który poprzez prawo zaingerował w kwestię ocen historycznych. Wiemy przecież o przypadkach skazywania na więzienie ludzi głoszących bardzo niemądre tezy. Nie zmienia to jednak mojej oceny: to nie jest dobra droga. Jako historyk nie chciałbym, aby istniały jakiekolwiek prawa ograniczające wolność dyskusji historycznej.

Czy zgodzi się pan profesor z opinią, że ta batalia uświadomiła nam, iż środowiska żydowskie mają o nas dużo gorszą opinię, niż sądziliśmy? Wystarczy przywołać premiera Netanjahu, który mówił premierowi Morawieckiemu o „systemowym" charakterze polskich przewin.

Znów wrócę do mojej pierwszej myśli: potrzebny jest nam spokój. To, co mówią politycy w czasie kampanii wyborczej, zawsze musi być odczytywane w pewnym kontekście. A jeśli chodzi o temperaturę uczuć antypolskich w części środowisk izraelskich, to nie jest to dla mnie niespodzianka. Co ważne, nie wszyscy Żydzi tak myślą. To jest absurdalne założenie, nieco sztucznie wykreowane w związku z tą ustawą; powstało wrażenie, że oto stają naprzeciw siebie Polacy i Żydzi i że te dwa narody mają uznać siebie za wrogie sobie obozy. To nie jest nowa myśl, możemy ją odnaleźć w słowach Icchaka Szamira, byłego premiera Izraela, który stwierdził kiedyś, że

eprasa.pl e12a91f2d0

„Polacy wysysają antysemityzm wraz z mlekiem matki". Nie możemy zaakceptować tej logiki, nie możemy uznać, że mamy się wzajemnie nienawidzić. Tak nie było i tak nie jest.

Jak więc jest?

Istnieją świadomie antypolskie środowiska polityczne w Izraelu. Nie możemy także zapominać, że mieszka tam już ponad półtora miliona Żydów, którzy wyemigrowali z Rosji i innych krajów byłego ZSRS. Byłoby absurdem twierdzić, że wszyscy są agentami Putina. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że wśród nich są agenci Putina. W interesie Moskwy jest pobudzanie nienawiści symetrycznej: Polacy mają nienawidzić Żydów, a Żydzi Polaków. Nie możemy dać sobie wmówić tego rodzaju uogólnień. Dlatego wzywam do spokoju. Trzeba uznać, że są nasi wrogowie, określone grupy, określeni ludzie; ich trzeba zidentyfikować i próbować zmniejszać ich wpływy.

Znowu: jak?

Pokazując ich interesy, wskazując na ich zacietrzewienie, na nadużywanie prawdy historycznej do partykularnych celów. Trzeba też nawiązywać kontakty i wspierać tych, którzy w USA czy Izraelu szukają prawdy. A tacy ludzie są. Do tych osób trzeba dotrzeć, a za pomocą prawa na pewno to się nie uda.

Kolejnym etapem batalii była burza wokół słów premiera Morawieckiego w Monachium. Środowiska żydowskie ostro zareagowały na słowo „sprawcy" w odniesieniu do żydowskich kolaborantów niemieckiego okupanta.

Premier powinien wyjaśnić swoje słowa, ale przepraszać nie powinien, bo nie zrobił niczego ze złej woli. Jest historykiem, jest także człowiekiem, którego rodzina została dotknięta w bardzo brutalny sposób niemiecką okupacją. Ma pełne prawo mówić polskim głosem w sprawach dotyczących II wojny światowej. Nie wydaje mi się, żeby zrobił coś, co wymagałoby przeprosin.

Czy cała sprawa nie postawiła także w nowym świetle tego nieformalnego sojuszu polsko-izraelskiego? Okazało się, że dla władz w Tel Awiwie niedużo on chyba znaczy, skoro tak mocno uderzono w polski rząd. Kampania wyborcza niewiele tłumaczy, bo gdyby ktoś w Polsce podeptał relacje z jakimś państwem na potrzeby wyborcze, nie uznalibyśmy tego za usprawiedliwienie.

To jest chyba nieco bardziej skomplikowane. Z jednej strony mamy do czynienia z pewnego rodzaju postawą, może nie całego narodu żydowskiego mieszkającego w Izraelu, ale na pewno dużej części jego elit. Mam na myśli poczucie wyższości; przekonanie, że jesteśmy ważniejsi niż reszta świata, a już zwłaszcza ważniejsi niż Polacy. To czasem bierze się z kompleksów, czasem przyczyny są inne. To zjawisko obecne także na zachodzie Europy: owo przekonanie, że mieszkańcy wschodniej części kontynentu są gorsi. Za tym kryje się oczekiwanie, że owi „gorsi" mają uznać nasze, ważniejsze racje.

> Premier Morawiecki powinien wyjaśnić swoje słowa, ale przepraszać nie powinien, bo nie zrobił niczego ze złej woli

A z drugiej strony?

Z drugiej strony, z punktu widzenia politycznego, ekonomicznego, nie możemy przeceniać tego kryzysu, o którym mówimy. Nie jest tak, że Netanjahu nie widzi niczego poza wypowiedzią premiera Morawieckiego czy ustawą o IPN. Nie jest też tak, że nic innego nie widzi cała reszta świata. Ta sprawa jest niewielkim marginesem publicznej debaty. Polska jest Izraelowi bardzo potrzebna, zwłaszcza w kontekście roli, jaką będziemy odgrywali w najbliższych dwóch latach w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. To jest ogromna szansa na wzmocnienie roli Polski. Niezależnie od tego, kto i jak chce rozgrywać konflikt polsko-żydowski, znaczenie naszego kraju na świecie rośnie. Trudno lekceważyć państwo, które ma PKB na poziomie 600 mld dol. i z którym można już robić duże interesy. Zależy na tym Izraelowi, zależy na tym Wielkiej Brytanii, zależy i innym naszym partnerom. Mamy dużo atutów, które nie zniknęły w obliczu ostatnich wydarzeń. Nie popadajmy więc w amok, nie mówmy, że wszystko zostało zniszczone. Owszem, coś zrobiliśmy źle, ale nie jest tak, że Polska już nic nie znaczy, nic nie może albo że wszystko zależy od tej sprawy. Nie, to jest jedna z wielu spraw, które Polska musi uregulować, działając spokojnie i mądrze.

Rozmawiamy w Londynie podczas Forum Polsko-Brytyjskiego. Jedna z dyskusji dotyczyła relacji polsko-żydowskich także w kontekście obecnego kryzysu. Atmosfera była tak napięta, że aż gęsta. Skąd bierze się to napięcie w relacjach między oboma narodami?

Myślę, że to wynika z połączenia obcości z bliskością. Żyliśmy obok siebie przez 900 lat bardzo blisko. Jednocześnie w większości przypadków pozostaliśmy dla siebie obcy. Żydzi żyli w swoim getcie, realnym albo symbolicznym, a Polacy żyli w swoim świecie. Kontakt był zawsze ograniczony, a urwał się w momencie, gdy Żydzi zostali wymordowani przez niemiecką III Rzeszę. Została widoczna pustka, bo przecież nie sposób nie zauważyć, jak wiele polskich miast i miasteczek straciło ważną część siebie. Z drugiej strony pojawia się problem już nie sentymentalny, nie psychologiczny, ale materialny. Trzy miliony polskich Żydów miało jakiś swój majątek. To jest kwestia bardzo trudna do jakiegokolwiek rozwiązania, ale jest to bardzo ważny motyw działania części środowisk żydowskich. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. Shutterstock

Pranie mózgów

Jeśli chcemy odpowiedzieć sobie na pytania, dlaczego skala antypolskich nastrojów w Izraelu jest dziś tak duża i dlaczego Polacy uznawani są tam dość powszechnie za współsprawców Holokaustu, powinniśmy szukać odpowiedzi w izraelskim systemie edukacyjnym. Jego kulminacją są wycieczki organizowane do Polski, podczas których młodzież poddawana jest silnej emocjonalnej presji

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdyby przyjrzeć się najbardziej aktywnym uczestnikom antypolskiej histerii, to okaże się, że wielu z nich to ludzie relatywnie młodzi, a przynajmniej tacy, którzy urodzili się i wychowali wiele lat po II wojnie światowej. Taki jest Itzik Shmuli, poseł Unii Syjonistycznej, który jest jednym z inicjatorów projektu ustawy oskarżającej Polskę o negowanie Holokaustu, taka jest reporterka parlamentarna Lahav Harkov, która zasłynęła prowokacyjnym tweetem, w którym kilkanaście razy powtórzyła frazę „Polish death camps", czy Amanda Borschel-Dan powielająca podsunięte jej przez Jana Grabowskiego błędne dane o 200 tys. Żydów wymordowanych jakoby przez Polaków. Wiele lat po wojnie urodzili się także Yair Lapid oraz Ronen Bergman. Można by tak wymieniać dalej.

Oznacza to, że upływ czasu nie prowadzi do mniej emocjonalnego stosunku do przeszłości, wręcz przeciwnie – jest reprodukowany na nowe pokolenia i deformowany w sposób zgodny z obowiązującą w Izraelu i żydowskiej diasporze holokaustiańską ideologią.

Jak zauważył w wywiadach prof. Norman Finkelstein, stosunek Żydów do Polaków jest kształtowany przez dwa czynniki: przez niechęć wynikającą z przekonania o ich współudziale w Zagładzie oraz przez pogardę. „Żydzi nie nienawidzą Polaków, ale gardzą nimi. Patrzą na Polaków z góry. Polacy są postrzegani jako głupi, prymitywni, zaściankowi. Nigdy nie zaobserwowałem u Żydów nienawiści do Polaków, zawsze to była pogarda. W Polish jokes Polacy są przedstawieni jako głupi. Nie ma takich dowcipów o Niemcach" – mówił niedawno w rozmowie z portalem wPolityce.pl Finkelstein.

Obraz Polaków jako prymitywnych antysemickich pomocników Hitlera podtrzymywany jest przez izraelski

eprasa.pl e12a91f2d0

system edukacyjny. Nic dziwnego, że podczas wycieczek młodych Żydów do Polski ten stereotyp świadomie wpaja się im do głów.

WIEMY, ŻE NAS NIENAWIDZĄ

W instytucie Yad Vashem trwają ostatnie przygotowania przed wyjazdem kolejnej grupy izraelskich licealistów do Polski. Towarzyszy im filmowiec Jo'aw Szamir, który rejestruje przebieg wyprawy.

Młodzi ludzie biorą udział w specjalnych zajęciach, które mają przygotować ich psychicznie do podróży.

Chłopak zapytany przez prowadzącą zajęcia kobietę przedstawioną jako doradca szkolny opowiada o swojej motywacji: „Jestem trzecim pokoleniem ocalałych z Holokaustu. Kiedykolwiek moja babcia mówiła o Holokauście, przypominała, aby nigdy nie zapomnieć i nigdy nie wybaczyć. Widziałem, co czuła, ale sam tego nie odczuwałem. Tego właśnie chcę doświadczyć podczas tej podróży, tego jej uczucia: nigdy nie zapomnieć, nigdy nie wybaczyć".

Prowadząca zajęcia opowiada młodzieży o czekających ją w Polsce zagrożeniach: „Spróbujcie zrozumieć związek między przeszłością a teraźniejszością. Antysemityzm się nie skończył... Wy jako Żydzi, jako następne pokolenie, które wstąpi do armii, również będziecie musieli stawić czoła temu aspektowi waszego życia. Będą z wami ludzie ze służb specjalnych, żebyście nie mieli styczności z miejscową [polską] ludnością. Spotkacie ludzi, którzy was nie lubią. Zobaczycie, że was nie lubią".

Antysemityzm ma być spoiwem współczesnej żydowskiej tożsamości. Przekonanie o nieustającym zagrożeniu ma mobilizować społeczeństwo Izraela do obrony przed wrogami. Nic dziwnego, młodzi ludzie wkrótce po wycieczce do Polski trafią do armii. Muszą być twardzi i dobrze zmotywowani do walki.

„To jest coś, co czyni nas wyjątkowymi – mówi młody mężczyzna. – Że nikt nie może nas znieść, ale my czujemy się z tego dumni".

Wtórują mu koleżanki: „Jesteśmy wychowani w tym duchu, że wiemy, że jesteśmy nienawidzeni. I jeśli dziecko wie od początku, że jest nienawidzone, to wzbudza to w nim gniew w stosunku do drugiej strony: ból, gniew, a nawet nienawiść".

„To [uczucie gniewu] wzmocni we mnie Izraelkę, syjonistkę, Żydówkę. Nie mam co do tego wątpliwości" – dodaje inna z dziewcząt.

> Wizyty w synagogach na Kazimierzu oraz w obozach zagłady w Auschwitz i na Majdanku mają jeden cel: wzmocnić gniew. To na nim ma się opierać izraelska i żydowska tożsamość

Zatem wyjazd do Polski, wizyty w synagogach na Kazimierzu oraz w obozach zagłady w Auschwitz i na Majdanku mają jeden cel: wzmocnić gniew. To na nim ma się opierać dzisiaj izraelska i żydowska tożsamość.

ZJEDNOCZENI STRACHEM

„Wielu [w Izraelu] zastanawia się, czy nadal powinno się wysyłać uczniów do kraju, który usiłuje wybielić swoją przeszłość i ograniczyć swobodę wypowiedzi w kwestiach dotyczących zakresu kolaboracji Polaków z nazistami w systematycznym mordowaniu polskich Żydów" – napisał niedawno w redakcyjnym komentarzu dziennik „Jerusalem Post". Pomimo tych wątpliwości rezygnacja z wycieczek byłaby – jak pisze gazeta – błędem. „Teraz, gdy Polska próbuje ograniczyć możliwość mówienia na temat roli Polaków w realizacji Ostatecznego Rozwiązania, jeszcze więcej osób powinno zobaczyć na własne oczy, jak naziści i Polacy, którzy pomagali w systematycznych mordach i prześladowaniach Żydów, niszczyli społeczność żydowską w Polsce. Po tym jak młodzież szkolna zobaczy zniszczenie w Polsce, może wrócić do Izraela i przystąpić do umacniania oraz budowania tego, co jest najważniejsze, mianowicie najbardziej żywotnej i najbardziej obiecującej społeczności żydowskiej w historii".

Młodzi ludzie z filmu Jo'awa Szamira, ci, którzy mają dopiero budować „najbardziej obiecującą społeczność żydowską w historii", odlatują do Polski. Większość z nich po raz pierwszy leci samolotem, są podekscytowani. To kolejny dowód na to, jak mało podróżują po świecie, jak mało o nim wiedzą. Każdy wyjazd to przecież – jak im się wbija do głów – potencjalne zagrożenie dla ich życia.

Już w Krakowie, w autokarze, trwa szkolenie dla licealistów: „Jeśli coś się stanie, jeśli usłyszycie eksplozję, cokolwiek, usiądźcie lub połóżcie się w przejściu tak szybko, jak to możliwe!".

ANTYSEMITÓW TRZECH

Pomimo tych ostrzeżeń jedna z dziewcząt podczas wyjazdu do Lublina odłącza się od grupy i wdaje w rozmowę z grupką trzech starszych i pogodnie wyglądających panów odpoczywających na ławce. Jeden z nich pyta, skąd przybyła. Ta nic nie rozumie, więc pan strzela: „Izrael?". Wówczas dziewczyna potwierdza. Po chwili dołącza kolejna: „On mówi źle o Izraelu. Powiedział, że jesteśmy dziwkami". Pierwsza dziewczyna kiwa głową: „Tak, zrozumiałam to". Dziewczyny odchodzą oburzone: „Chodź, dlaczego miałabyś rozmawiać z kimś takim? Dlaczego w ogóle zaczęłaś z nim rozmawiać?". Interweniuje izraelski przewodnik, który zagania licealistki do grupy. Starsi panowie uśmiechają się, nic nie rozumiejąc: „Śmieszne dziewczyny. O czym one mówiły?".

W starym numerze „Przekroju" odnajduję wypowiedź dziennikarza i aktywisty żydowskiego w Polsce Mike Urbaniaka, który zauważa, że Polska jest jednym z najbezpieczniejszych krajów w Europie. „Tu, poza nielicznymi przypadkami, nie atakuje się Żydów, a żydowskie instytucje, co jest ewenementem na światową skalę, nie potrzebują żadnej ochrony" – mówi.

eprasa.pl e12a91f2d0

Jedna z licealistek zostaje zapytana, po co – jej zdaniem – towarzyszą wycieczce ochroniarze ze służb specjalnych. To ta sama, która wdała się wcześniej w rozmowę ze starszym panem: „Ludzie ze służb chronią nas przed antysemityzmem. Żeby nikt nie podszedł i nie zrobił nam tu krzywdy". „Myślisz, że to mogłoby się stać?" – dopytuje Jo'aw Szamir. „Tak. Rano widziałyśmy trzech starych mężczyzn na ławce. Usłyszeli, że jesteśmy z Izraela, i robili miny. Nazwali nas małpami i osłami. Prawie się z nimi pobiłyśmy" – odpowiada z dumą licealistka.

PIJANY NEONAZISTA

Licealiści, choć szczelnie odgrodzeni przez ochroniarzy od polskiej ludności, coś jednak widzą. Widzą Kraków, Lublin, posilają się w przytulnej restauracji na Kazimierzu. Jednak ekipa przewodników ciągle czuwa, aby nie poczuli się tu zbyt bezpiecznie. W Krakowie organizowane są inscenizacje, podczas których młodzi ludzie muszą odgrywać role ukrywających się Żydów.

„Będziesz Danką. Ukryj się pod schodami..." – wskazuje na jedną z dziewcząt przewodnik. Koledzy z grupy robią jej zdjęcia. „Danka" opowiada: „Była sobie dziewczyna o imieniu Dana. Mieszkała tutaj [w Krakowie]. Niemcy wyrzucali Żydów z okien. Po prostu ich wyrzucali, a oni się chowali... Żydzi ukrywali się pod deskami w podłogach, w schowkach".

Niestety – jak sugerują opiekunowie grupy – Żydzi muszą się tu ukrywać do dziś. Po całym dniu kamera pokazuje parę: chłopaka i dziewczynę odpoczywających w pokoju hotelowym: „Dlaczego nie wychodzicie? Jesteście zmęczeni?". Pierwsza odpowiada dziewczyna: „Ja nie jestem zmęczona. Ale w Polsce są neonaziści. Są zagrożeniem. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Mogliby pukać do naszych drzwi i wrzucać nam coś przez okna".

„Powiedzieli nam o tym przy kolacji – wtrąca się chłopak. – Poinformowali, że nie jesteśmy w przyjaznym kraju, że są tu demonstracje [antysemickie]. Mogliby rzucać w nas kamieniami. Dwa dni temu wtargnął pijany neonazista i zaczął walić w drzwi, szukając Żydów".

Stojący za kamerą Jo'aw Szamir nie dowierza: „Powiedzieli wam to przy kolacji? Kto tak powiedział?". „Facet z tajnych służb" – uśmiecha się chłopak. „To wszystko dla naszego bezpieczeństwa – dziewczyna sprawia wrażenie bardziej przekonanej. – Nie wolno nam wychodzić". „Dlaczego?". „Bo oni [Polacy] są antysemitami". „Na lotnisku [polscy] żołnierze maszerują jak naziści, sztywno – wtrąca chłopak. – Mają gniewne spojrzenia na twarzach. Ci, którzy podbijali nasze paszporty, wyglądali jak oficerowie SS".

ZABIĆ WSZYSTKICH

Według obliczeń Jo'awa Szamira co roku do Polski przybywa około 30 tys. młodych ludzi z Izraela, aby zobaczyć obozy zagłady i pozostałości po żydowskim życiu w Polsce. W trakcie tych wizyt niczego nie dowiadują się o współczesnej Polsce, bo mogłoby to zaburzyć pożądane postawy. Wycieczki nie są tanie, kosztują około 1,5 tys. dolarów od osoby. Wielu Żydów w Izraelu uważa, że Polacy zarabiają na tych wycieczkach. Prawda jest jednak inna. Coraz mniej hoteli chce przyjmować izraelskie wycieczki młodzieży w obawie przed hałasem i dewastacją. Nic dziwnego. Skoro zakazuje się młodym ludziom jakichkolwiek kontaktów z Polakami i zabrania wychodzić z pokojów w obawie przed „pijanymi neonazistami", odreagowują oni stres, demolując pokoje i biegając nocą po korytarzach. Są jak zamknięci w więzieniu, nawet kiedy jadą autokarem, mają przysłonięte okna.

Kulminacją wycieczki jest wizyta w Auschwitz. Tu nakręcane od kilku dni emocje wybuchają, licealiści zaczynają płakać. Izraelski agent robi płaczącej młodzieży zdjęcia.

Jeden z przewodników ma wątpliwości. Dzieli się nimi przed kamerą: „Myślałem wiele o tym, czy Marsz Żywych, cały ten cały przemysł śmierci jest dobry czy zły. Podtrzymujemy śmierć i dlatego nigdy nie staniemy się normalnym narodem. Musimy o tym pamiętać, ale za bardzo się przejmujemy...".

Rozmowa zostaje przerwana przez innego przewodnika: „Proszę tu nie siadać, to miejsce pamięci, tu zginęło 20 osób".

Gdy młodzież uspokaja się na tyle, aby można było podjąć z nią rozmowę, Jo'aw Szamir pyta o wrażenia z wycieczki do Polski. Patrząc na roztrzęsioną twarz jednej z dziewcząt, rzuca bez ogródek: „ Kogo chciałabyś zabić?". „Ich wszystkich". „To znaczy kogo?". „Nazistów. Naszych wrogów, którzy to zrobili". „Ale wiesz, że oni już nie żyją?". „Tak. Ale mają spadkobierców".

W artykule wykorzystałem cytaty z filmu Jo'awa Szamira „Zniesławienie"

Fot. Shutterstock, YouTube

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. Shutterstock

Wszyscy Polacy byli sprawcami Holokaustu?

Jan Grabowski wydaje się to właśnie sugerować. Przesadzam? Oceńcie państwo sami

PIOTR SKWIECIŃSKI

Gdy historyk prof. Jan Grabowski, główny autor oczekiwanej na rynku książki poświęconej zjawisku mordowania Żydów przez Polaków, wystąpił na konferencji w jerozolimskim instytucie Yad Vashem, gdzie wzywał Izrael, by nie prowadził jakiegokolwiek dialogu z Polską rządzoną, jego zdaniem, przez władze niedemokratyczne i nacjonalistyczne, demonstrował wielką planszę przedstawiającą fotokopię wycinku z przedwojennej polskiej gazety. Wycinek informował, że pewna Żydówka, którą ONR-owcy wyrzucali z sali uniwersyteckiej, krzyknęła do nich wtedy „polskie chamy", więc za obrazę narodu polskiego została skazana na dwa miesiące aresztu. Grabowski używał tej informacji, by sugerować, że nowa polska ustawa o IPN jest przejawem pewnej ciągłości. Oto Polacy od przedwojny lubią stanowić prawa służące im do prześladowania Żydów, protestujących przeciw ich antysemickim podłościom.

Mniejsza już o treść planszy. Ważne, że była ona naprawdę spora. Grabowski z sercem przygotował się do konferencji w Yad Vashem. Widać, że mu naprawdę zależy. Jak zawsze.

I jak zawsze – na tym samym.

KANDYDAT KONFLIKTU

Gdy w 2013 r. miało zostać obsadzone stanowisko dyrektora wyłaniającego się z niebytu Muzeum Żydów Polskich „Polin", Grabowski był – do pewnego momentu – najpoważniejszym kandydatem. Proponowała go fundacja związana z Żydowskim Instytutem Historycznym (Polin jest instytucją specyficzną – do mianowania jej szefa potrzeba zgody tej właśnie fundacji, władz miasta Warszawy i Ministerstwa Kultury). I właśnie ówczesny szef resortu kultury Bogdan Zdrojewski sprzeciwił się tej kandydaturze, po czym ją ostatecznie utrącił.

eprasa.pl e12a91f2d0

Dziś były minister, obecnie europoseł PO, waży słowa. Mówi, że Grabowski – w odróżnieniu od swego zwycięskiego w finale konkurenta, Dariusza Stoli – chciał skoncentrować przekaz muzeum na wieku XX i przede wszystkim na Holokauście. Że, jak to ujmuje, Stola był bardziej niż Grabowski otwarty na ideę, iż muzeum ma pokazywać również to, co niegdyś – przez wieki – Polaków i Żydów łączyło, na dobre karty wspólnej historii. A było to bardzo istotne w kontekście tego, że ważnym targetem Polin miały być izraelskie wycieczki wracające z Auschwitz i jedną z podstawowych funkcji muzeum widziano jako uzupełnianie, korektę ich wrażeń wynoszonych z naszego kraju.

Inna osoba, bliska ówczesnemu procesowi wybierania dyrektora, opisuje tę sytuację ostrzej. Mówi, że gdy procedura zbliżała się do końca, Grabowski zaczął być forsowany w sposób mogący przypominać próbę dyktatu. W dodatku naciskający na tę kandydaturę bardzo otwarcie wyrażali przekonanie i nadzieję, ba – wręcz uzasadniali ją tym, że kiedy profesor zostanie dyrektorem, prowadzona przez niego placówka zacznie „jechać po bandzie", bezkompromisowo demaskować przedwojenne, okupacyjne i powojenne niegodziwości Polaków. I w ogóle doprowadzi do jakiejś radykalnej świadomościowej rewolucji w duchu (to już moje słowa) całkowitego potępienia polskiego zachowania względem Żydów.

Ówcześni decydenci z Ministerstwa Kultury uznali, że wobec takiego nacisku i wobec takiej perspektywy Grabowski w sposób oczywisty właśnie nie może zostać dyrektorem, zachowali się zdecydowanie i doprowadzili do wybrania jego bardziej koncyliacyjnie nastrojonego kontrkandydata. Przy czym dopomogło im uświadomienie części amerykańskich środowisk żydowskich (jak rozumiem, sponsorów i darczyńców muzeum), że ewentualne dyrektorowanie Grabowskiego będzie oznaczać konflikt.

Pozytywna odpowiedź na pytanie, czy dziś te środowiska w analogicznej sytuacji doszłyby do podobnej konkluzji, jest niestety dyskusyjna.

NIESZCZĘŚLIWY BRAK ANTYPOLONIZMU

Tę historię dodatkowo uwiarygadnia – i rzuca światło na ówczesną atmosferę – dotyczący mniej więcej tego samego okresu wywiad, którego później portalowi emigrantów marcowych Plotkies udzieliła Helena Datner, socjolog i historyk, przez pewien czas przewodnicząca żydowskiej gminy wyznaniowej w Warszawie, która należała do ekipy tworzącej Muzeum Historii Żydów Polskich i rozstała się z nią.

Datner skrytykowała ostateczny kształt muzeum za zbytnią kompromisowość wobec Polaków i polskiej wrażliwości, owocującą niedostatecznym, jej zdaniem, uwypukleniem rozmaitych przejawów antysemityzmu.

> Ktoś chce, aby Polska została uznana nie po prostu za kraj mający swoje winy wobec Żydów, ale za jednego z największych sprawców Holokaustu

Niewymienieni z nazwiska przeciwnicy Datner mieli uważać, że muzeum musi „uniknąć skojarzenia z tzw. antypolonizmem". Pani historyk wyrażała szczery żal, że to „się udało, prawicowa prasa bardzo chwaliła muzeum za jego [tj. antypolonizmu – P.S.] brak".

Przedmiotem kontrowersji miał np. być sposób przedstawienia w ekspozycji kwestii licznego (znacznie większego, niż wynikałoby to z udziału w populacji Polski) udziału Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego w przedwojennym ruchu komunistycznym, a w ślad za tym – w aparacie władzy PRL w latach stalinowskich. Obecna ekspozycja muzeum przedstawia żydowskich komunistów rzeczowo, relacyjnie. Z wywodów Datner wydaje się wynikać, że chciała, aby było o nich więcej i w tonacji znacznie bardziej życzliwej.

W innych niż dotyczące żydowskich komunistów kwestiach Datner (i jej niewymienieni z nazwiska zwolennicy wśród pracowników muzeum) przejawiała odwrotny temperament, bo chciała nie łagodniej, tylko ostrzej. Ostrzej przedstawić pogrom kielecki, antysemityzm podziemia antykomunistycznego. Ale cóż, naciski złych ludzi doprowadziły do tego, że MHŻP stało się „apologią wzajemnych [polsko-żydowskich – P.S.] relacji przez tysiąclecia", „apologią Polski". Nad czym Datner ubolewa.

A źli ludzie żądali np., aby wyraźnie napisać, że eksponowani w części powojennej przywódcy PRL byli z pochodzenia Żydami. I w ogóle chodziło złym ludziom o to, żeby „Kościół, „Solidarność" pokazać w dobrym, a przynajmniej nie najgorszym, świetle".

Kim byli źli ludzie, którzy nie dali p. Datner ukształtować MHŻP w sposób, wystarczająco uwypuklający polski antysemityzm? Byli to, po pierwsze, (uwaga!) „żydowscy sponsorzy muzeum" (znów: zadajmy sobie pytanie, jak postąpiliby ci sponsorzy dzisiaj i czy ci, którzy zdecydowali o uchwaleniu nowelizacji ustawy o IPN w jej obecnej formie, mieli bodaj niejasne pojęcie, jak bardzo mogą zaszkodzić Polsce). A po drugie – „polskie władze". „Naciski polityczne..." – relacjonuje Datner. „Zapewne wiele działo się za naszymi plecami, ale kulminacyjnym punktem było spotkanie w Ministerstwie Kultury w maju 2013 r... Zakomunikowano nam wprost, że nasza część wystawy »nie spełnia oczekiwań prezydenta i ministra kultury«, jest »niezgodna z polską racją stanu« i nie będzie mogła być zatwierdzona. Wystawa jest przecież realizowana »za polskie pieniądze«, usłyszeliśmy".

Ten subiektywny opis wydarzeń sprzed kilku lat możemy dziś uzupełnić o ważną informację. Najwyraźniej kandydatem tych działających wówczas na okołomuzealnej i – szerzej – polsko-żydowskiej scenie, którzy życzyliby sobie takiego jak Datner, czyli „nieunikającego skojarzenia z antypolonizmem", kształtu i przekazu Polin, personalną inkarnacją tego postulatu, był Jan Grabowski.

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. YouTube/Żydowski Instytut Historyczny

NO POLISH BYSTANDERS…

Grabowski nie zmarnował kilku lat, które minęły od jego porażki w staraniach o stanowisko szefa muzeum. Wtedy był znany jedynie w środowisku badaczy Zagłady, dziś stało się o nim głośniej. Nie zmienił jednak swoich zapatrywań, a wydaje się, że wręcz je zaostrzył. Że nie przeszkadza mu rola sztandaru środowisk najradykalniej antypolskich.

I tu, mimo wymogu ostrożności procesowej, świadomie nie używam cudzysłowu. Bo taki komentarz niestety narzuca się w wypadku np. takiej jego wypowiedzi, która – według dziennika „Haaretz" – padła na wspomnianej konferencji w Yad Vashem: „There are no Polish bystanders in the Holocaust!"?

Dosłownie tłumaczy się to: „W Holokauście nie było polskich biernych świadków". I już samo takie zdanie jest wystarczająco, rzekłbym, kontrowersyjne. Sugeruje przecież, że ci Polacy, którzy aktywnie nie pomogli Żydom w czasie okupacji, byli współwinni ich Zagłady. Co w sytuacji, w której jakakolwiek pomoc oznaczała realne zagrożenie śmiercią swoją i własnych dzieci, jest tezą co najmniej fałszywą (niezależnie od istniejącego wówczas antysemityzmu i karygodnego faktu, że jakaś część Polaków z mordowania Żydów się cieszyła). Oczywiście można wyśrubować maksymalnie etyczne wymagania. Można stwierdzić, że niezależnie od motywacji ten, kto był bierny, był współwinny. Tylko że to jest oczywista teoria, niemająca (może niestety) nic wspólnego z rzeczywistym życiem.

Ale jeszcze dobitniej wygląda to, kiedy weźmie się pod uwagę oryginalną angielskojęzyczną wypowiedź Grabowskiego i jej kontekst. Chodzi o użyte przez niego słowo „bystanders"; o to, że podobno nie było „polskich bystanderów". Premierowi Morawieckiemu uczyniono zarzut (w jakimś zakresie słusznie) z powodu użycia przez niego, w odniesieniu do Żydów zmuszonych do uczestnictwa w nazistowskiej machinie śmierci, słowa „perpetrators". Czyli słownikowo po prostu „sprawcy", ale w dyskursie badaczy i komentatorów Holokaustu to słowo funkcjonuje w triadzie sformułowanej przez wybitnego historyka Raula Hilberga, który podzielił całą ludność krajów, w których odbywała się Zagłada, na jedynie trzy kategorie – „victims, perpetrators, bystanders". Ofiary, sprawcy, bierni świadkowie.

Otóż niezależnie od tego, na ile zgadzamy się z apodyktycznym Hilbergowskim podziałem (a wielu go krytykuje), jest on, powtórzmy, utrwalony w środowisku zajmujących się Shoah, a użyte w nim terminy mają znaczenie kodu. Morawiecki mógł sobie z tego sprawy nie zdawać i dlatego powiedział coś, czego wcale nie myślał. Ale Grabowskiego tak się nie usprawiedliwi. On przecież doskonale zna ten kod. Jeśli więc go używa, czyni to świadomie.

Jeśli więc teraz powiedział, że „nie było polskich »bystanderów« w czasie Holokaustu", ma to najzupełniej jednoznaczne znaczenie. Bo skoro wszyscy żyjący w krajach objętych Zagładą dzielą się wyłącznie na trzy kategorie: ofiar („victims"), sprawców („perpetrators") i biernych świadków („bystanders"), no to logika jest nieubłagana. Jeśli etniczni Polacy nie byli ofiarami Holokaustu, co przecież oczywiste z definicji, i zarazem nie było wśród nich biernych świadków Zagłady, to znaczy, że wszyscy oni (zapewne z wyjątkiem garstki Sprawiedliwych) zaliczali się do... Przecież to jasne. Do sprawców. Do sławetnych „perpetrators".

Powtórzmy. Według Hilbergowskiej triady, tak jak zaaplikował ją Grabowski, sprawcami Zagłady byli wszyscy Polacy. I sensu tego zdania nie łagodzą późniejsze niejasne odpowiedzi udzielane przez Grabowskiego na pytanie, czy „naród polski był partnerem w nazistowskich zbrodniach" („możemy mówić o współnictwie całych segmentów polskiego społeczeństwa w eksterminacji Żydów... istnieje pytanie, jak szeroko chcemy interpretować to pojęcie...").

Profesor naprawdę wcale tak nie myśli, tylko po prostu tak mu się w emocjach powiedziało? Czy też wyrzucił z siebie jakąś swoją wewnętrzną prawdę? I jedna, i druga interpretacja, łagodnie mówiąc, nie zwiększa wiarygodności firmowanych przez niego ustaleń, mających określić poziom zaangażowania okupowanych Polaków w Holokaust.

A gra idzie o coś ważnego. O to, gdzie w świecie, w którym pozycję narodów ma kształtować miejsce, zajmowane na wyobrażonej drabinie win popełnionych wobec Żydów 75 lat temu, znajdzie się nasza wspólnota i nasze państwo.

„Badania Grabowskiego i jego researcherów ujawniają, że ok. 200 tys. Żydów zostało zamordowanych przez Polaków (niczego takiego nie ujawniają, ta liczba to efekt brawurowej gry rozmaitymi szacunkami, wynik konsekwentnego przyjmowania zawsze najgorszych dla Polaków założeń, będących z kolei podstawami dla dalszych kalkulacji, ale tego zachodni czytelnik oczywiście nie wie). To przekształca Polskę w jednego z największych krajów-sprawców Holokaustu (perpetrator countries)" – czytamy na portalu Israelnationalnews w artykule dr. Manfreda Gerstenfelda, wieloletniego strategicznego doradcy w ważnych amerykańskich i europejskich korporacjach, byłego przewodniczącego Jerozolimskiego Centrum Spraw Publicznych, uważanego w Izraelu za najwybitniejszego z żyjących badaczy antysemityzmu. Wczytajmy się w ostatnie zdanie i zastanówmy się nad tym, jakie byłyby konsekwencje powszechnego uznania jego prawdziwości.

Grabowski rozumie to z pewnością.

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. Julita Szewczyk

Wszystkie paradoksy Marca

Z prof. Jerzym Eislerem, historykiem, autorem pracy „Marzec 1968. Geneza, przebieg, konsekwencje", rozmawia Piotr Zaremba

Śmieję się, kiedy słyszę, że to największe zdarzenie w tysiącletnich dziejach Polski. Ale buntuję się, gdy ktoś mówi, iż nic się nie zdarzyło poza tym, że uderzono w kilku cwaniaków

Co się zdarzyło w marcu 1968 r.?

Jerzy Eisler: Każdy opowiada swoją historię Marca i często widzi tylko wycinek. Same obchody będą po trosze festiwalem samochwalstwa. Środowiska emigracji pomarcowej i kręgi filosemickie będą mówiły niemal wyłącznie o „kampanii antysyjonistycznej" i fali wyjazdów ludzi narodowości żydowskiej. Z kolei ludzie, którzy wtedy studiowali i byli aktywni, opowiedzą historię zdarzeń na własnej uczelni i we własnym mieście. A są przecież inne, równie ważne wątki.

Jakie?

Czołowi pisarze, intelektualiści tamtych czasów w zdecydowanej większości od dawna nie żyją. Obawiam się, że nie wybrzmi wystarczająco mocno opowieść o kampanii antyinteligenckiej, którą zorganizowały ówczesne władze. A to wtedy niszczycielską rolę wzięli na siebie w równym stopniu Władysław Gomułka i lektorzy PZPR średniego szczebla. I on, i oni mogli bezkarnie obrażać, zniesławiać Pawła Jasienicę, Stefana Kisielewskiego, Jerzego Andrzejewskiego, Antoniego Słonimskiego.

A kolejny wymiar zdarzeń?

Decyzje samej władzy. Można sobie wyobrazić, że ZOMO nie wkracza na teren Uniwersytetu Warszawskiego po wiecu 8 marca. Że nieznani sprawcy nie pobili Stefana Kisielewskiego. Że nie straszyli literatów.

eprasa.pl e12a91f2d0

Wtedy wszystko potoczyłoby się zapewne mniej dramatycznie. Powinniśmy badać rolę PZPR, również jej życie wewnętrzne. To opowieść o niej.

Nie o buncie studentów?

Ależ o buncie także, nie tylko zresztą studentów, lecz także uczniów szkół ponadpodstawowych, młodych robotników. O tym zapewne padnie trochę słów. W Poznaniu na pomniku Marzec figuruje jako jeden z polskich miesięcy buntu. Ale to nie znaczy, żeby nie rozmawiać o PZPR.

Bo to ona zainicjowała kampanię antysemicką?

Postawiono wtedy na dużą skalę problem obecności Żydów w partii, ich nadreprezentacji, bo to zmierzało do przyspieszenia mechanizmu awansu nowych roczników działaczy ukształtowanych po wojnie, często ludowego pochodzenia. Skądinąd Marzec przyniósł falę autentycznego zainteresowania problemem, kto jest pochodzenia żydowskiego, jakie ma naprawdę nazwisko. Tym się pasjonowali zarówno niektórzy członkowie kierownictwa, łącznie z Gomułką, jak i zwykli aparatczycy.

Skąd o tym wiemy?

Członkowie Biura Politycznego PZPR Edward Ochab, Stefan Jędrychowski i Adam Rapacki przestrzegali Gomułkę przed „antysemicką hecą". Odpowiedział im, że kierownictwo nie może sobie pozwolić na zerwanie łączności z partyjnymi masami. Najwyraźniej to były masowe, istotne nastroje. Ale też w końcu to przeciął. Wezwał szefa Biura Prasy KC Stefana Olszowskiego i powiedział: towarzyszu, jeżeli jutro w jednej gazecie pojawi się słowo „syjonista", stracicie stanowisko. I się nie pojawiło. Pstryk i wyłączył to.

Dlaczego nie zrobił tego wcześniej?

Pewnie choć mógł to zrobić, obawiał się rewolucji czterdziestolatków. On skądinąd wciąż nie był bardzo stary. Miał 63 lata. Ale znajdował się na szczycie od ćwierć wieku. Drażnił, męczył, wielu działaczy powtarzało, że jest wypalony. W podtekście marcowej kampanii było pytanie, czy Gomułka dalej powinien kierować PZPR. Zatem na jakiś czas spacyfikował nastroje, przyłączając się do nich. Tak działały te mechanizmy, nie było przecież normalnych procedur zmian kadrowych.

Marzec '68 to była eksplozja polskiego antysemityzmu?

Znamy wydarzenia głównie za sprawą pomarcowych emigrantów. Jeśli opowiadają, że ktoś im siusiał do butelek po mleku na klatce schodowej albo mazał kałem drzwi, to nie musiały to być działania bezpieki. Ujawniło się ileś zachowań łobuzerskich. A zarazem pojawiło się sporo postaw solidarnościowych, ładnych.

Były wreszcie sytuacje, które trudno ocenić. Oto jeden z bojowników AK opowiada w radiu o ratowaniu Żydów przez Polaków, o Żegocie. Mówi w rocznicę powstania w getcie szczerą prawdę. Ale wtedy brzmiało to dwuznacznie, bo było elementem propagandy władzy. Czy jednak ten człowiek nie czekał zbyt wiele lat, żeby to powiedzieć?

Pojawiały się również apokaliptyczne plotki.

Na przykład o tym, że na Żuławach powstanie obóz koncentracyjny dla Żydów. Nie wiadomo, kto rozsiewał coś takiego, może bezpieka; wielu ludzi narodowości żydowskiej reagowało histerią. A w zachodnim czasopiśmie w kwietniu 1968 r. pojawił się rysunek obozu z podpisem „Znowu w Polsce dymią kominy krematoriów". Skądinąd nie wolno porównywać Dworca Gdańskiego z Umschlagplatz. Ekspres do Paryża to jednak coś zupełnie innego niż bydlęce wagony wiozące do gazu.

Wiemy, czy Polacy kupili kampanię „antysyjonistyczną"?

Nie mamy danych. Te „antysyjonistyczne" zebrania w godzinach pracy były wyreżyserowane. Na pewno hasło „Mosiek do Izraela" na jednym ze zdjęć to świadectwo antysemickich nastrojów partyjnego aparatu.

W marcu 1981 r. odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim sławna sesja marcowa. Wiele osób opisywało tam teorię prowokacji. Mieczysław Moczar, szef MSW i lider frakcji „partyzantów", chciał zająć miejsce Gomułki, więc wywołał zamieszki.

Dowodów nie ma w żadną stronę. Towarzysze o takich rzeczach nie rozmawiali nawet przez telefon; żeby spiskować, chodzili po parku. Pewnie proste posługiwanie się jednym wytrychem – spisku – to intelektualne lenistwo. Łatwiejsze to niż pokazanie rzeczywistości jako wielopłaszczyznowej, skomplikowanej.

Ale mechanizmy spiskowe można dostrzec.

Jeśli ktoś podjął decyzję o usunięciu z UW dwóch czołowych komandosów, Adama Michnika i Henryka Szlajfera, można się było spodziewać, że ich koledzy, ludzie młodzi, radykalni, zareagują. Tak się wywołuje masowe protesty. Podobnie można widzieć wtargnięcie zomowców i „aktywu robotniczego" na uniwersytet po wiecu 8 marca.

Po tej pacyfikacji protest się rozlewa – po Warszawie, potem, od 11 marca, po kraju. Skądinąd rzadko kiedy wyrażano w Polsce taką sympatię do stolicy – patrz rymowanka „Niewart będziesz funta kłaków, jak nie poprzesz warszawiaków".

Te masy kierujące się solidarnością były narzędziem w rozgrywce na szczytach władzy?

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. East News

W PRL każde masowe wystąpienie wpływało na przebieg tej rozgrywki. Ale sprowadzanie takich wystąpień do prowokacji to coś obraźliwego dla ludzi, którzy się angażowali. Dlatego zawsze krzywiłem się, kiedy ktoś szukał prowokacji w „Solidarności". Miliony brały udział w czymś dobrym i czystym. Ze strachu przed prowokacją brała się też postawa: nie będę się angażował, bo to pewnie ubecka robota. Odnoszę wrażenie, że czasem te spiskowe koncepcje podsuwali ci, którzy sami posługiwali się prowokacjami.

> Relacje o 1968 r. dominują nad relacjami, powiedzmy, o Grudniu '70. Siłą sprawczą była tu inteligencja, ona najłatwiej produkuje świadectwa. Mamy więc nadreprezentację Marca w opisach, również zagranicznych, i odruch zazdrości w rozmaitych środowiskach

Na ile skutecznie Moczar odwołał się do nastrojów patriotycznych?

Robił to zręcznie. Józefa Rybickiego, ważnego oficera AK i WiN, jego dawny przełożony Jan Mazurkiewicz „Radosław" zachęcał w 1968 r. do spotkania z „dobrym patriotą" ministrem Moczarem. On odmówił, ale wielu innych się godziło. Dawnych akowców, którzy związali się wtedy ze ZBoWiD, nie mam prawa oceniać. Ujawniały się paradoksy. PRL-owski, ale więziony w czasach stalinowskich gen. Grzegorz Korczyński mógł powiedzieć do Mazurkiewicza: pułkowniku, obaj siedzieliśmy. To oni i pana, i mnie dręczyli. Ci „oni" to Żydzi. Był w tym element prawdy oraz sporo manipulacji. Skądinąd Moczar naprawdę zajął się losem kombatantów.

A z drugiej strony wśród wyjeżdżających Żydów Polacy widzieli dawnych stalinowców.

Ludzie, którzy emigrowali, mieli wpisane ostatnie miejsca pracy: PAN, uniwersytet, telewizja. Nie było informacji, że przed 1956 r. niektórzy pracowali w Informacji Wojskowej, prokuraturze, bezpiece, cenzurze. Ilu? Szacuję, że kilkaset osób.

Samym komandosom inna teoria prowokacji przypisywała udział w rozgrywce na szczycie władzy. Na studenckich wiecach miały się pojawiać okrzyki: „Zambrowski do Biura". Komandosi byli narzędziem w rękach dawnych stalinowców?

Wydaje się, że nawet część obecnej antykomunistycznej prawicy kupiła tę wersję. Wielu ludzi zresztą szczerze wierzy, że dzieci dygnitarzy stalinowskich posługiwały się hasłami liberalizacyjnymi we własnym interesie. Nie kwestionuję tego, że komandosi zachowali więzy ze swoimi komunistycznymi rodzinami. A jednak ta opowieść o reżyserii wydarzeń marcowych w niecnych celach to jedna z klisz wdrukowanych w naszą świadomość przez propagandę władzy.

Jaka jest więc prawda o roli komandosów?

Majstersztyk ówczesnej propagandy polegał na tym, że na reżyserów zamętu wykreowano Adama Michnika, Jacka Kuronia i Karola Modzelew-

eprasa.pl e12a91f2d0

skiego, których aresztowano na samym początku. Komandosi decydowali o kierunku zdarzeń do wiecu 8 marca. Potem większość z nich znalazła się w celach. Owszem, niektórzy wchodzili w skład komitetów strajkowych na swoich wydziałach. Ale Kuroń czy Michnik nie organizowali manifestacji na ulicach Warszawy.

Stworzyli jednak atmosferę przed Marcem.

Na tzw. salonach politycznych, na których pojawiali się też ludzie władzy, przychodzili, żeby pytać o Katyń, o 17 września, o Polonię w ZSRS. Oni przełamywali barierę strachu. Byli bardziej oczytani, próbowali nawet wypracowywać model odpowiednich zachowań ludzi ze swego środowiska w czasie śledztwa.

Mieli swój scenariusz?

Po latach opowiadali, że dążyli do niezależnej organizacji studenckiej. Myślę, że improwizowali, widzieli zdarzenia w krótkiej perspektywie: zdejmują „Dziady" Kazimierza Dejmka z afisza Teatru Narodowego – protestujemy przeciw cenzurze. Wyrzucają ze studiów naszych kolegów – organizujemy protest. Próbowali się posługiwać prościutką socjotechniką. Teresa Bogucka tłumaczyła mi, że podczas wiecu 8 marca na plan pierwszy wysuwano kobiety w nadziei, złudnej, że one będą mniej represjonowane.

Spiskowali?

Po latach wszystko wydaje się logiczne, poukładane. A nie było. Oni mocno używali życia, były romanse, alkohol. Nie tworzyli rewolucyjnej sekty.

A te masy, które wyszły na ulice? Co o nich wiemy?

Masy reagowały na hasło: biją naszych. Manifestacja 9 marca była gwałtowniejsza niż 8 marca. Do największych walk ulicznych doszło w poniedziałek 11 marca: Marszałkowska, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, rejon Komitetu Centralnego. A potem 15 marca 20 tys. ludzi demonstruje w Gdańsku, mniej więcej tyle, ile w Grudniu '70. Doszło do wielogodzinnych starć.

Fot. Julita Szewczyk

Ale demonstranci w Gdańsku nie mieli pojęcia o komandosach. Co ich pchało na ulice?

To sama władza organizowała młodym ludziom szkolenia, narady. Wychodził aparatczyk i monotonnym głosem opowiadał o „określonych siłach", o „młodzieży, która dała się zwieść bankrutom politycznym". Efekt był odwrotny, to drażniło w zderzeniu z rzeczywistością.

Jednak co się działo w głowach tych młodych ludzi?

Gomułka nieustannie powtarzał o przedwojennej biedzie, a młodzi ludzie już jej nie pamiętali. Natomiast oni widzieli w telewizji choćby uchwycone przypadkowo, nawet przy okazji propagandowych materiałów, fragmenty rzeczywistości zachodniej; np. to, że nawet niezamożny człowiek ma w USA samochód. Ta telewizja skądinąd dynamicznie się rozwijała, a Gomułka nie rozumiał jej znaczenia, więc trochę ją „wypuścił". Mimo że cenzurowana i bardzo ideologiczna, pokazywała kawałek świata. Dopiero Gierek nauczył się z niej korzystać jako narzędzia propagandy.

A wolnościowy wymiar tych demonstracji?

Może najwięcej myślano o tym, żeby można było słuchać muzyki, jakiej się chce. Albo żeby milicjant nie pałował chłopaka, który nosi trochę dłuższe włosy. A dziewczyna w spódnicy mini nie była przedmiotem chamskich zaczepek. Pamiętajmy, że tamta szkoła była bardzo opresyjna. Unosiła się nad tym zazdrość wobec rówieśników na Zachodzie. Stąd taka siła manifestacji w Gdańsku, gdzie więcej ludzi znało zagranicę.

Potem pojawiły się hasła polityczne, choćby obrony konstytucji. Ale nie myślano masowo o czytaniu, powiedzmy, Miłosza. Nie było haseł wolnych wyborów.

„Człowiek z żelaza" Andrzeja Wajdy utrwalił schemat: robotnicy nie przyłączyli się do inteligencji.

I nie jest to prawda. Zatrzymano ok. 3 tys. ludzi, w tym ponad 900 robotników i ponad 500 studentów. Reszta to uczniowie, także ludzie niepracujący, chuligani. Robotnicy byli przeważnie poniżej trzydziestki, często to koledzy studentów: z podstawówek, z drużyn harcerskich, z podwórka. Łączyły ich kod kulturowy, muzyka, filmy, moda. Pojawiły się też zabiegi o poparcie. Studenci mówili: pomóżcie nam. Oczywiście nie było formalnej współpracy.

Wróćmy do Marca jako polskiego miesiąca. Dlaczego jest ważny?

Relacje o 1968 r. dominują nad relacjami, powiedzmy, o Grudniu '70. Siłą sprawczą była tu inteligencja, ona najłatwiej produkuje świadectwa. Mamy więc nadreprezentację Marca w opisach, również zagranicznych, i odruch zazdrości w rozmaitych środowiskach.

A zarazem ci ludzie z rodzin komunistycznych będą tworzyć opozycję, nawet „Solidarność". To początek kształtowania się nowej elity politycznej. Dzisiaj się to lekceważy, bo odreagowuje się niedawny przesyt Marcem. Śmieję się, kiedy słyszę, że Marzec to największe zdarzenie w tysiącletnich dziejach Polski. Ale buntuję się, gdy ktoś mówi, iż nic się nie zdarzyło poza tym, że uderzono w kilku cwaniaków.

eprasa.pl e12a91f2d0

Polscy biskupi trafnie zinterpretowali charakter Marca '68. Nie mieli wątpliwości, że w komunistycznej elicie toczy się zażarta walka o władzę. Z tego powodu zachowali dystans wobec rozgrywających się wydarzeń, równocześnie zdając sobie sprawę, że antysemicka kampania prowadzona przez ekipę Gomułki przyczyni się do osłabienia pozycji Polski na arenie międzynarodowej

Biskupi w obronie studentów

RAFAŁ ŁATKA

Kościół katolicki odgrywał w Polsce „ludowej" niezwykle ważną rolę, pozostając przez cały ten okres jedyną niezależną od władz instytucją. Mądra polityka prymasa Stefana Wyszyńskiego i siła tradycyjnego polskiego katolicyzmu powodowały, że Kościół i jego biskupi cieszyli się znaczącym autorytetem społecznym.

Stało się to szczególnie widoczne w czasie obchodów milenium polskiego chrześcijaństwa, konfrontacji z komunistycznym państwem, z której Kościół wyszedł zwycięsko. Bez wątpienia okres „Wielkiej Nowenny" i obchodów milenijnych poszerzył jego pozycję, równocześnie osłabiając wpływ komunistów na polskie społeczeństwo. Władze miały świadomość, że przebieg uroczystości milenijnych przyczynił się też do dalszego wzrostu roli prymasa w Kościele i społeczeństwie: „Wyszyński wzmocnił swoją pozycję w Episkopacie i wśród kleru, a wobec Watykanu i Rządu [sic!] zademonstrował swoją siłę i jeszcze mocniejsze wpływy" – pisano w analizie przygotowanej na potrzeby KC PZPR. Silniejsza pozycja polskiego Kościoła uwidoczniła się również w czasie wydarzeń, do jakich doszło w marcu 1968 r.

* * *

Na przełomie 1967/1968 rozpoczęły się czystki w aparacie PZPR, mające podłoże antysemickie, ale przede wszystkim zmierzające do przejęcia władzy w partii przez frakcję moczarowską, którą wspierała grupa partyjna i wojskowa na czele z Edwardem Gierkiem i Wojciechem Jaruzelskim. Zbiegły się one w czasie z protestem studenckim przeciwko zdjęciu „Dziadów" w reżyserii Kazimierza Dejmka ze sceny Teatru Narodowego. Pierwszą reakcją prymasa na takie działania władz była notatka sporządzana po rozmowie z Jerzym Zawieyskim 29 lutego: „Po śniadaniu rozmowa o sytuacji, wytworzonej decyzją Rządu o »Dziadach«. Cały Rząd »zszedł na Dziady«, zrobił sobie niepotrzebnie zatarg ze światem literackim, który właśnie dziś ma zebranie w ZLP".

Polscy biskupi traktowali krytykę Władysława Gomułki i jego ekipy partyjnej formułowaną w środowiskach inteligenckich jako słuszną i właściwą, ale równocześnie nie mieli zamiaru mieszać się w walki frakcyjne w partii komunistycznej. Strategia Episkopatu

eprasa.pl e12a91f2d0

opierała się na przekonaniu prymasa, iż jest to rozgrywka o władzę w PZPR, w którą nie należy się angażować oraz należy zachować szczególną ostrożność w działaniu: „Musimy mieć dużo spokoju, by utrzymać się w równowadze. Nie możemy działać pod wpływem gorączkowych sugestii, nie możemy opowiadać się za tą czy inną frakcją. Spieszyć się z jakimś znakiem zaufania wobec X+Y nieznanych byłoby rzeczą ryzykowną. Episkopat musi być wolny w podejmowaniu decyzji od subiektywizmu i namiętności doradców".

* * *

Dystans wobec walki frakcyjnej prowadzonej w PZPR nie oznaczał, że polscy biskupi zachowywali neutralność wobec toczących się wydarzeń. Zgodnie z przekonaniem wyrażonym przez kardynała Wyszyńskiego: „Wprawdzie opinia katolicka uważa, że nieangażowanie się Kościoła wytwarza szczęśliwą sytuację. My musimy jednak widzieć rozwój i oceniać go w perspektywie przyszłości. Absolutne trzymanie się na boku w wymiarze historycznym jest niecelowe. Kościół ma obowiązek oceniać elementy natury moralnej i doktrynalnej".

Polscy biskupi poparli w zdecydowany sposób postulaty podnoszone przez protestujących studentów. Wyraził to jednoznacznie bp Franciszek Jop, który w czasie posiedzenia Komisji Głównej Episkopatu z kwietnia 1968 r. zauważył: „Odnosi się wrażenie, że jest to gra partyjna, za wyjątkiem oczywiście wystąpień studentów". Jego stanowisko podzielał abp Bolesław Kominek, który dodawał, że Kościół do wydarzeń powinien się włączać tylko w trosce o młodzież i na niej się skupić, zgodnie z przekonaniem bp. Tokarczuka, że „młodzież i świat nauki, i literaci wystąpili w obronie wolności".

Episkopat poparł stanowisko grupy poselskiej Znak i wydał 21 marca komunikat, w którym wyrażał solidarność z protestującymi studentami: „Staramy się zrozumieć i odczuć źródła tego niepokoju, jaki was nurtuje i jaki zdaje się nurtować dziś młodzież całego świata związany z dążeniem do prawdy i do wolności, jaka jest naturalnym prawem każdego człowieka w życiu osobistym i społecznym. Jest to niepokój o przyszłość człowieka i świata". Równocześnie biskupi przesłali ostry w treści list do premiera Cyrankiewicza, w którym pisano: „Pałka gumowa nigdy nie jest argumentem dla wolnego społeczeństwa, budzi najgorsze skojarzenia i mobilizuje opinię przeciwko ustalonemu porządkowi. Władza państwowa nie może zastąpić rozsądku i sprawiedliwości pałką gumową. [...] W trosce o spokój, jedność i braterstwo Narodu [...] postulujemy:

1. Uwolnić młodzież zatrzymaną w więzieniach i aresztach.
2. Powściągnąć drastyczność stosowanych metod karania i śledztwa, o czym przenikają wiadomości do społeczeństwa.
3. Wpłynąć na prasę, by informowała opinię publiczną zgodnie z rzeczywistością lub przynajmniej, by tendencyjnymi naświetleniami nie drażniła młodzieży i społeczeństwa.
4. Wpłynąć skutecznie na władze bezpieczeństwa, by nie stosowały anachronicznych środków represji, tak bardzo skompromitowanych we wspomnieniach narodu".

Biskupi widzieli jednak, co warto podkreślić, istotną różnicę między rewoltą studencką w krajach Europy Zachodniej a buntem w PRL. Z informacji uzyskanych przez SB wynikało, że kardynał Wyszyński oceniał, iż: „W przeciwieństwie do młodzieży zachodniej [...] z uznaniem mówił o polskiej młodzieży, która jest pełna ambicji i ideałów i należy ją za to wysoko cenić. Mówił również, że podziwia polskie społeczeństwo i polską młodzież za to, że jest wspanialsza od tej na Zachodzie – mimo ciężkich warunków materialnych. Kościół, twierdził kardynał, wprowadza ład, uczy prawdy i zaleca szanować dobro".

* * *

Analiza wydarzeń sformułowana przez Episkopat przyniosła również bardziej dalekosiężny skutek, gdyż biskupi zdecydowali się zintensyfikować kościelne działania mające na celu rozwinięcie duszpasterstw akademickich, tak by stały się one miejscem swobodnej wymiany myśli. Przyniosło to znaczący skutek w latach 70., gdy polska młodzież w znacznej części zbliżyła się do Kościoła, duszpasterstwa akademickie zaś stały się kuźnią kadr dla opozycji przedsierpniowej, a później także dla „Solidarności".

Innym ważnym skutkiem wydarzeń z marca 1968 r. były wskazania skierowane pod adresem środowiska Znaku przez kardynała Wyszyńskiego, by zmieniło przyjętą przez siebie strategię działania. W maju 1968 r. podczas spotkania z posłami katolickimi prymas mówił, że koło: „musi skorygować swoje założenia polityczne, odcinając się od kosmopolityzmu i akcentując zdrowe tendencje nacjonalistyczne [w narodzie, a nie w partii] – oczywiście powtórzył prymas – chodzi tu o zdrowy polski nacjonalizm, a nie szowinizm czy faszyzm". Kardynał Wyszyński postulował ponadto, jako trwały i kluczowy element misji katolików świeckich, konieczność zwiększenia więzi z narodem i wsłuchiwania się w tendencje nurtujące naród, a nie partię komunistyczną.

Również najważniejsi polscy biskupi odnieśli się do antysemickiej nagonki rozpętanej przez ekipę Gomułki w czasie dyskusji toczonych na

eprasa.pl e12a91f2d0

forum Komisji Głównej. Abp Antoni Baraniak podkreślał, iż „pewne koła chcą przyczepić Narodowi antysemityzm, dlatego episkopat powinien się wypowiedzieć. Polska nigdy nie była antysemicka". Bp Ignacy Tokarczuk opowiedział się z kolei za podjęciem działań w celu „obrony dobrego imienia Narodu". Kardynał Wyszyński zwracał uwagę i ubolewał, że przyczyni się ona do pogorszenia wizerunku Polski i Polaków na Zachodzie. W jednej z notatek sporządzonych przez MSW wyraźnie stwierdzono, co uważał prymas: „Obecnie antysemityzm to partia".

* * *

Polscy biskupi intensywnie się zastanawiali w czasie kilku kolejnych posiedzeń Episkopatu, czy przyjąć całościowy list w obronie dobrego imienia Polaków oskarżanych o antysemityzm. Przeważyło jednak przekonanie, że jest to inicjatywa ryzykowna i mogąca przynieść na skutek manipulacji efekty odbiegające od oczekiwań. W projektowanym liście pasterskim z obrad Konferencji Episkopatu z 3 maja znalazły się ważne słowa, które zachowują szczególną wartość w dzisiejszych czasach: „Usiłuje się mianowicie eksterminację Żydów, dokonaną w hitlerowskich obozach zagłady, przypisywać Polakom. Jest to straszliwa krzywda moralna, jeśli się zważy, że w obozach tych poniosły śmierć miliony Polaków. Przez pamięć o naszych rodakach, a także w oparciu o wszystkie dowody miłości bliźniego, jakie w okresie okupacji Polacy wyświadczyli prześladowanym Żydom, domagamy się zaprzestania tej kłamliwej i krzywdzącej propagandy oraz jej prowokowania".

W tekście komunikatu biskupi domagali się również dostępu „wszystkich członków Narodu i obywateli państwa do kształtowania wspólnego dobra wedle uzasadnionych przekonań i w oparciu o własne sumienie. Z powodu odmienności swoich przekonań nikt nie może być zniesławiony jako wróg. Doszukiwanie się wrogów w ludziach, dlatego tylko że dobra Narodu pragną wedle swoich odmiennych przekonań, nie służy moralności społecznej, a prócz tego pozbawia Naród wielu szlachetnych sił i inicjatyw, które mogą przyczynić się do wzbogacenia życia społecznego w różnych dziedzinach".

W projektowanym liście pasterskim z obrad Konferencji Episkopatu z 3 maja znalazły się ważne słowa, które zachowują szczególną wartość w dzisiejszych czasach: „Usiłuje się mianowicie eksterminację Żydów, dokonaną w hitlerowskich obozach zagłady, przypisywać Polakom. Jest to straszliwa krzywda moralna, jeśli się zważy, że w obozach tych poniosły śmierć miliony Polaków. Przez pamięć o naszych rodakach, a także w oparciu o wszystkie dowody miłości bliźniego, jakie w okresie okupacji Polacy wyświadczyli prześladowanym Żydom, domagamy się zaprzestania tej kłamliwej i krzywdzącej propagandy oraz jej prowokowania".

Wspomniane słowa miały swoją zdecydowaną wymowę i historyczny charakter, polscy biskupi nie zdecydowali się ich jednak ogłosić w obawie, że zostaną zmanipulowane i posłużą wrogom Polski do propagandowego ataku. Kardynał Wyszyński wskazywał, że gdy Episkopat określi „autorytarnie [...] zjawisko, powstanie większy krzyk w świecie i z powoływaniem się na Episkopat Polski". Główny autor listu metropolita krakowski kard. Wojtyła dodawał, że komunikat „w którym poruszane są różne sprawy nie tylko żydowskie, mógł się w pewnych partiach przedawnić dlatego, że oddaliliśmy się od wielu wydarzeń. Tło nieustannie się zmienia. Sprawę trzeba na nowo przemyśleć i może jeszcze odłożyć".

Wspomniane wyżej zastanowienie przyniosło konkretny efekt, gdyż polscy biskupi zdecydowali się przygotować szersze słowo nawiązujące do rocznicy 50-lecia odzyskania niepodległości, w którym potwierdzono by również wolnościowe aspiracje polskiego narodu. Podczas majowego spotkania Komisji Głównej Episkopatu, jak wynika z protokołu obrad: „Ks. Prymas przeczytał projekt listu Episkopatu na 50-lecie Odrodzenia Polski w redakcji Bp. Kowalskiego. Rozwinęła się poważna i zasadnicza dyskusja. Stwierdzono, że projekt zawiera mało elementów duchowo-moralnych. Nie uwydatnia pogwałconego moralnego prawa do wolności. Należałoby jako osnowę dać Mysterium Paschale. Sięgnąć do Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida i Sienkiewicza. Podkreślić chrześcijańską kulturę Narodu, która mobilizowała Naród, który dlatego poddał się inspiracji Ewangelii Św. itd.".

W Liście Pasterskim Episkopatu ogłoszonym ostatecznie 15 września znalazło się odniesienie do rzeczywistości politycznej PRL, gdyż polscy biskupi poświęcili wiele miejsca na wskazanie, że „wolność jest podstawowym darem Bożym dla każdego człowieka" oraz że „wolność jest niezbędnym warunkiem rozwoju narodu, zarówno pod względem duchowym, jak i materialnym". Jak trafnie podkreślał Jan Żaryn, biskupi zgodnie z tradycją swych poprzedników „analizowali rzeczywistość nie tyle z perspektywy doraźnej sytuacji politycznej, a ciągłości dziejów Polski, za które teraz przyszło im odpowiadać, w warunkach zarządzania państwem przez ateistyczną i z zewnątrz narzuconą władzę".

* * *

Polscy biskupi trafnie zinterpretowali charakter Marca '68 jako walki o władzę prowadzonej w komunistycznej elicie. Z tego powodu zachowali dystans wobec rozgrywających się wydarzeń, równocześnie zdając sobie sprawę, że antysemicka kampania prowadzona przez ekipę Gomułki przyczyni się do osłabienia pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Nie zdecydowali się jednakże opublikować Słowa Pasterskiego przygotowanego głównie przez kardynała Wojtyłę, obawiając się, że może ono przez manipulacje przynieść odwrotny do oczekiwań efekt w postaci zwiększenia nagonki na Polaków. Polscy biskupi od samego początku wspierali jednakże protestujących studentów, zgadzając się z ich zasadniczym postulatem poszerzenia wolności społecznej i zmniejszenia ograniczeń cenzury.

*Dr **Rafał Łatka**, historyk i politolog, pracownik Biura Badań Historycznych IPN, specjalizuje się w historii Kościoła katolickiego w PRL, autor, współautor i redaktor kilkunastu książek dotyczących historii najnowszej Polski*

eprasa.pl e12a91f2d0

SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
– ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNALAZCOM, KTÓRZY UCZYNILI ŚWIAT LEPSZYM

odc. 1

Naftowa misja narodowa

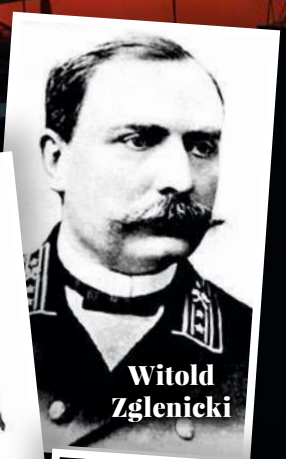

Witold Zglenicki

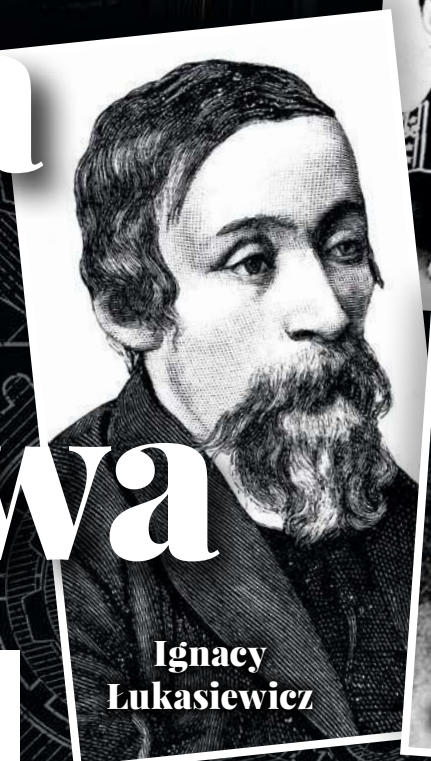

Ignacy Łukasiewicz

Henryk Merczyng

PARTNERZY DODATKU

Energa PERN PGNiG

2018.pl

100. rocznica odzyskania niepodległości

Tak Polska dochodziła do niepodległości...

Dawne czasy

I wojna światowa

Międzywojnie

II wojna światowa

Wiek XX

Współczesność

Autopromocja

eprasa.pl e12a91f2d0

Jak Polacy napędzali świat

Narodowy dramat, jakim z pewnością były rozbiory, miał swój niezamierzony przez zaborcze mocarstwa efekt uboczny – import i eksport myśli

Wojciech Lada

Z jednej strony młodzi Polacy wyjeżdżali na uniwersytety w Petersburgu, Rydze, Wiedniu czy Berlinie, gdzie stykali się z najwybitniejszymi umysłami ówczesnego świata, poznawali najnowsze osiągnięcia techniczne, na własne oczy oglądali nowe wynalazki, po czym z bagażem takich doświadczeń wracali nad Wisłę. Z drugiej – ci Polacy, którzy sami okazali się wybitnymi myślicielami, wynalazcami i badaczami, mieli znacznie ułatwiony eksport swoich osiągnięć na cały świat. To paradoks, ale rozbiory Polski bardzo wzmocniły polską naukę i kulturę, jednocześnie wzbogacając naukę i kulturę światową. Otworzyły je na myśl polską, która nigdy chyba nie była tak płodna jak w wieku XIX.

Podobnym paradoksem była zresztą Syberia. To miejsce zsyłki różnych narodowości, największe i najsurowsze więzienie świata, sprawiło, że młodzi konspiratorzy stykali się, wymieniali myślami, wzajemnie dokształcali, kreślili wspólne plany, które zresztą ostatecznie okazały się dla zaborczych mocarstw – a zwłaszcza dla caratu – zabójcze. Przykładem tego mogą być choćby losy Jana Czerskiego, który jako zupełnie niewykształcony osiemnastolatek wziął udział w zrywie styczniowym i został zesłany do Omska, gdzie własnymi siłami wykształcił się na geologa, który wkrótce zmienił całą światową wiedzę o historii naturalnej Syberii. Dziś jego nazwiskiem nazwane jest co najmniej jedno miasto i kilka pasm górskich. A Wacław Sieroszewski i Bronisław Piłsudski? Pierwszy trafił na Syberię jako terminator u ślusarza, drugi jako student prawa o bardzo ogólnej jeszcze wiedzy. Wkrótce obaj zamienili się w najwybitniejszych etnografów swoich czasów, którzy w dodatku ocalili dla nauki ślady ginących plemion syberyjskich.

Ale nie trzeba było znaleźć się na Syberii, by odcisnąć piętno na losach świata. Ludwik Hirszfeld wyznaczył obowiązujący do dziś podział grup krwi i czynnika Rh, pracując w Zurychu. Jan Szczepanik stworzył podwaliny telewizji, fotografii barwnej, a nawet kamizelkę kuloodporną, nie ruszając się z Tarnowa, a pochodzący ze Zduńskiej Woli Maksymilian Faktorowicz uruchomił swoją słynną markę kosmetyków w Los Angeles. Dziś wszyscy znają ją pod nazwą Max Factor.

W każdy pierwszy tydzień miesiąca będziemy publikować sylwetki wybitnych Polaków, którzy odcisnęli ślad na losach świata. Choć dziś są zapomniani, ich dokonania w dalszym ciągu nadają bieg światowej gospodarce, sztuce czy modzie. Tak jest w przypadku bohaterów pierwszego odcinka naszego dodatku. O ile nazwisko Ignacego Łukasiewicza jest znane dość powszechnie, podobnie jak wiedza, że to on wynalazł lampę naftową i wymyślił cały naftowy przemysł, o tyle o Witoldzie Zglenickim i Henryku Merczyngu mało kto dziś pamięta. Tymczasem ten ostatni nie tylko wprowadził pociąg elektryczny do tej części Europy, lecz także sprawił, że ropa naftowa rurociągami płynie we wszystkie strony świata. Zglenicki zaś wymyślił rzecz, bez której cały rynek paliwowy nie mógłby dziś istnieć – platformę wiertniczą. Jak widać, wszystkich trzech łączy nafta, bo istotnie Polacy byli w tej dziedzinie wizjonerami i pionierami. Za ich czasów ziemie polskie były zresztą trzecim w świecie mocarstwem naftowym, mającym się pod tym względem całkiem nieźle również po odzyskaniu niepodległości. W 1928 r. zajmowaliśmy w tym rankingu wciąż wysoką, ósmą pozycję. ●

eprasa.pl e12a91f2d0

Dzięki lampie naftowej oświetlił świat, dzięki benzynie znacznie go przyspieszył. Stworzył też od podstaw całą, najpotężniejszą dziś, gałąź gospodarki – przemysł naftowy. Pod względem wpływu, który jego wynalazki wywarły i wciąż wywierają na życie, mało kto byłby w stanie prześcignąć Ignacego Łukasiewicza

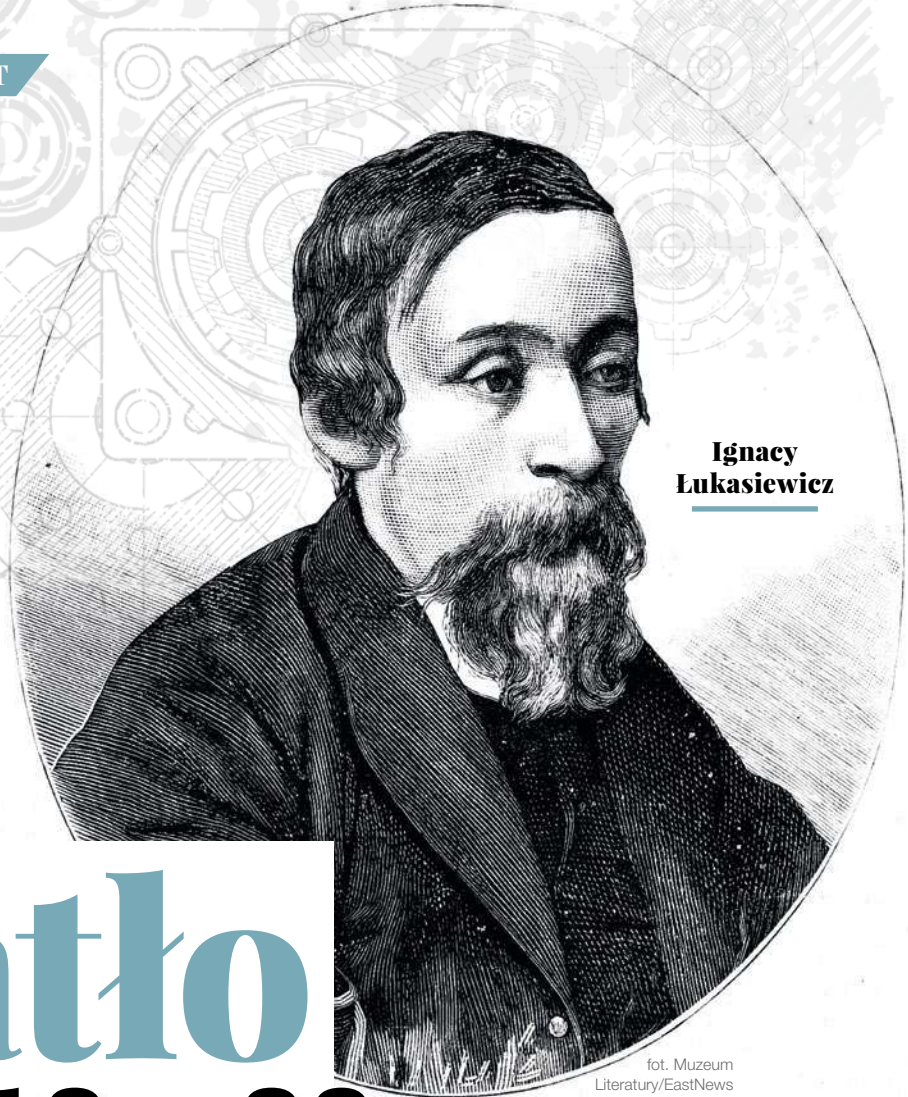

Ignacy Łukasiewicz

fot. Muzeum Literatury/EastNews

WOJCIECH LADA

Światło z Galicji

Wiosną 1928 r. niejaki Ludwik Tomanek zanotował następujące porady: „Jeżeli się chce posługiwać naftą do palenia w lampach, to najlepiej jest zrobić tak: wziąć flaszeczkę na 4 do 5 cali wysoką, zanurzyć w nią rurkę, a w to włożyć knot. Im krótszy jest knot oraz im słabszy, tym lepiej i z tym mniejszym swędem pali się nafta; jeżeli się na przykład knot, składający z 10 nitek, rozdzieli na 5 cienkich rureczek, wówczas otrzymuje się więcej światła, niż gdyby ten cały knot włożyło do jednej rurki. Przy czystym i dobrem urządzeniu jedna lampa może się palić nawet do 24 godzin bez potrzeby czyszczenia jej”.

O Tomanku nie wiadomo za wiele. Poza tym, że miał pewne pojęcie o oświetleniu naftowym, wiemy, iż był dziennikarzem „Ilustrowanego Kuriera Warszawskiego”, sporadycznie także dało się go spotkać w otoczeniu Stanisława Wyspiańskiego. Miał również z pewnością coś wspólnego z Komitetem Uczczenia Pamięci Ignacego Łukasiewicza w Krośnie – skoro ten właśnie okolicznościowy organ zlecił mu napisanie broszury „w 75. rocznicę zaświecenia pierwszej lampy naftowej”. Tomanek był dziennikarzem sumiennym. Ze zlecenia wywiązał się wzorowo i po kilku miesiącach, w 1928 r., światło dzienne ujrzała pierwsza kompletna i kompetentna biografia Ignacego Łukasiewicza – wynalazcy lampy naftowej, odkrywcy metod destylacji ropy i pioniera jej wydobycia. Inaczej mówiąc, człowieka, który oświetlił świat, a przy okazji stworzył coś, co dziś nazywa się przemysłem naftowym. Gdyby Tomanek żył 75 lat wcześniej, nie mógłby zanotować powyższych mądrości o rurkach i knotach. Przed Łukasiewiczem nikt wcześniej na to nie wpadł.

PORADY DLA ROCKEFELLERA

To naprawdę przedziwne, że pierwsza biografia Łukasiewicza ukazała się tak późno. Był on bowiem postacią docenioną już za życia, a jego sława wykraczała daleko poza austriacką wówczas Galicję, docierając do Stanów Zjednoczonych, co bardziej zurbanizowanych części Azji, o Europie nawet nie wspominając. Austriacka gazeta „Neue Freie Presse” pisała o nim np. jako o „człowieku, który podjął się założenia w Galicji ważnej gałęzi przemysłu, który wielu tysiącom ludzi dał w rękę chleb, a ludności Austrii nowy,

eprasa.pl e12a91f2d0

lepszy materiał oświetleniowy". Skonstruowana przez niego w marcu 1853 r. pierwsza lampa naftowa w ciągu kilkunastu miesięcy podbiła świat i w większości regionów globu stała się jedynym stałym źródłem światła po zmroku przez niemal 100 następnych lat, wypartym tak naprawdę dopiero po II wojnie światowej przez powszechną elektryfikację.

Wpływ innych jego odkryć trwa natomiast do dziś i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miał osłabnąć. Opracowując proces destylacji ropy, Łukasiewicz wyodrębnił m.in. benzynę, bez której świat całkiem dosłownie stałby w miejscu. Na tym nie koniec. „Nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że wiele przedmiotów codziennego użytku »pachnie naftą«" – zwracał uwagę kolejny z jego biografów, Jan Dębski. „Do tych przedmiotów należą farby i lakiery, sztuczny jedwab, artykuły nylonowe, nietłukące się szkło, imitacje skóry, materiały zmydlające, gumowe, środki dezynfekcyjne, owado- i grzybobójcze, impregnacyjne, lekarstwa, a nawet perfumy". Warto dodać do tej listy rzecz tak wszechobecną jak asfalt, który mógł umknąć uwadze Dębskiego, bo w 1955 r. w Polsce nie był on jeszcze bynajmniej powszechnie spotykany. Rzecz jednak ciekawa, że jeszcze w tym samym roku 1955 Dębski wyrażał „pragnienie, aby zagasła wreszcie ostatnia lampa naftowa w Polsce, a na jej miejsce zabłysła elektryczna". Były, jak widać, miejsca, w których wynalazek Łukasiewicza pozostawał w użyciu nawet dłużej niż stulecie.

O globalnym znaczeniu naftowych odkryć Łukasiewicza sporo mówią też liczby. W momencie gdy ustawiał swoją pierwszą lampę naftową na wystawie apteki we Lwowie, światowe wydobycie ropy wynosiło rocznie kilkaset ton. W 1870 r. liczba ta sięgała już 700 tys. ton, a 40 lat później – 54 mln ton. W połowie XX w. było to 0,5 mld ton, dziś zaś jest to prawie 15 mln ton... dziennie, czyli ok. 5 mld rocznie. W 1853 r. Łukasiewicz nie mógł jeszcze zdawać sobie w pełni sprawy z procesu, który rozpoczął, choć to właśnie on zbudował i uruchomił pierwsze na świecie kopalnie ropy oraz jej destylarnie, inicjując w ten sposób powstanie przemysłu naftowego. Polakowi chodziło tylko o zdobycie surowca do coraz lepiej sprzedających się lamp. Wizjonerzy zza oceanu chyba jednak już wówczas przeczuwali, że nafta zmieni świat nie tylko w kwestii jego oświetlenia. Sumienny Tomanek odnotował, że któregoś dnia kopalnie Łukasiewicza odwiedzili przedstawiciele Johna D. Rockefellera. „Ofiarowali oni Łukasiewiczowi, który uchodził wówczas za pioniera i nowatora na tym polu, znaczną sumę pieniędzy, w zamian za co wolno by im było wyzyskać do swoich celów wynalazki i ulepszenia Łukasiewicza. Łukasiewicz pozwolił bardzo chętnie na zwiedzenie zakładów, ale honorarium nie przyjął. Dowód, że nawet Ameryka doceniła »ojca« Łukasiewicza" – konkludował.

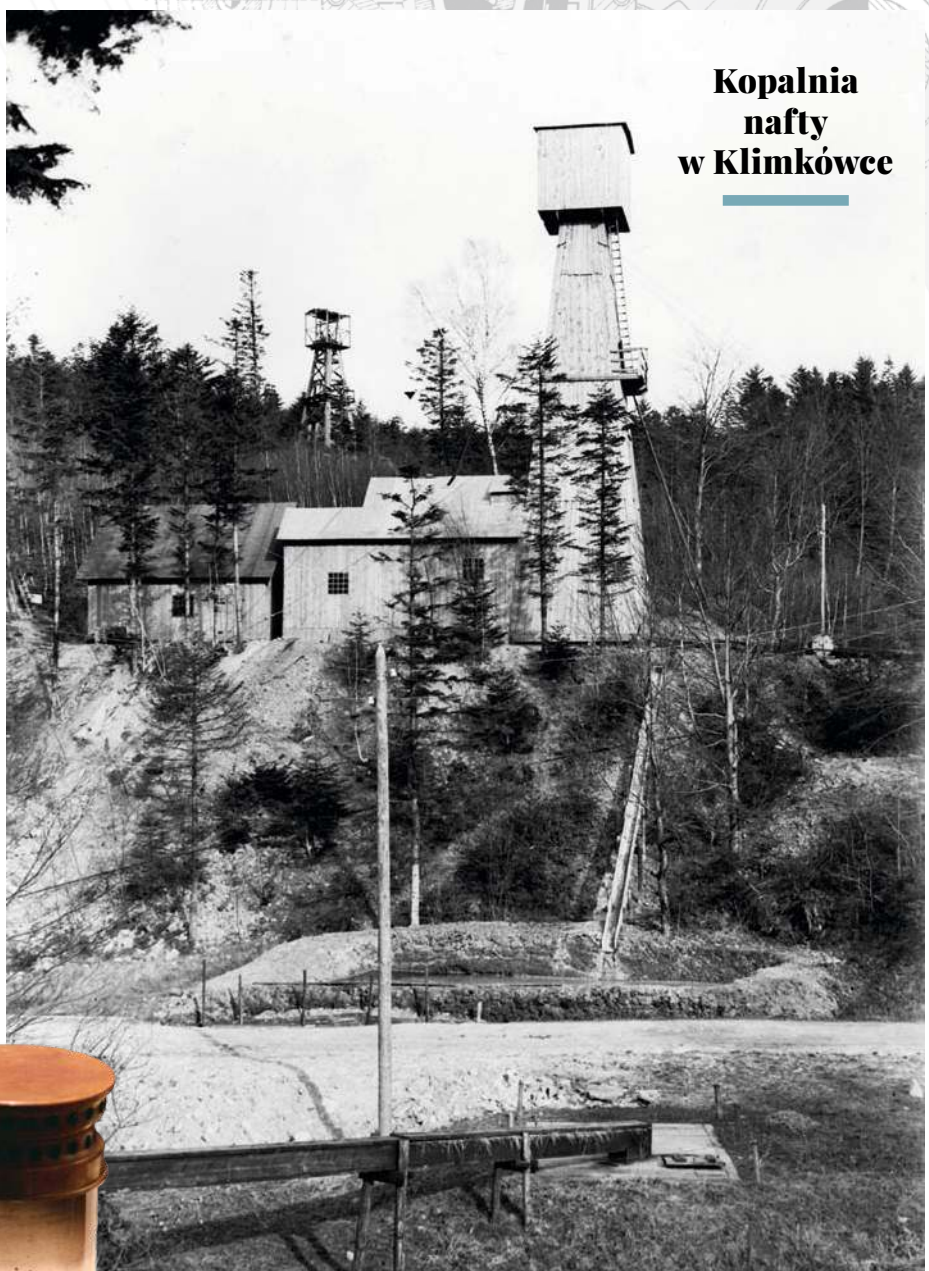

Kopalnia nafty w Klimkówce

fot. NAC

Kopia pierwszej lampy naftowej pomysłu Ignacego Łukasiewicza wykonana w 1853 r. przez blacharza lwowskiego A. Bratkowskiego

fot. Marek Zajdler/East News

eprasa.pl e12a91f2d0

W 1928 r. Polska zajmowała ósme miejsce w światowym wydobyciu ropy naftowej. Trzy pierwsze miejsca zajmowały USA, Meksyk i Rosja. Bliski Wschód, a konkretnie Persja była dopiero na czwartej pozycji.

Wykorzystywane przez Łukasiewicza podkarpackie złoża ropy naftowej są dziś na wyczerpaniu, choć pozostają aktywne. Jednak większość, 75 proc., polskiego wydobycia odbywa się na Niżu Polskim, zwłaszcza w Lubiatowie, oraz tzw. BMB (Barnówko–Mostno–Buszewo). W okolicach Wolina i Kamienia Pomorskiego pozyskuje się też ropę z dna Bałtyku. W 2016 r. wydobyto w Polsce blisko milion ton ropy.

Pierwsze w Polsce wzmianki o ropie pojawiły się w XV w. w kronikach Jana Długosza. Wiadomo jednak, że już Władysław Łokietek używał płonącej ropy do sygnalizacji swoich wojsk podczas walk o tron z Wacławem Czeskim.

„Ten, co złota w ropie szukał, smołą się opłukał" – głosiło polskie powiedzenie z XVI w., wykpiwające Seweryna Bonera, podskarbiego Zygmunta Starego, któremu ropa zalała kopalnię złota.

Pierwsze szyby wiertnicze miały nie więcej niż 50 m głębokości. Jednak już w 1894 r. Władysław Długosz opracował technikę odwiertów do głębokości nawet 900 m. Po raz pierwszy zastosowano ją w szybie Na Potoku w okolicach Borysławia, które wkrótce stało się naftowym zagłębiem i było nim aż do sowieckiej agresji na Polskę w 1939 r.

W związku z rozwojem górnictwa naftowego po I wojnie światowej powstała w USA nowa gałąź nauki – mikropaleontologia. Jednym z jej pionierów był Polak, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Grzybowski.

SPISEK W APTECE

Niechęć do przyjmowania honorariów w rodzinie Łukasiewicza przechodziła wraz z genami. Jego ojciec Józef walczył za młodu w powstaniu kościuszkowskim i był jednym z tych nielicznych, którzy potraktowali poważnie wolnościowe ideały ogłoszone w uniwersale połanieckim. Po upadku insurekcji musiał z rodziną uciekać z rodzinnego majątku w okolicach Płocka i osiąść w Galicji, gdzie wydzierżawił niewielką wieś Zaduszniki. Był bardzo prochłopski – będąc dzierżawcą, a nie właścicielem, miał w stosunku do nich mniejsze prawa, czyli mówiąc wprost: nie miał ich na własność. Mało tego. W ubogiej Galicji podstawą utrzymania okolicznej szlachty były produkcja i sprzedaż alkoholu, czego efektem było pijaństwo doprowadzone niemal do rozmiarów kataklizmu. Kiedy Łukasiewicz osiadł w Zadusznikach, w okolicy funkcjonowało 17 tys. szynków, a na jednego mieszkańca powyżej 14. roku życia przypadało ok. 13 litrów wódki rocznie. Kościuszkowskie ideały nie pozwoliły Józefowi powiększać tych statystyk, co było gestem szlachetnym, ale po prawdzie w skali regionu dość pustym, a co gorsze – wpędzającym rodzinę Łukasiewiczów w stan permanentnej biedy. I w takim właśnie stanie 23 marca 1822 r. przyszedł na świat Ignacy Łukasiewicz.

O jego najwcześniejszym dzieciństwie wiadomo niewiele, ale być może po prostu dlatego, że brakowało w nim jakichkolwiek wartych odnotowania wydarzeń. Z jego dalszych postaw i wyborów można wywnioskować, że z całą pewnością w domu – jak niemal we wszystkich domach byłych powstańców – kultywowało się idee niepodległościowe, ale w dość postępowym, prospołecznym stylu. Nie mógł zresztą przed tym uciec. Kiedy skończył dziewięć lat, wybuchło powstanie listopadowe, które co prawda nie objęło Galicji, ale wkrótce po zakończeniu walk zaludniło okolice setkami niedobitków, udających się galicyjskimi bezdrożami na emigrację, później nazwaną Wielką. Nie wiadomo, ile chłopiec zrozumiał z ich opowieści, ale z pewnością podsyciły one atmosferę wyniesioną z domu. I to na tyle trwale, że kiedy tylko nadarzyła się okazja, młody Ignacy szybko rzucił się w wir konspiracyjnego życia.

Tymczasem jednak ma dziewięć lat i uczęszcza do gimnazjum w Rzeszowie. Nie jest to ani zła, ani dobra szkoła – nie ma w niej przesadnych nacisków germanizacyjnych, ale też brak tu jakichkolwiek prób przekazywania głębszej wiedzy ogólnej. Gimnazjum miało wykształcić po prostu sprawnych urzędników dla cesarsko-królewskiej administracji, a tym z powodzeniem wystarczyła znajomość niemieckiego i łaciny, w najlepszym razie podstaw rachunków. Dlatego nie było chyba przesadną stratą, gdy Łukasiewicz musiał przerwać naukę po zaledwie czterech latach – na dalszą jego rodziców nie było już stać. Okazało się to w każdym razie przełomowym momentem w jego życiu. Kiedy bowiem rodzice zdecydowali się oddać go na naukę do jednej z aptek w Łańcucie, z pozbawionego wyraźniejszych zainteresowań chłopaka Łukasiewicz zaczął się powoli zmieniać w zdolnego i pełnego pasji chemika.

Praktykę aptekarską kontynuował w Rzeszowie, ale nie długo. Trzydziestolecie dzielące powstanie listopadowe od styczniowego nie było, wbrew obiegowym opiniom, czasem politycznego marazmu. Nawet jeśli pominąć powstanie krakowskie z 1846 r. czy – szerzej – niepokoje Wiosny Ludów, cały ten okres wypełniały Polakom nieustające spiski. Czasem sterowane przez emigrację z Paryża, innym razem tworzące się samorzutnie w kręgach lokalnej młodzieży – raz o niemal rewolucyjnym charakterze, kiedy indziej ograniczające swoją aktywność do tajnych lekcji historii i literatury polskiej. Niezależnie jednak od celów i metod tych niewielkich zazwyczaj grup, po ziemiach polskich krążyły nieustannie kilogramy nielegalnej bibuły, która z punktów przerzutowych rozlokowanych w każdej niemal miejscowości trafiała wprost do czytelników. Najprawdopodobniej miejscem takim była także rzeszowska apteka i jest również bardzo prawdopodobne, że to właśnie Łukasiewicz trudnił się dystrybucją kontrabandy. Wiemy w każdym razie na pewno, że był członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego – największej wówczas polskiej organizacji emigracyjnej – i właśnie jako jej agent został aresztowany przez austriacką policję, po czym na prawie dwa lata osadzony w lwowskim więzieniu „u karmelitów".

Dwa lata w celi nie wpłynęły w żaden sposób na mocno już rozbudzone i za-

eprasa.pl e12a91f2d0

Nafta a sprawa polska

awansowane zainteresowania chemiczno-farmaceutyczne Łukasiewicza. Kiedy tylko w grudniu 1847 r. został z braku dowodów zwolniony z więzienia, natychmiast podjął pracę w lwowskiej aptece Piotra Mikolasha – Pod Złotą Gwiazdą – która wkrótce miała się stać scenerią jego pierwszych eksperymentów z naftą, a także miejscem, w którym zapaliła się pierwsza w świecie naftowa lampa. Zanim to jednak nastąpiło, przy wsparciu Mikolasha Łukasiewiczowi udało się zaliczyć kurs farmacji na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz uzyskać stopnień magistra farmacji na uniwersytecie w Wiedniu.

WÓDKA ZE SKAŁOLEJÓW

Z naftą Łukasiewicz stykał się już wcześniej. Nie miał wyjścia, znał ją każdy aptekarz, bo w medycynie ludowej od stuleci uchodziła za skuteczne lekarstwo na odmrożenia, choroby skóry, a z dodatkiem cukru – środek moczopędny i odrobaczający. Jan Zeh, z którym Łukasiewicz pracował we Lwowie, wspominał, jak wyglądała wówczas jej dystrybucja w Galicji: „Naftę do apteki przynosił chłop przezwiskiem Babtuła, pochodzący zapewne z okolic Borysławia. Ten destylował surową ropę w garnku żelaznym z doprowadzoną lufą od strzelby jako chłodnicą. Babtuła roznosił destylat na plecach po całej Galicji aż do roku 1840, potem znikł". Takich jak on było jednak wielu, bo amatorskie zbieranie i destylowanie ropy było w tym regionie powszechne. Tomanek zanotował nawet lokalną legendę związaną z początkiem naftowej przygody Łukasiewicza. Do apteki zgłosił się mianowicie niejaki Schreiner – miejscowy Żyd i właściciel szynku. Któregoś razu przyglądał się chłopom gotującym ropę w dużych garnkach i zauważył, że na pokrywach naczyń zbiera się jakiś dziwny, żółtawy płyn. Jak przekonywał dziennikarz: „Nasunął on sprytnemu szynkarzowi myśl, czy nie dałoby się z niego uzyskać wódki". Miał więc zebrać trochę cieczy i dostarczyć lwowskim aptekarzom do analizy. Ta z kolei miała tak zaintrygować Łukasiewicza, że ten ostatecznie wyizolował z niej paliwo do swojej lampy.

Niezależnie od tego, jak barwna jest ta historia, to tylko legenda. Na potencjalne możliwości ropy zwrócił Łukasiewiczowi uwagę, podczas studiów w Krakowie, prof. Ludwik Zejszner – autor pierwszego polskiego podręcznika geologii: „Geologia do łatwego pojęcia zastosowana". To on polecił mu m.in. stare prace Stanisława Staszica, który w swojej książce „O ziemiorództwie gór dawnej Sarmacji" pisał m.in.: „Wszędzie dobywają się siarczyste źródła albo sączą skałoleje, miejscami leżą makale [wosk ziemny – przyp. aut.] czy kawały niby bursztynów, a którą są przecie tylko stwardniałym skałolejem". Skałolejem, czyli olejem skalnym (Oleum petrae) – jak powszechnie nazywano wówczas ropę. To również Zejszner polecił Łukasiewiczowi wyniki niedawnych badań kolejnego wybitnego Polaka, prof. Filipa Neriusza Waltera, który właśnie wtedy pierwszy na świecie wydestylował czystą naftę. Jedyne, o czym nie musiał mówić młodemu naukowcowi, to o palnych właściwościach tej płynnej skały, bo one akurat znane były od tysiącleci. Wracając do Lwowa – Łukasiewicz miał mocne postanowienie, aby ropa dalej płonęła, tyle że w sposób kontrolowany.

fot. NAC

Autorem teorii o organicznym pochodzeniu ropy naftowej był prof. Bronisław Radziszewski, powstaniec styczniowy, pomocnik sekretarza Rządu Narodowego Józefa Kajetana Janowskiego. Pierwszy na Uniwersytecie Lwowskim wykładał chemię po polsku.

– Filip Neriusz Walter pierwszy wydestylował czystą naftę z ropy naftowej. Oprócz tego był autorem polskiego nazewnictwa chemicznego, w tym polskich nazw pierwiastków, aktualnych do dziś. Walczył w powstaniu listopadowym, początkowo w oddziałach liniowych, po odniesieniu licznych ran pełnił zaś funkcję adiutanta płk. Samuela Różyckiego.

– Jan Zeh był najbliższym współpracownikiem Ignacego Łukasiewicza, wraz z nim opracował projekt lampy naftowej. Osobista tragedia sprawiła, że wycofał się z życia przemysłowca i spędził większość życia jako skromny nafciarz w okolicach Borysławia. Historia zapamiętała go głównie dzięki publikacji „Pierwsze objawy przemysłu naftowego w Galicji".

– Stanisław Jabłonowski był tytularnym księciem, potomkiem hetmanów Rzeczypospolitej. Jeszcze zanim Łukasiewicz wynalazł lampę naftową, zajmował się wydobyciem nafty i próbował sił w produkcji asfaltu. Otwarty przez niego szyb naftowy w Pustym Lesie w Siarach był pierwszym w Polsce, który uruchomiono w celach przemysłowych. Jego fabryka asfaltu znajdowała się w Kobylance. Walczył w powstaniu listopadowym i jest autorem wspomnień „Wspomnienia o bateryi pozycyjnej artyleryi konnej gwardyi królewsko-polskiej".

– Paweł Potocki był polskim inżynierem, który opracował projekt wydobycia ropy naftowej ze złóż zalegających pod dnem Morza Kaspijskiego. Jego pomysł polegał na osuszeniu fragmentów morza i okazał się wykonalny – prace kontynuowano już po wojnie domowej w Rosji. Potocki wynalazł także pompę piaskową do gaszenia ropy.

eprasa.pl e12a91f2d0

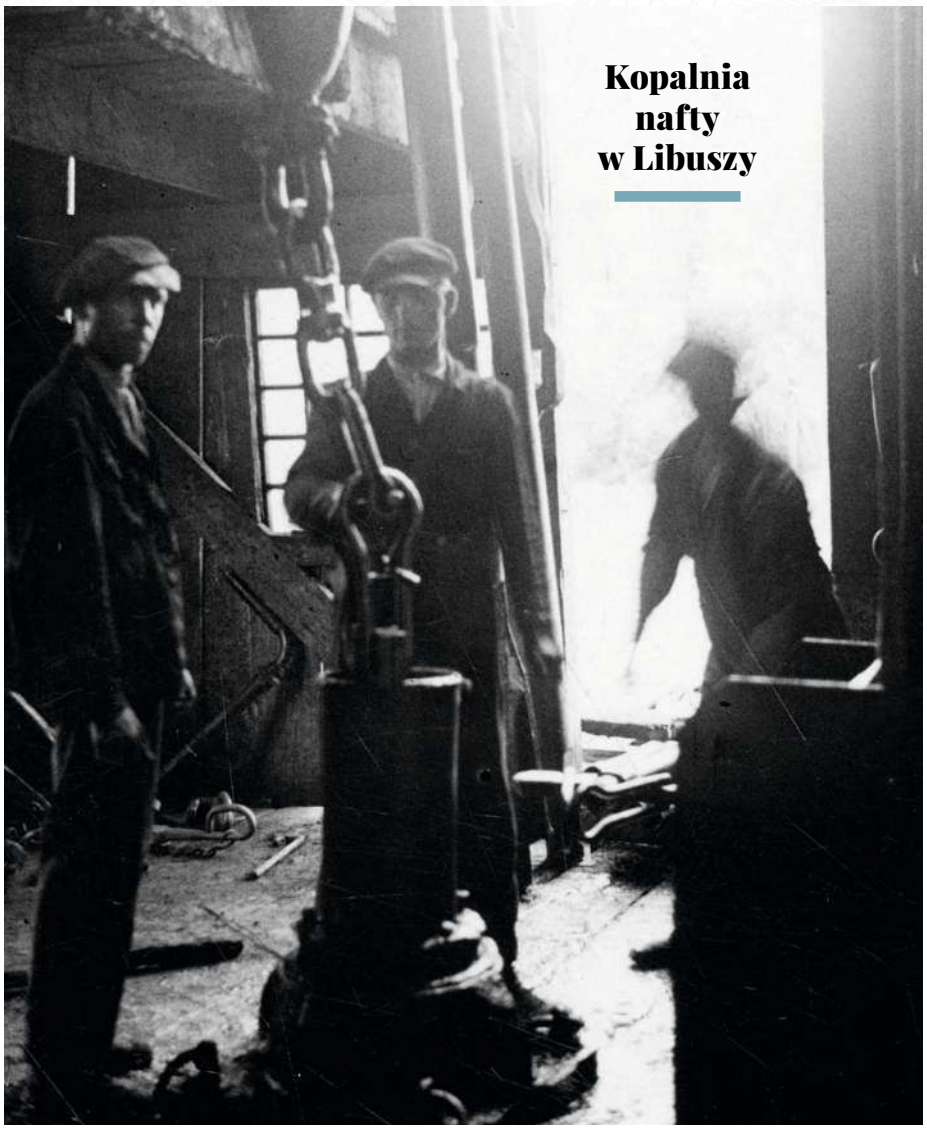

fot. NAC

Kopalnia nafty w Libuszy

„Pierwsze partie oddestylowanej nafty, nie pozbawione jeszcze zbyt lotnych węglowodorów, wlewane do lampek olejnych, paliły się nierówno, kopcąc, cuchnąc i wybuchając. Za każdym razem, gdy wydostawały się na górną powierzchnię knota najlżejsze części destylatu, widać było i słychać wybuchające języczki płomienia" – tak plastycznie opisywał wczesne eksperymenty Łukasiewicza Jan Dębski. Problemem były właśnie wybuchy. Czystą naftę udało mu się wyizolować dość szybko, jeśli jednak chciał stworzyć lampę, musiał się uporać również z problemami konstrukcyjnymi. Musiał zbudować takie urządzenie, w którym płomień nie mógłby się przedostać do wnętrza zbiornika z paliwem, a w razie przedostania się wytrzymałby eksplozję. Oprócz tego knot musiał zapewniać dostateczną powierzchnię stykania się płomienia z naftą, a wewnątrz całości musiałaby zostać zapewniona odpowiednia cyrkulacja powietrza, które jednocześnie podsycałoby płomień i pomagało usunąć równomierny odpływ gazów spalinowych przez stosownie zaprojektowany kominek. W 1853 r. z pomocą blacharza, niejakiego Bratkowskiego, Łukasiewicz zbudował ostatecznie dziwny, cylindryczny obiekt z grubej blachy, mosiądzu i nietłukącej się miki, który spełniał te wymagania. Pod koniec lipca tego roku lampa przeszła test praktyczny – oświetlono nią nocną operację w lwowskim szpitalu na Łyczakowie.

Początkowo sukces Łukasiewicza przeszedł bez echa, ale trwało to krótko. Kiedy udało mu się zainteresować wynalazkiem austriacką kolej i podpisać z nią trzyletni kontrakt, lampa naftowa zrobiła błyskawiczną karierę, jej wynalazca stał się zaś człowiekiem zamożnym. Wkrótce miał się stać zamożny znacznie bardziej.

NAFTOWA MISJA NARODOWA

W czasie gdy lampa naftowa podbijała świat, Łukasiewicz zrezygnował z pracy w aptece Mikolasha i przeniósł się do Gorlic. Tam, wciąż pracując jako aptekarz, objawił jednocześnie zupełnie niepospolite cechy charakteru. Przede wszystkim okazał się nieprawdopodobnie dobrym organizatorem. Oprócz założonej przez siebie, pierwszej na świecie kopalni ropy w Bóbrce wchodził w spółki z właścicielami okolicznych majątków i na ich terenie inicjował otwieranie kolejnych tego rodzaju obiektów. Poza tym jak na sprawnego biznesmena nie wykazywał się w najmniejszym nawet stopniu zachłannością. Nie tylko nie usiłował zmonopolizować rynku naftowego, lecz wręcz zachęcał innych do inwestowania w tę gałąź przemysłu. Był po prostu synem swojego ojca – patriotą, społecznikiem i pozytywistą, choć niewątpliwie romantykiem również. Nafta nie miała służyć jemu, lecz całemu regionowi, a w dalszej perspektywie krajowi.

I on nawiązywał do ideałów uniwersału połanieckiego. Swoim robotnikom zapewniał niespotykane nigdzie świadczenia – jak na lata 60. XIX w. – zupełnie rewolucyjne. Otrzymywali mianowicie ubezpieczenie, mieli płacone za chorobę, przysługiwała im emerytura, a ewentualnym wdowom – stosowne zasiłki. Tych ostatnich niestety nie brakowało, bo technologia pracy w tym nowym przemyśle była wciąż daleka od doskonałości. Nie radzono sobie np. zupełnie z gazem ziemnym – występującym zawsze w towarzystwie ropy, a dopiero czekającym na swojego odkrywcę, jako cenne źródło energii. Eksplozje i pożary były więc zjawiskiem częstym, tym bardziej że wentylację szybów wydobywczych przeprowadzano początkowo... wachlując powietrze gałęziami drzew iglastych. Technologia pod tym względem zmieniała się co prawda dość szybko, ale warunki pracy długo pozostawały skrajnie niebezpieczne. Szczęsny Morawski, skądinąd zdolny malarz, ale też historyk i etnograf, tak opisywał pracę w krośnieńskich szybach naftowych:

55/0118/F

eprasa.pl e12a91f2d0

Barwy niepodległości

Razem z Polakami świętujemy 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Jesteśmy dumni, że od wielu lat wspólnie kształtujemy naszą ojczyznę.

Pamiętamy jednak o tych, którzy swoim trudem i poświęceniem doprowadzili do odzyskania Niepodległości. Składając hołd pokoleniom, które walczyły o Polskę, w roku jubileuszowym symbolicznie zmieniamy nasze barwy korporacyjne na biało-czerwone.

PGNiG

prasa.pl 12a91f2d0

Ignacy Łukasiewicz

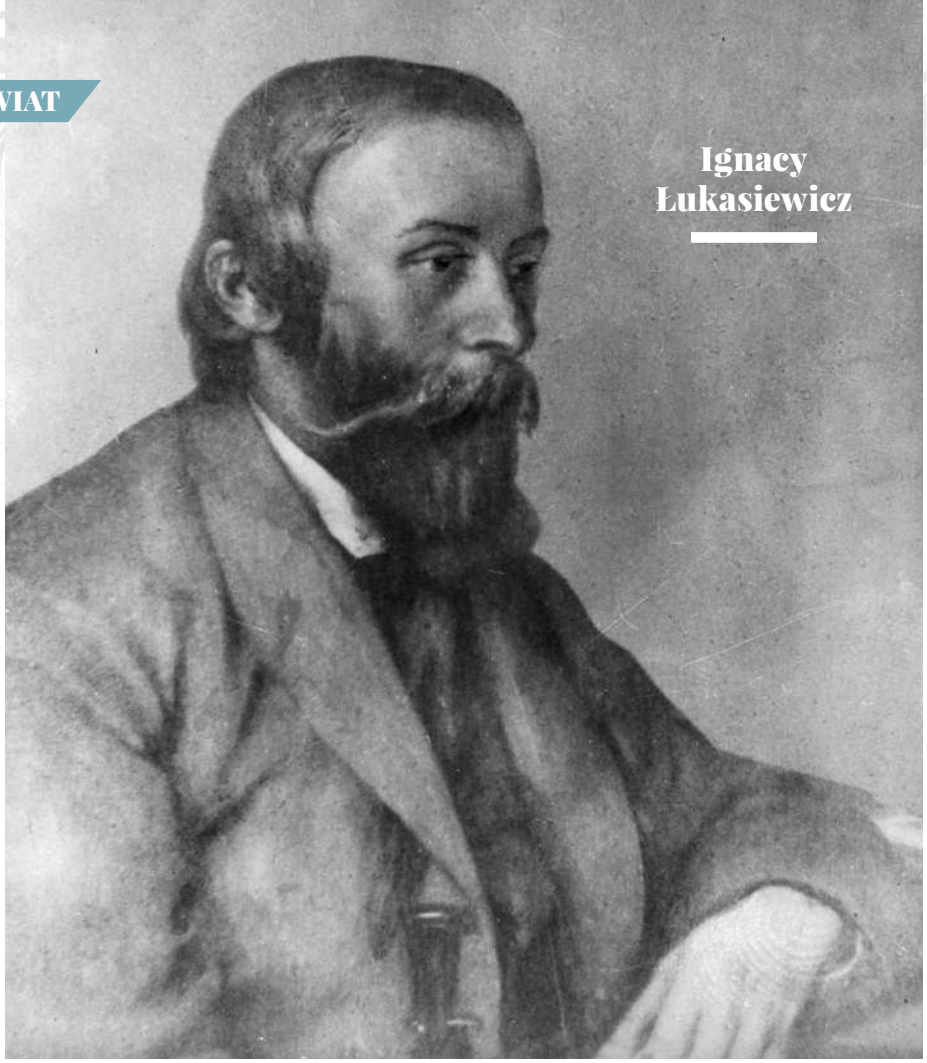

fot. NAC

„Siedzi on tam rozkraczony w głębi, czasem 180 stóp [ok. 54 m – przyp. aut.], oburącz dzierżąc przetyczkę, którą za każdym podniesieniem świdra kręci raz w tę stronę, drugi raz w oną. Powietrza mu tam brak, bo gazy buchają, więc gdy mu duszno, dopomina się o tchnienie świeżego. Dostarczają mu go rurą wpuszczoną w dół z cembrzyny, a połączoną na górze z miechem wietrznym, którym obracając, wpychają powietrze rurą w dół studni".

Pewne pojęcie o ówczesnej higienie pracy dają też wspomnienia inż. Antoniego Teleżyńskiego opublikowane w 1870 r. we Lwowie. Zaznaczając, że kopalnia Łukasiewicza w Bóbrce była „nadzwyczaj wzorowo prowadzoną i urządzoną", dał jej następujący obraz: „Studnie z reguły mają nie więcej niż 40–50 metrów w głąb ziemi, brzegi ich umacniano chrustem, później deskami, wskutek tego niejednokrotnie nie wytrzymywały naporu ziemi, wykrzywiały się, skręcały. Przesączającą się przez ściany albo wydobywającą się na spodzie (naftę), pomieszaną z wodą, wydobywano konwiami i putniami. Ropę zlewano do płytkich dołów i zostawiano na pewien czas, aby woda z mułem oddzieliły się".

Mimo to nafta zmieniała już Galicję. Łukasiewicz inwestował w tworzenie szkół i ogrodów, a szczególnie intensywnie w rozwój infrastruktury drogowej. Nie do końca była to inicjatywa indywidualna, bo zasiadał w krośnieńskiej radzie powiatowej, a także w sejmie galicyjskim z ramienia gmin: Krosno, Dukla i Żmigród. Wszyscy byli jednak zgodni, że był w lokalne sprawy autentycznie zaangażowany. Z pewnością także finansowo, skoro po Galicji krążyło powiedzenie: „w powiecie krośnieńskim drogi są wybrukowane guldenami Łukasiewicza". Pod wrażeniem jego osiągnięć byli nawet dziennikarze. „Strażnica" z 3 sierpnia 1878 r. donosiła np.: „Kto w kilkunastu ostatnich latach zwiedził powiat krośnieński, tego przede wszystkim zastanowiły wyborne, szosowe drogi, prowadzące do niemal każdej gminy. Ten ład powiatowy stanowi wyjątek w Galicji, na wszystkie strony powiatu jeździć można nie tylko bez obawy złamania karku, ale prowadzić najcięższe transporty". Dzięki Łukasiewiczowi i jego nafcie region oficjalnie zwany Galicją i Lodomerią – a złośliwie, lecz celnie, Golicją i Głodomerią – zaczął autentycznie rozkwitać.

Kwitł również sam Łukasiewicz. W 1865 r. kupił majątek Leśniówka i przyległą do niego wieś Charkówka, gdzie, rzecz jasna, wkrótce otworzył rafinerię. Ale nie tylko. Po wybuchu powstania styczniowego obficie je finansował, po upadku zrywu zaś znajdowali w Leśniówce schronienie uciekinierzy z Królestwa, tak jak 30 lat wcześniej powstańcy listopadowi znajdowali je w Zadusznikach. Łukasiewicz wciąż był człowiekiem młodym – w momencie wybuchu zrywu miał czterdziestkę – ale bezpośrednio w konspirację już się nie angażował. Był pionierem pozytywistycznej pracy organicznej i przede wszystkim inwestował w rozwój oraz zamożność Galicji. Tworzył kolejne kopalnie w okolicach Dukli, ufundował neogotycki kościół, otworzył leczniczy zakład kąpielowy, z którego – jak donosił Tomanek – „funkcjonariusze i ludność uboga korzystali bezpłatnie". Przede wszystkim jednak dbał o interesy miejscowej ludności.

Działalność prospołeczna i charytatywna Łukasiewicza była wówczas znana tak powszechnie, że w 1873 r. Pius IX przyznał mu za nią tytuł Szambelana Papieskiego. Sporo o postawie i postrzeganiu go przez miejscowych mówi przydomek, jakim powszechnie go określano – mianowicie: „ojciec Łukasiewicz".

Wspomnienia znających go ludzi przedstawiają go jako człowieka przede wszystkim ogromnej energii, której motorem było najprawdopodobniej poczucie naftowej misji narodowej, którą postrzegał jako coś w rodzaju swojej osobistej działalności niepodległościowej. Jego śmierć była zaskoczeniem dla wszystkich. Jak zanotował Ludwik Tomanek: „7 stycznia 1882 r. zakończył życie Ignacy Łukasiewicz, prawie pośród pracy i zajęć. Kilkudniowa choroba zapalenia płuc wystarczyła, aby go powalić". O znaczeniu i trwałości dokonań odkrywcy najlepiej świadczy zaś to, że po jego śmierci stworzony przez niego przemysł ani na chwilę nie przestał się rozwijać i należy dziś do największych oraz najważniejszych na świecie. A nawet to, że na internetowych aukcjach znów bardzo modne są lampy naftowe. Również dokładnie takie, nad których prototypem pracował Łukasiewicz zimą 1853 r. gdzieś na zapleczu lwowskiej apteki Pod Złotą Gwiazdą. ●

7/0218/F

eprasa.pl e12a91f2d0

PERN

Polski lider logistyki surowcowo-paliwowej
w obszarze transportu, magazynowania oraz przeładunku
ropy naftowej i paliw

www.pern.pl

eprasa.pl e12a91f2d0

Platforma wiertnicza na Morzu Kaspijskim

Kto stworzył platformę

WOJCIECH LADA

Był wizjonerem, a ropa była jego obsesją. Odkryte przez niego złoża do dziś utrzymują gospodarkę Azerbejdżanu, a pomysł urządzenia do podmorskich odwiertów zmienił cały współczesny przemysł naftowy świata. Część jego zysków sfinansowała renesans polskiej kultury i nauki w początkach XX w.

Witold Zglenicki

fot. Stanislav Korytnikov/EastNews

Wśród wież naftowych przyciskały się do ziemi zbudowane z rdzawych i szarych nieociosanych kamieni długie, niskie koszary robotnicze, podobne do siedzib prehistorycznych ludzi. Strasznie było patrzeć na półnagie dzieci, które mięsiły nogami zielony, tłusty śluz w kałużach" – taki obrazek Baku z końca XIX w. nakreślił kiedyś Maksim Gorki i tak mniej więcej wyglądało ono, kiedy przebywał tam zarówno Henryk Merczyng, jak i starszy od niego o dekadę Witold Zglenicki. Nic nie wiadomo o tym, by znali się osobiście, obaj jednak działali w tej samej branży. I obaj postawili na głowie zasady dotychczas nią kierujące.

Zglenicki był chemikiem, jednym z najlepszych studentów Dymitra Mendelejewa – naukowcem, ale mającym też żyłkę człowieka interesu. Podobnie jak sam Mendelejew, może nawet z jego inspiracji, naftą interesował się już podczas studiów. Znał doskonale osiągnięcia Łukasiewicza, ale wówczas byli obywatelami innych krajów, a jako poddany cara i funkcjonariusz administracji jego państwa (stawał się nim po studiach) nie mógł pracować dla cesarza Austro-Węgier. Miejscem w Rosji, w którym mógł w pełni zrealizować swoje naftowe pasje, było więc Zagłębie Donieckie. Zamieszkał w Baku, ale przebywał w nim tylko w godzinach pracy w urzędzie probierczym, który dawał mu skromną podstawę utrzymania. Popołudnia i noce spędzał na wyprawach na Półwysep Apszeroński lub na wyprawach łódką na wody Zatoki Bibi-Ejbatskiej, gdzie badał aktywność podwodnych wulkanów gazowych, słusznie przewidując, że wiążą się one z występowaniem złóż ropy. Podczas jednej z takich

eprasa.pl e12a91f2d0

wypraw przyszedł mu do głowy szalony jak na tamte czasy pomysł zbudowania platformy wiertniczej do wydobywania ropy z dna morskiego. 29 lipca 1896 r. złożył podanie o przyznanie mu dwóch morskich działek, na których mógłby rozpocząć poszukiwania.

Rosyjskie władze nie potraktowały go jak wariata tylko dlatego, że miał już w Baku wyrobioną opinię piekielnie zdolnego inżyniera, którego drobne wynalazki znacznie poprawiły bezpieczeństwo pracy w szybach. Miał też asa w rękawie. W ciągu zaledwie dwóch tygodni wykonał zlecenie wyznaczenia 100 działek roponośnych dla prywatnych przedsiębiorców – informacje o nich zebrał już wcześniej, w trakcie swoich samotnych, popołudniowych wypraw. Urzędnicy nie mieli wyjścia i w 1902 r. wyznaczyli Zglenickiemu działkę morską w Zatoce Bibi-Ejbatskiej. Już wcześniej przedstawił on szczegółowy projekt platformy morskiej – wodoszczelnego pomostu osadzonego na wbitych w dno palach, mniej więcej 5 m nad poziomem wody. Teraz potrzebował tylko wspólnika, który sfinansowałby to przedsięwzięcie. Nie zdążył go znaleźć. Wkrótce po otrzymaniu działki dowiedział się, że jest chory na nieuleczalną wówczas cukrzycę. Zglenicki zmarł 6 sierpnia 1904 r.

Ta historia toczyła się jednak dalej, a jego projekt platformy, choć długo wydawał się wizją szaleńca, pół wieku później doczekał się realizacji. W 1949 r. na Morzu Kaspijskim, 50 km od wybrzeża Baku, powstała pierwsza morska platforma Neft Daalari. Opracowane przez Zglenickiego plany terenów roponośnych do dziś są bazą dla przemysłu naftowego w Azerbejdżanie, a część pochodzących z nich zysków... sfinansowała w początkach XX w. sporą część polskiej kultury. Zglenicki mianowicie przekazał dochody z posiadanych przez siebie działek tzw. Kasie im. Józefa Mianowskiego, która zyskała tym samym zastrzyk gotówki większy, niż posiadała Fundacja Nobla. Wydano za nie ok. 600 polskich dzieł naukowych, w tym prace tak ważne jak książki Oskara Kolberga, Władysława Tatarkiewicza czy Marii Konopnickiej. Dziś działki te są warte 2–3 mld dol. Dochody z patentu na platformy – dziś wszechobecne – z pewnością zwielokrotniłyby tę sumę.

Szyb naftowy w Baku (Azerbejdżan), 1885

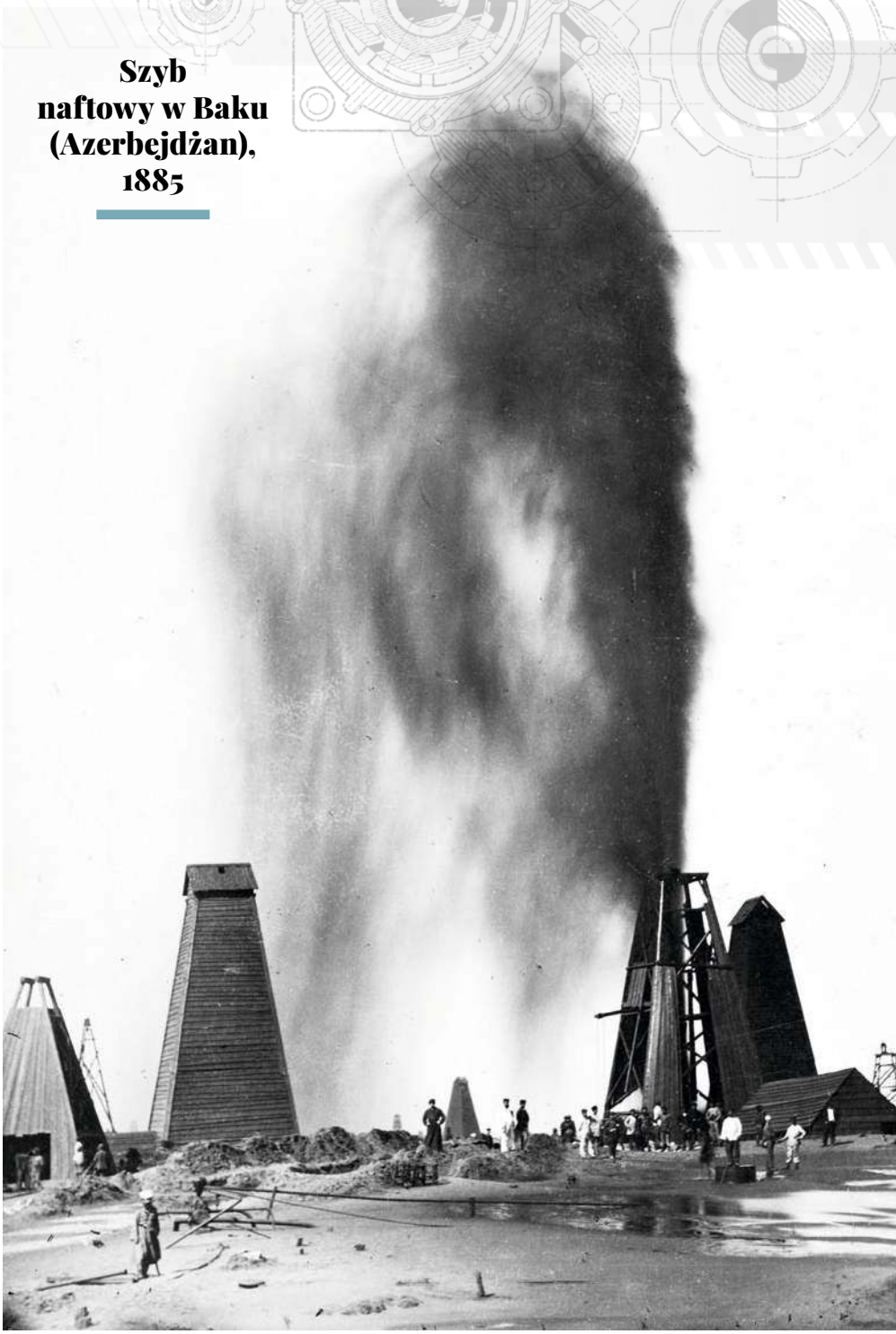

fot. Biblioteka Narodowa

Warto wspomnieć, że kontynuatorem prac Zglenickiego był kolejny wybitny polski inżynier Paweł Potocki. Gorki wspomina, „że słyszał coś o inżynierze, zdaje się o inżynierze, zdaje się Potockim, który całkiem stracił wzrok, lecz tak dobrze zna Bibi-Ejbat, że nieomylnie wskazuje na mapie tereny prac". On jednak nie był aż takim wizjonerem, by stworzyć platformę. Wolał podjąć prace nad osuszeniem Morza Kaspijskiego, by w ten sposób dobrać się do podmorskich złóż. To już jednak inna historia. ●

eprasa.pl e12a91f2d0

WOJCIECH LADA

Jeśli za czasów Łukasiewicza ropę wydobywało się wiadrem, to Henryk Merczyng sprawił, że dało się ją transportować na wielkie odległości za pomocą nowoczesnego rurociągu. Ale polski naukowiec transportował nie tylko ropę. Zelektryfikował też kolej i komunikację miejską, a jego badania nad falami uczyniły go ojcem radiotechniki w tej części Europy

Cała chyżość płynów

Henryk Merczyng

Kiedy Ignacy Łukasiewicz umierał w swojej podkarpackiej posiadłości, 400 km na północ Henryk Merczyng kończył właśnie Uniwersytet Warszawski. Egzamin składał na Wydziale Matematyczno-Fizycznym, ale już wówczas było jasne, że ten 22-letni wówczas chłopak nie ograniczy swoich zainteresowań ani do matematyki, ani nawet fizyki. W czasie studiów interesował się dyfrakcją światła i publikował na ten temat cenione rozprawki, ale jednocześnie dał się poznać jako zdolny historyk – otrzymał złoty medal za pracę o cesarzu Tyberiuszu – etnograf („Wycieczka w Łęczyckie"), a także początkujący demograf, przedstawiając na łamach „Ekonomisty" dane o ludności polskiej w Prusach. Jeśli dodać do tego jego zainteresowania astronomiczne, pionierskie badania polskiego ewangelicyzmu, a także przełomowe studia nad elektrycznością i elektryfikacją, ukaże się choć w przybliżeniu obraz tego jednego z ostatnich polskich naukowców o iście renesansowym umyśle.

W tym kontekście nie jest zaskakujące, że Merczyng znalazł nawet czas na konspirację. W 1883 r. założył w Petersburgu nielegalne koło przyrodnicze – oprócz badań czysto naukowych mające podtekst niepodległościowy. Pikanterii dodaje to, że oprócz Merczynga współzałożycielem organizacji był Władysław Natanson – jeden z najwybitniejszych polskich fizyków tego okresu.

Z Natansonem Merczynga łączyło zresztą nie tylko spiskowanie. Mieli wspólne zainteresowania naukowe. Dla obu z nich do najważniejszych przedmiotów badawczych należały hydrodynamika, elektryczność i optyka. O ile jednak Natanson pozostał na tym polu teoretykiem, o tyle odkrycia Merczynga wkrót-

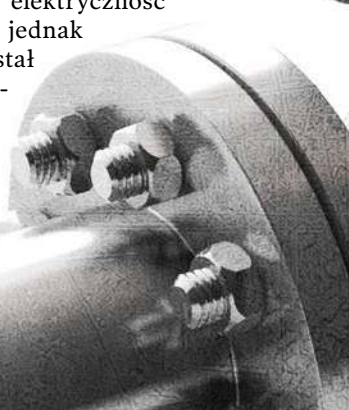

eprasa.pl e12a91f2d0

ce miały zrewolucjonizować świat. Jeśli chodzi o elektryczność, to Polak zasłynął na całym świecie w pierwszej dekadzie XX w. dzięki opracowaniu i wdrożeniu projektów elektryfikacji kolei i komunikacji miejskiej. To dzięki niemu wtedy właśnie prąd zaczął napędzać pociągi węzła petersburskiego i moskiewskiego, a także górskiego odcinka kolei zakaukaskiej. W tamtym czasie był to wciąż ewenement.

Nie mniej ważne dla świata okazało się także drugie pole badawcze Merczynga, z zakresu mechaniki płynów. W 1908 r. opublikował pracę „Bieg cieczy w rurociągach przy znacznym przecięciu żyły ciekłej i znacznej chyżości", ale było to tylko podsumowanie trwających od 1888 r. prac doświadczalnych, które wywarły przełomowy wpływ m.in. na przemysł naftowy i tam też z miejsca znalazły zastosowanie. Merczyng mianowicie badał kwestie przepływu cieczy w rurach, a wyniki tych badań wcielano automatycznie w życie podczas budowy kluczowego wówczas dla rosyjskiego nafciarstwa rurociągu Baku–Batumi. Od tamtego czasu, niczego przełomowego w tym temacie już nie odkryto, a wskazówki Merczynga są aktualne do dziś.

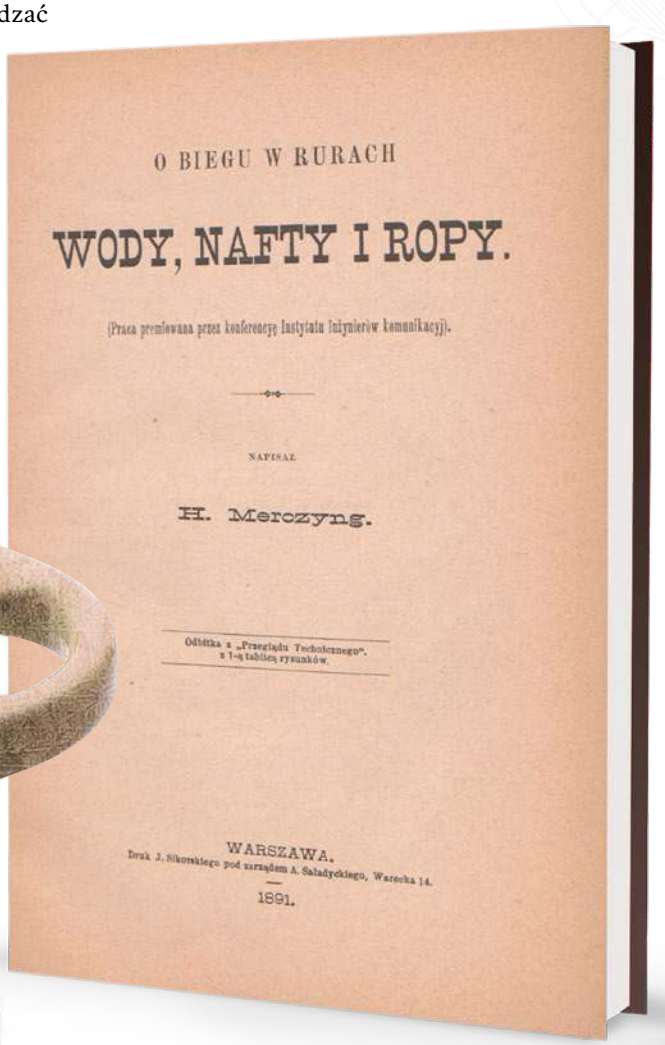
O BIEGU W RURACH

WODY, NAFTY I ROPY.

(Praca premiowana przez konferencyę Instytutu Inżynierów komunikacyj).

NAPISAŁ

H. Merczyng.

Odbitka z „Przeglądu Technicznego", z 1-ą tablicą rysunków.

WARSZAWA.
Druk J. Sikorskiego pod zarządem A. Saladyńskiego, Warecka 14.
1891.

Zmarł nagle na atak serca 14 września 1916 r. Miał wówczas 56 lat. Dzięki swoim odkryciom był człowiekiem zamożnym, a dzięki wszechstronnemu umysłowi – docenionym. Jego prace – zarówno czysto naukowe, jak i filozoficzne – inspirowały wielu współczesnych i miały wpływ na ich dokonania. Dość wspomnieć takie nazwiska jak Julian Talko-Hryncewicz, Bolesław Prus czy Stefan Żeromski.

Sporą część majątku Merczyng przeznaczył na stypendia dla młodych naukowców. Jak jednak zauważył jego biograf Włodzimierz Zuzga: „Testament formułował dwa wyraźne zastrzeżenia: ewentualny stypendysta musi być Polakiem oraz... nie może być krewnym profesorów krakowskich i lwowskich". Jako umysł niezależny i krytyczny Merczyng był ze sporą częścią tego środowiska w nieustającym konflikcie. ●

fot. Shutterstock

37/0218/F

prasa.pl/e12a91f2d0

Dobra energia zawsze powraca

Ola codziennie przyjeżdżała na wózku inwalidzkim na plac zabaw. Ale mogła tylko patrzeć na inne bawiące się dzieci. Jej historia zainspirowała Fundację Energa, która już w czterech miastach postawiła specjalne huśtawki. Niedługo staną one w kolejnych miejscowościach. Jeden uśmiech wart jest więcej, niż tysiąc słów. Od wielu lat wyciągamy pomocną dłoń do tych, którzy potrzebują naszego wsparcia. Edukacja najmłodszych, aktywizacja seniorów, pomoc chorym i wykluczonym – to nasza misja.

Dzielimy się dobrą energią.

www.fundacjaenerga.pl

Energa

eprasa.pl e12a912d0

Na ekranie wykonywał już niemal wszystkie zawody społecznego zaufania. Był policjantem, strażakiem, żołnierzem. Teraz gra lekarza i lotnika. Tylko w sutannie przed kamerą nie chodził, ale od urodzenia, co żartem podkreśla, jest ***Zakościelny***

Za zdrowie pań, panowie

Fot. Kurnikowski/AKPA, Shutterstock

eprasa.pl e12a91f2

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Nie ma czasu na siłownię i rozrywki, kiedy ratuje się ludzkie życie – odpowiada na uwagę, że ostatnio jakby się garbi i wygląda na zmęczonego. No cóż, chirurg Michał Wolski z serialu „Diagnoza" ma pełne ręce roboty. Jak nie działając przy operacyjnym stole, to ratując z opresji damę, czyli koleżankę ze szpitala, która w pierwszej serii odzyskiwała pamięć i rodzinę, a w drugiej będzie walczyć o życiową i zawodową równowagę.

NA POLACH WALKI

W rolach pozytywnych bohaterów Maciej Zakościelny świetnie się sprawdza. Budzi zaufanie. I niezmienną sympatię pań. Ale wciąż szuka wyzwań. Nie tylko sercowych. Służy mu zarówno kino akcji, jak i sceny wymagające skupienia.

Zdradza, że serialowa sala operacyjna działa na niego... uspokajająco. Jak jazda konna, opadanie na spadochronie czy ślizg na paralotni. W pełni skoncentrowany (i z realiami szpitala obeznany dzięki obecności medycznego konsultanta) potrafiłby nawet przeciąć skalpelem ludzką skórę.

– Oddziela się wtedy ręce od głowy i działa – mówi. Ma nadzieję, że nigdy nie będzie musiał naprawdę ratować ludzkiego życia, ale kurs pierwszej pomocy zrobił, gdy rodziło mu się pierwsze dziecko (dziś synek ma półtora roku). Tłumaczy, że chciał „wiedzieć i umieć pomóc".

HONOR BOHATERA

Atmosferę serialowego szpitala poznał już na początku zawodowej drogi. Jako Igor Kurowski, chłopak po przejściach, przyjął posadę salowego w Leśnej Górze. Nie został jednak z ekipą na dobre i na złe, bo pociągnęli go „Kryminalni". Przez cztery lata był skutecznym podkomisarzem Markiem Brodeckim na małym ekranie, a na dużym stał się marzeniem fanek romantycznych komedii „Tylko mnie kochaj" i „Dlaczego nie!". Dziesięć lat temu po raz pierwszy wsiadł do brytyjskiego myśliwca, by jako cichociemny Bronek Woyciechowski walczyć w okupowanej Polsce. Minęło sześć lat i honor czasu wojny ustąpił honorowi „Strażaków" oraz dylematom aspiranta Adama Wojnara. Rok temu aktor wkroczył na salę operacyjną „Diagnozy".

Wciąż nie oddając serialowego skalpela, znów wsiadł do bojowego samolotu. Tym razem znalazł się za jego sterami. Zagrał pilota Jana Zumbacha, na ile – jak mówi – scenariusz mu pozwalał, bo „Dywizjon 303" w reżyserii Denisa Delicia nie jest dokumentem historycznym.

Premiera ponoć już jesienią tego roku. Oby się udało, bo „na skrzydle" siedzi tej produkcji realizowany właśnie przez Brytyjczyków (z naszym udziałem) „Hurricane: Squadron 303" (polski tytuł: „303. Bitwa o Anglię"). Zumbacha gra w nim znany z „Gry o tron" Iwan Rheon, a Witolda Urbanowicza – Marcin Dorociński (w „Dywizjonie 303" z postacią tą zmierzył się Piotr Adamczyk).

TURBO WSPOMNIENIA

Na historycznym planie Maciej Zakościelny miał okazję, u boku Artura Kielaka, mistrza w akrobacji samolotowej, poczuć na własnej skórze przeciążenia, które pojawiają się podczas ewolucji wykonywanych małym samolotem. Jednak wcale nie to zadanie w jego zawodowej karierze podniosło mu ciśnienie krwi najmocniej.

Wspomina „Kryminalnych" i samochodowe turbo przyspieszenie w trakcie serialowych pościgów po ulicach centrum Warszawy. 160 km/h i jazda po torach... Dziś widzi, że to było niebezpieczne. I nie poleca.

Z zawodów służebnych, i zarazem bardzo odpowiedzialnych, do tej pory nie udało mu się jedynie wcielić w księdza. – Może to z powodu nazwiska? – żartuje. Niedawno brał udział w koncercie muzyki filmowej, a miejscem był jeden z podwarszawskich kościołów. Przed wejściem pozdrowił go grabiący liście mężczyzna. „Witam. Zakościelny" – przedstawił się aktor. W odpowiedzi usłyszał: „Miło mi. Kościelny".

PANOWIE DLA PAŃ

Mimo rosnących rodzinnych obowiązków wciąż jest związany z jazzowym zespołem. Śpiewa w nim, czasem gra też na skrzypcach (ukończył średnią szkołę muzyczną II stopnia w klasie tego instrumentu). Z okazji Dnia Kobiet wystąpi na Zamku Królewskim w Warszawie. W Królewskim Koncercie zaśpiewa dla pań, stając na scenie obok tenora Arnolda Rutkowskiego oraz wirtuoza skrzypiec Vadima Brodskiego. – Znów znalazłem się w doborowym towarzystwie. Mam do tego szczęście – kwituje.

Kadr z serialu „Diagnoza" (2018)

Fot. TVN

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. Monolit Film

Na froncie wolności słowa

Steven Spielberg przemienił się w moralizatora, który z siwą brodą i okularami spuszczonymi na czubek nosa wzywa świat do nawrócenia. Ma w tym dziś pomóc obiektywne dziennikarstwo

ŁUKASZ ADAMSKI

Wolność słowa czy bezpieczeństwo narodowe? Bez wolności słowa bezpieczeństwo narodowe nie istnieje. Demokracja zamienia się w tyranię. Przecież ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych po to zabezpieczyli prasę pierwszą poprawką do konstytucji, aby Amerykanie nie zapomnieli, że prasa służy rządzonym, a nie rządzącym. Zgadzam się. Chciałbym żyć w świecie, w którym te wartości są dla wszystkich truizmem. Ten czarno-biały świat jednak nie istnieje. Nigdy nie istniał mimo dzisiejszego krzyku liberalnych pięknoduchów, by powrócił. O tym jest najnowszy film Stevena Spielberga „Czwarta władza". Podskórnie antytrumpowski. Na zewnątrz pełen spielbergowskiego patosu w obronie amerykańskich i uniwersalnie republikańskich wartości.

Spielberg widzi w dziennikarstwie ostoję wolności. Mimo ery fake newsów, spętania żurnalizmu korporacyjnością, komercjalizacją i związaniem mocnymi linkami z politykami on wciąż wierzy w jego siłę. Jest w tym szczery. Obecnie nikt w Hollywood nie ma takiej pozycji jak Spielberg, który mimo funkcjonowania w systemie kina blockbusterowego jedyny ma pełną wolność twórczą. Zajęcie się tematem wolności prasy nie wynika więc u niego z wyrachowania, ale z przekonania o potrzebie takiej opowieści na dziś. Dziennikarstwo na ekranie to jednak stała pasja Hollywood.

BOHATEROWIE WALKI O PRAWDĘ

Reporterskie śledztwo dokonywało już wiwisekcji osobowości magnata medialnego w arcydziele Orsona Wellesa „Obywatel Kane" (1941), dziennikarstwo śledcze ratowało duszę żurnalisty o twarzy Kirka Douglasa w „Asie w potrzasku"

(1951), James Stewart pokazał zaś istotę tego zawodu w „Dzwonić Northside 777" (1948). Z kolei Gregory Peck grający nowojorskiego reportera w „Dżentelmeńskiej umowie" Elii Kazana (1947) udawał Żyda, by dotrzeć do istoty antysemityzmu. Ta sama ikona kina wcieliła się w dziennikarza w lekkich i zwiewnych „Rzymskich wakacjach" (1953).

Hollywood zawsze chętnie składało hołdy reporterom. Lewicowy pięknoduch Oliver Stone jeden ze swoich najlepszych filmów w karierze nakręcił o reporterze wojennym („Salwador", 1986). Ten jego najbardziej wyważony ideologicznie obraz to podniesienie reportera wojennego do rangi niemal superbohatera. W tym samym okresie zimnej wojny i tym samym regionie świata osadzony był „Pod ostrzałem" (1983) Rogera Spottiswoode'a, opowiadający o rewolucji w Nikaragui. Mel Gibson grając zaś korespondenta wojennego w „Roku niebezpiecznego życia" (1982) Petera Weira, stworzył jedną z ról, które utorowały mu drogę do Hollywood.

Reporter wojenny w kinie to ten, który mówi światu o realnym wymiarze wojny bez patrzenia na geopolityczne rozgrywki. Nawiązywał do tego film „5 dni wojny" Renny'ego Harlina (2010), w którym rosyjską inwazję w Gruzji obserwowaliśmy przez obiektyw reportera wojennego, oraz Michael Winterbottom w osadzonej na Bałkanach „Alei snajperów" (1997). Amerykanie konsekwentnie zderzają pracę uczciwych dziennikarzy z zepsuciem świata. Reporterzy byli na tropie nuklearnej katastrofy („Chiński syndrom" Jamesa Bridgesa, 1979) i spisków w Waszyngtonie („Syndykat zbrodni" Alana J. Pakuli, 1974), walczyli również z korporacjami („Raport Pelikana" Pakuli, 1993). Telewizyjny dziennikarz i legenda żurnalizmu z frontów II wojny światowej Edward R. Murrow ścigał złowrogiego antykomunistycznego senatora Josepha McCarthy'ego w „Good Night and Good Luck" George'a Clooneya (2005). Zafascynowany przez długi czas komunizmem (tym „bez wypaczeń") infantylny Warren Beatty w „Reds" (1981) zekranizował biografię czerwonego dziennikarza Johna Reeda, który obserwował rewolucję bolszewicką.

Odważni i bezkompromisowi reporterzy są bohaterami takich hollywoodzkich hitów jak „Stan gry" Kevina MacDonalda (2009), „Veronice Guerin" Joela Schumachera (2003) czy opartej na szwedzkiej serii produkcji „Dziewczyny z tatuażem" Davida Finchera (2011). Ten sam reżyser w „Zodiaku" (2007) opowiedział o wieloletnim polowaniu dziennikarskim na seryjnego mordercę grasującego w latach 60. i 70. w San Francisco. W heroicznego reportera próbującego ratować skazanego na śmierć więźnia wcielał się, i sam siebie reżyserował, Clint Eastwood („Prawdziwa zbrodnia", 1999). Kate Winslet zagrała podobną rolę w „Życiu za życie" Alana Parkera. (2003). Natomiast Al Pacino jako gospodarz słynnego programu „60 minut" obnażał machlojki koncernów tytoniowych w znakomitym „Informatorze" Michaela Manna (1999). Dziennikarze w amerykańskim kinie prowadzili nawet śledztwa z zaświatów („Scoop" Woody'ego Allena, 2006) i zagłębiali się w alternatywny świat narkotyków (oparty na życiu dziennikarza Huntera S. Thompsona „Las Vegas Parano" Terry'ego Gilliama, 1998). Jako dzieci szlifowali warsztat w samym centrum rockandrollowego hedonizmu („U progu sławy" Camerona Crowe'a, 2000) i podnosili na duchu całą armię USA („Good Morning, Vietnam" Barry'ego Levinsona, 1987).

RAK TABLOIDYZACJI

Wymienione filmy to tylko kilka tytułów z bardzo długiej listy dzieł dotykających tematyki dziennikarstwa, w których zawód ten jest uświęcony, symbolizuje walkę o prawdę i wartości budujące demokrację. Niemniej to przecież sam Michelangelo Antonioni przyjrzał się wypalonemu zawodowo reporterowi (Jack Nicholson) w arcydziele „Zawód: reporter" (1975). Włoch podszedł do tematu bez hollywoodzkiego optymizmu i patosu. Tanią pogoń za sensacją i brak etyki zawodowej obnażyli zaś Steve Buscemi w przenikliwej „Rozmowie z gwiazdą" (2007) oraz Dan Gilroy („Wolny strzelec", 2014). Antonio Campos w „Christine" (2016) opowiedział o amerykańskiej dziennikarce Christine Chubbuck, która w 1974 r. na wizji w studiu telewizyjnym strzeliła sobie w głowę. Ten wstrząsający obraz wpisuje się w debatę o tabloidyzacji mediów (sprawę Chubbuck do pewnego stopnia eksploatowała też oscarowa „Sieć" Sidneya Lumeta, 1976). Uświęcający dziennikarstwo w „Salwadorze" Stone dokonał jego bezkompromisowej krytyki w opartych na pomyśle Quentina Tarantino „Urodzonych mordercach" (1994), gdzie reporterzy w pasji pokazywania na ekranie krwi zrównali się ze zbrodniarzami.

O zderzeniu tradycyjnego dziennikarstwa z dyktaturą bulwarowości opowiadał znakomity, choć ukąszony liberalną naiwnością serial „Newsroom" (2012–2014) Aarona Sorkina. Najbardziej fetowany obecnie scenarzysta Hollywood twórczo rozwinął wątki z „Sieci" Lumeta. W podobne tony uderzał Tom McCarthy w „Spotlight" (2015), który jest odbierany jako film o skandalach pedofilskich w bostońskiej archidiecezji. Jednak to również dzieło o końcu papierowego dziennikarstwa śledczego, zastępowanego przez internet. Nie przez przypadek jedną z głównych ról gra Michael Keaton, który w rasowego dziennikarza wcielił się też w zapomnianej komedii „The Paper" Rona Howarda (1994).

Steven Spielberg w „Czwartej władzy" rozszerzył zaś pytania o istotę dziennikarstwa na debatę o wolności słowa. Tym samym chciał postawić swój film obok najsłynniejszego i wręcz ikonograficznego obrazu o dziennikarstwie. Chodzi rzecz jasna o „Wszystkich ludzi prezydenta" Alana J. Pakuli (1976).

JAK ŻYĆ W CZASACH TRUMPA?

Steven Spielberg z operatorem Januszem Kamińskim dwie dekady temu ożywili dinozaury. Dziś ożywiają klasyczne dziennikarstwo – patrzące na ręce rządzącym, nieuwikłane w biznesowe deale z władzą, etosowe i rozumiejące swoją misję. „Czwarta władza" nie jest jednak filmem sentymentalnym. Reżyser nie bawi się we wspominki o zagubionym świecie. On przemienił się w moralizatora, który z siwą brodą i okularami spuszczonymi na czubek nosa wzywa

eprasa.pl e12a91f2d0

świat do nawrócenia. Nie jest jeszcze kaznodzieją ciskającym piorunami ani dzielącym włos na czworo sędziwym rabinem. Buntownik, który w latach 70. zmieniał Hollywood, od dawna jest mitotwórcą. To wieszcz, który, jak trafnie zauważa krytyk filmowy Michał Oleszczyk, „funduje nam kolejne lekcje obywatelskiej cnoty spod znaku liberalizmu lewicowego amerykańskich elit".

Taki film mogłaby w Polsce nakręcić Agnieszka Holland, gdyby etos dziennikarstwa III RP nie został zachwiany przez aferę Rywina. Amerykańscy liberałowie mają nieskazitelnych bohaterów czwartej władzy, których kanonizowano dzięki „Wszystkim ludziom prezydenta". Spielberg opowiada o wydarzeniach poprzedzających przełomowe teksty w „The Washington Post" napisane przez Carla Bernsteina i Boba Woodwarda, które utopiły znienawidzonego przez lewicę prezydenta Richarda Nixona.

Tuż przed Watergate rozegrała się inna batalia. Dotyczyła papierów Pentagonu, czyli ściśle tajnych raportów mówiących o nikłej szansie zwycięstwa Amerykanów w upadającym pod komunistyczną dyktaturą Wietnamie. Mimo jednoznacznie brzmiących dokumentów zamówionych przez sekretarza obrony Roberta McNamarę prezydenci Kennedy, Johnson i Nixon nadal prowadzili wojnę z czerwonym reżimem Ho Chi Minha. Robili to w imię wiary w teorię domina (upadek kolejnych wolnych państw uderzonych przez komunistów) oraz z niechęci do przyznania się do klęski. Mimo to „posyłali amerykańskich chłopców na śmierć"

Czy mieli prawo ukrywać raport przed opinią publiczną? Spielberg nie ma wątpliwości. Wolność słowa jest najważniejsza. Czy w takim razie dzień przed „D-Day" w imię wolności słowa prasa byłaby rozgrzeszona za opublikowanie informacji o inwazji? Twórca „E.T." kwituje to jednym zdaniem: nie można porównywać obu sytuacji. Właśnie to pokazuje, jak bardzo jego film jest intelektualnie pusty.

Dlaczego bowiem nie można zestawiać tych sytuacji? USA prowadziły ze Związkiem Radzieckim wojnę. Zimną wojnę, która miała militarne punkty zapalne jak właśnie ten w Wietnamie. Czy bezpieczeństwo narodowe nie usprawiedliwiało Nixona próbującego sądownie zatrzymać publikację „The Washington Post"? Czy radość komunistów na Kremlu nie usprawiedliwiała choćby minimalnie decyzji administracji Nixona o walce z tekstami?

Kadr z filmu „Sieć" w reżyserii Sidneya Lumeta (1976)

Fot. Mat. prasowe

MORALISTA

Spielberga takie pytania nie interesują. On ma moralną misję. Szczególnie w okresie prezydentury Trumpa bezrefleksyjnie porównywanego z Nixonem taka misja jest uświęcona przez liberalne elity. Reżyser odwołuje się do sumienia kolejnego Davida Frosta, który obnaży na wizji „upiornego Trumpa". Jak? Widzieliśmy to we „Frost/Nixon" Rona Howarda (2008).

Niegdyś błyskotliwy artysta, który w ostatnich latach coraz rzadziej zmaga się ze złożonością świata (ostatni taki film Spielberga to genialne „Monachium", 2005), konsekwentnie raczy nas patetycznymi mowami finałowymi. Nie inaczej jest tym razem. „Czwarta władza" ma puentę bardzo klarowną. Politycy czyhają na wolność obywateli, którą ochronić może tylko prasa. Słuszne? Teoretycznie tak.

Problem w tym, że Spielberg nakręcił swój film w czasie erupcji fake newsów, upadku papieru, powszechnej tabloidyzacji i śmierci dziennikarstwa śledczego. Ba, wygrana Trumpa, przed którym mag kina tak przestrzega, odbyła się w dużej mierze dzięki mediom społecznościowym. Dlaczego? Bo media mainstreamowe stały się politycznym orężem. Zarówno z jednej, jak i drugiej strony sporu politycznego. Spielberg nie tyle nawet obudził dinozaura, ile sam stał się dinozaurem. Zastygłym w świecie może nie zagubionym, ale przysypanym kurzem historii i mitologii. To świat widziany przez różowe okulary protestujących pod Kapitolem hipisów. Reżyser je podniósł, otrzepał z kurzu i użył jako przesłony w kamerze Kamińskiego. Naiwność hipisów była podkręcona trawką. Spielberg jest natomiast trzeźwy.

Niemniej „Czwartą władzę" warto obejrzeć. To kawał solidnego kina z jak zwykle uroczo porządnym, noszącym w sercu amerykańskie cnoty Tomem Hanksem (jako redaktor naczelny Ben Bradlee) i grającą na najwyższym poziomie (choć na autopilocie) Meryl Streep w roli wydawczyni „The Washington Post" Katherine Graham. Jej postać jest zresztą najciekawsza w całym tym moralitecie. Graham była dziedziczką fortuny zaprzyjaźnioną z rządzącą elitą w czasach, gdy kobiety były ozdobami mężczyzn. Streep kreuje Graham na ikonę feminizmu, Spielberg zaś dzięki jej widocznej na ekranie ewolucji do roli apostoła wolności prasy sprytnie piętnuje związki dziennikarzy z politykami. Wbijając również szpilę w związki liberalnych żurnalistów z JFK. Szkoda, że w filmie nie wbił choć połówki szpilki w komunistów, którzy tak wiele zyskali na celebrowaniu wolności ujawniania tajnych dokumentów przez amerykańską prasę. Nie o to jednak mu przecież chodziło.

Ikoną w „Czwartej władzy" miał się stać wierzący w swoje posłannictwo dziennikarz. Wolny, niezależny i obiektywnie patrzący każdej władzy na ręce. Piękna wizja. Baśniowa. No ale czyż twórca wspaniałych „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" nie jest właśnie doskonałym filmowym bajkopisarzem?

eprasa.pl e12a91f2d0

Na fortepianie gra Maksymilian Manicki

Fot. Jakub Szymczuk/KPRP

200-lecie publicznego debiutu Chopina

1 marca koncerty w Żelazowej Woli i w Filharmonii Narodowej przywołały 208. rocznicę urodzin Fryderyka Chopina. 24 lutego w Pałacu Prezydenckim upamiętniono pierwszy publiczny występ genialnego artysty i patrioty, który odbył się w tym miejscu dokładnie 200 lat wcześniej

ADAM CIESIELSKI

Zaproszenie Fryderyka na animowany przez Zofię hrabinę Zamoyską i Juliana Ursyna Niemcewicza koncert charytatywny na rzecz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności nie było przypadkiem. Wyjątkowy talent chłopca, który jako parolatek był już twórcą dwóch polonezów (B-dur i g-moll) na fortepian, został szybko dostrzeżony. W recenzji „Pamiętnika Warszawskiego" ze stycznia 1818 r. rekomendującej walory drugiego z wymienionych, świeżo wtedy wydanych utworów czytamy: „Kompozytor tego tańca polskiego, młodzieniec ośm dopiero lat skończonych mający […], prawdziwy geniusz muzyczny; nie tylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i wariacji, nad którymi znawcy muzyki dziwić się nie przestają, a nade wszystko zważając na wiek dziecinny autora. […]".

Dobroczynny koncert odbył się w Pałacu Radziwiłłowskim, wkrótce nazwanym Namiestnikowskim, przy Krakowskim Przedmieściu, w miejscu obecnego Pałacu Prezydenckiego. Fryderyk wykonał jeden z koncertów fortepianowych czeskiego kompozytora Vojtěcha Jíroveca. Niewykluczone, że za takim wyborem repertuaru stał Wojciech Żywny, pierwszy nauczyciel muzyki Chopina, z pochodzenia też Czech. Podczas tamtego wieczoru wystąpili również dorośli artyści, tacy jak bracia Kaczyńscy – Piotr (skrzypek) i Józef (wiolonczelista), Karol Arnold (pianista), Jacques Brice i Louis Feuillide (śpiewacy), ponadto sześcioletni Zygmunt Krasiński (recytacja poezji). Ale to nasz bohater znalazł się na ustach wszystkich.

Kilkanaście lat po tym debiucie Fryderyk Chopin stał się sensacją romantycznej Europy. Mieszkał i tworzył w Paryżu, podziwiał go świat, ale jego nie przestał obchodzić los ojczyzny. Jego dzieło było przesiąknięte polskością. „Być może nie byłoby 1918 r., gdyby nie muzyka Chopina, gdyby nie to, że także poza granicami umiał mobilizować rodaków do tego, by wierzyli, iż ojczyzna wróci na mapę" – powiedział m.in. prezydent Andrzej Duda, witając gości przybyłych na koncert.

Ten aspekt już w roku 1836 dostrzegł Robert Schumann, pisząc: „Gdyby potężny samowładny monarcha z północy wiedział, jak niebezpieczny wróg grozi mu w dziełach Chopina, w prostych melodiach jego mazurków, zabroniłby tej muzyki. Dzieła Chopina to armaty ukryte w kwiatach".

Program koncertu, któremu przysłuchiwali się m.in. prof. Mieczysław Tomaszewski, Krzysztof Penderecki, Jerzy Maksymiuk, a także młodzież ze szkół muzycznych, miał ambicje przybliżyć klimat publicznego debiutu mistrza. Pierwszy na estradzie pojawił się 10-letni Maksymilian Manicki, który na XIX-wiecznym fortepianie firmy Erard zagrał Poloneza g-moll skomponowanego przez Chopina w 1817 r. Na tym samym zabytkowym instrumencie z epoki Poloneza A-dur Balladę F-dur, Barkarolę Fis-dur Chopina oraz Poloneza C-dur Ludwiga van Beethovena zaprezentowała Aleksandra Świgut. Z towarzyszeniem pianisty Pawła Cłapińskiego pieśni Jíroveca, Niemcewicza, Franza Schuberta, Karola Kurpińskiego, Franciszka Lessla, a także „Z gór, gdzie dźwigali" Chopina do słów Zygmunta Krasińskiego zaśpiewała wybitna mezzosopranistka Urszula Kryger. Zwieńczeniem całości były fragmenty poematu „Przedświt" Krasińskiego w recytacji Jarosława Gajewskiego oraz interpretacja Barkaroli Fis-dur. Przy jej tworzeniu Chopin miał się inspirować wspomnianymi mesjanistycznymi strofami znanego mu od dzieciństwa poety – ponoć także towarzysza pierwszego wspólnego występu z 24 lutego 1818 r.

eprasa.pl e12a91f2d0

Gombrowicz, czyli o wojnie z PiS

Dobry reżyser na dobrej scenie wystawia „Trans-Atlantyk" Gombrowicza jako sztukę o rodzącym się dziś polskim faszyzmie. Coś złego się dzieje z polskim teatrem

PIOTR ZAREMBA

Wielki dekonstruktor Witold Gombrowicz dla jednych jest diabłem, dla innych wieszczem. Teoretycznie sam powinien się śmiać z roli nieomylnego, w jakiej obsadziła go w Polsce intelektualna i artystyczna lewica.

A co, jeśli ja uważam, że obok celnych uwag na temat ludzkiej natury narzucał się z wątpliwymi teoryjkami dotyczącymi takich pojęć jak naród, tradycja czy kultura. Na dokładkę w autobiograficznym „Trans-Atlantyku" robił to także po to, by uzasadnić swoją postawę: we wrześniu 1939 r. zdecydował się byczyć w Argentynie, zamiast bronić czegokolwiek.

Ale sceptyczny stosunek do dawno nieczytanego „Trans-Atlantyku" był niczym wobec niepokoju, który wywołał we mnie dyrektor Teatru Ateneum Paweł Dangel, obwieszczając, że aktualności powieści dowodzi współczesna Polska. Gombrowicz mocował się z polskością i doraźna satyra na Polaków jemu współczesnych mieszała się u niego ze spojrzeniem na nasze cechy z lotu ptaka. Za to w obecnym teatrze co trzecia inscenizacja staje się opowieścią o złym PiS.

Artur Tyszkiewicz to wytrawny reżyser. Gdy dotyka uniwersalnej tematyki, umie operować metaforą, niejednoznacznością, finezją.

Tu chwilami przypomina nam, że potrafi się bawić teatrem, nie zmieniać wielobarwnego tekstu w tanią dydaktykę, sięgać po dygresje. Ale w innych momentach mamy do czynienia z symboliką rodem z kabaretonów w Polsacie, gdzie Baron paraduje we współczesnym liliowym garniturze, a Pyckal w patriotycznym T-shircie, żebyśmy nie przeoczyli publicystycznego wydźwięku à la OKO.press. Na miły Bóg, czy polski artysta nie umie wyjść poza takie intelektualne opłotki?

Teatralnie jest to nawet żwawe, czasem zabawne, dobrze grane, przez takich aktorów jak Przemysław Bluszcz (narrator Witold), Artur Barciś (Poseł), Krzysztof Gosztyła (Tomasz), Tomasz Schuchardt (Cieciszowski). A Krzysztof Dracz w roli homoseksualisty Gonzala wznosi się na wyżyny, mieszając umowną groteskę z prawdą o człowieczej ułomności.

Wątpliwości dotyczą po części samej podstawy. Okrucieństwo, z jakim Gombrowicz wojuje z narodowym „kolektywizmem", używając (homo) seksualnych obsesji, przy cząstkowej trafności obserwacji, budzi we mnie zażenowanie. I jest to najeżone absurdami. Można oczywiście zrywać z ludzi kolejne maski, kontrować ojczyznę „synczyzną", nicować rodzinny, a może i religijny porządek (Ojciec i Syn) odwoływaniem się do podświadomości. Ale pomińmy już to, że autor jest w tym równie złośliwy jak jego powieściowe alter ego, postać niby-wystraszona, a wciąż zapętlająca ludzkie losy. Przede wszystkim jednak trudno zapomnieć, co w tym czasie się działo w Europie.

Gdyby wszyscy byli wyłącznie takimi kibicami i dekonstruktorami rzeczywistości jak Witold, z ludzkości nie byłoby wówczas co zbierać. A tu II wojna światowa w tle to tylko kolejny absurdalny ornament.

Do tego wszystkiego reżyser dodał coś od siebie. Pozbawił opowieść puenty. Nie dowiemy się, czy na skutek knowań Gonzala i Witolda ojciec zabije syna, czy syn ojca. Zamiast tego oferuje nam się finał rodem z kabaretu Pożar w Burdelu. Członkowie Związku Kawalerów Ostrogi przebierają się w mundury ONR, a poseł grany przez Barcisia niczym pisowski watażka inicjuje totalitarny taniec wokół narodowych wartości. Żebyśmy nie mieli wątpliwości: oto na naszych oczach rodzi się faszyzm. Nie w Argentynie w roku 1939 (to byłby absurd). Tu i teraz.

Może i warto przypomnieć na scenie dekadencką filozofię pisarza z Argentyny. Tyle że jego powieściowe zakończenie było wieloznaczne, obracające wszystko w cudzysłów. W dzisiejszym wojującym teatrze na wieloznaczność nie ma miejsca.

Mocowanie się z polskością zmienia się w okładanie Polaków pałą po głowach, nie tylko w Ateneum. W niedawno oglądanych w Teatrze Polskim „Minach polskich" według scenariusza Tadeusza Nyczka i w reżyserii Mikołaja Grabowskiego „Wyzwolenie" Wyspiańskiego zostało potraktowane jako tandetny teatr dla rozemocjonowanych moherów. Gombrowicz staje się z kolei narzędziem politycznej krucjaty. Co samo w sobie jest przy jego nastawieniu do świata absurdem. Autor „Ferdydurke" powinien się przewracać w grobie.

Marzę, by usłyszeć w polskim teatrze coś ciekawego, nowego o Polsce, polskości i Polakach. Prędko się chyba nie doczekam.

Witold Gombrowicz „Trans-Atlantyk" adaptacja i reżyseria: Artur Tyszkiewicz Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza (Scena główna) premiera: 17 lutego 2018

eprasa.pl e12a91f2d0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Joanna", czyli o pomyłce

Kanał Stopklatka TV przypomniał „Joannę", film Feliksa Falka. Znakomicie pasuje on do niekończących się polskich debat historycznych. Choćby o relacjach polsko-żydowskich w czasach II wojny światowej, choć opowiada o nich z bardzo nietypowych pozycji.

Pasuje, ale też nie ma chyba filmu, który przyjąłbym z bardziej mieszanymi uczuciami. Zacznijmy od samego Falka. Sławę zdobył w PRL „Wodzirejem", sztandarowym dziełem kina moralnego niepokoju. W III RP szedł osobną drogą. W latach 2009–2010 nakręcił dwa skromne, ale wyrafinowane filmy: „Enena" i czarno-białą „Joannę". Oba niedocenione, trochę przeoczone przez wszystkie strony rozmaitych sporów. Bo zbyt trudne?

Kiedy obejrzałem „Joannę", byłem porażony. Poświęciłem jej od razu artykuł w ówczesnej „Rzeczpospolitej". To kameralna opowieść o kobiecie, która pomaga żydowskiej dziewczynce w okupacyjnym Krakowie. Samotna (mąż w oflagu), zdegradowana społecznie z inteligentki do kogoś, kto sprząta na poczcie, przechowuje zagrożone dziecko w pustym mieszkaniu. Aby móc to robić, musi się godzić na coraz bliższe więzi z niemieckim policjantem. To czyni ją podejrzaną w oczach polskiej wspólnoty. Bo przyjmuje Niemca.

Trudno znaleźć w tym filmie coś niewiarygodnego, realia jawią się jako uchwycone perfekcyjnie. To dotyczy nie tylko scenografii, lecz i logiki zdarzeń.

A skoro tak, dotykamy bolesnego problemu ludzi, którzy byli zmuszeni przybierać barwy ochronne w imię tego, co robili, co jednak narażało ich na ostracyzm i pogardę. Temat wielki, muskany czasem w kinie wojennym. Skądinąd zaś jeden ze starych literackich archetypów. Z tym, że Joanna grana świetnie przez Urszulę Grabowską nie jest „Wallenrodem". Ona nikogo nie podchodzi, nie walczy, ona tylko broni dziecka.

Wychodząc z kina, sam sobie zadałem pytanie, co się działo później z wieloma ludźmi, którzy współpracowali z Niemcami po to, aby czynić dobro. A jednak trudno przyjąć finał „Joanny" bez buntu. Ona pada ofiarą ostracyzmu, ba, represji ze strony zbiorowości. To paradoks, ale z historii o ratowaniu Żydów Falk nie zrobił opowieści o obojętności lub okrucieństwie wobec nich. Owszem, na początku pojawia się szmalcownik. Ale na końcu jest łańcuszek ludzi dobrej woli. To Polacy Polakom wyrządzają krzywdę.

No tak, tylko jaka jest odpowiedź na pytanie o alternatywę? Czy ta zbiorowość nie ma prawa do pomyłki? Czy surowe zasady, którymi kierowała się wtedy polska opinia publiczna, nie miały sensu? Nie broniły przed przyzwoleniem na kolaborację, zatratą tożsamości?

Falk pokazuje w finale Joannę wykluczoną ze wspólnoty, podczas Bożego Narodzenia, kiedy naród się łączy. To ciekawa rozprawka o tym, że rzeczywistość ma wiele wymiarów, że powinniśmy unikać łatwego osądzania. Ale o ile powinniśmy po czasie, czy szybkość osądzania w tamtych warunkach, konspiracji i wiecznego zagrożenia nie bywała czasem zbawienna?

Mocna jako historia jednostkowa „Joanna" staje się zdradliwa na tle tabloidowych debat. „Wyborcza" film zlekceważyła – Polacy wszak nie wydawali w nim Żydów – jednak używała go półgębkiem do dekonstrukcji mitu dzielnego społeczeństwa. Ale paradoksalnie ono w filmie jest dzielne. To czasy są straszne. Tylko kto przyjmie taką komplikację? Czy nie nasuwa się interpretacja prostsza: AK-owcy to ci, co krzywdzą dzielne kobiety. Czy reżyser opowiadając jednostkową historię, ma obowiązek pamiętania o konsekwencjach takiego jej odczytania? Tylko pytam.

Piotr Zaremba

52/0118/F

Poczta Polska

EKSPRES PIENIĘŻNY

PRZEKAZ NA CZAS

NAWET W 10 MINUT*

PRZESYŁASZ ODBIERASZ

GOTÓWKA NA POCZCIE

www.poczta-polska.pl

* 10 minut dotyczy tylko opcji “na teraz”.
Do terminów realizacji usług nie wlicza się przypadków określonych w Regulaminie.
Usługa jest realizowana w sieci własnej bez agencji pocztowych.
Szczegóły w Regulaminie usługi dostępnym na www.poczta-polska.pl i sieci placówek pocztowych.
Informacja zawarta w niniejszym materiale nie stanowi oferty w rozumieniu Art.66 ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 Kodeks Cywilny.

eprasa.pl e12a91f2d0

Dobra zmiana w Ohio?

Wojciech Stanisławski

„Elegia dla bidoków" jest świadectwem życia rednecków – a jej popularność dowodem na to, że wielkomiejska Ameryka próbuje ich zrozumieć

Blurby na okładkach są nieuchronne, ale zbyt mocne potrafią zrazić. Sugestia „ważna książka" zwróciłaby uwagę czytelnika; anonimowe zapewnienie, że to „najważniejsza książka o Ameryce ostatnich lat", może rozjuszyć. A jeśli jeszcze podczytać w zachodnich tygodnikach, że „Elegia dla bidoków" to „odpowiedź na zdumiewający sukces Trumpa"... Niby nie jest to jakiś szczególny wyróżnik, co trzecia książka w Stanach jest teraz polecana albo jako wytłumaczenie zwycięstwa Trumpa, albo młot na Trumpa, ale do „Elegii..." podchodziłem z pewną nieufnością.

Nie przeszła mi ona do końca, zrozumiałem jednak jej wagę. J.D. Vance opowiada o swoim niełatwym dzieciństwie, dramatycznej młodości i wyjściu na człowieka – z drobiazgowością, która każe w nim widzieć niewczesną ofiarę zachwytu Knausgårdem. „Moja walka" przed kilku laty też miała sporo admiratorów, którzy dopiero po jakimś czasie przyznali, że pedantyczna i egotyczna wiwisekcja dzieciństwa i relacji z rodzicami niekoniecznie zasługuje na Nobla. Oczywiście Knausgård jest skandynawsko mroczny, prawdziwie dziesiąta woda po Ibsenie w sześciu tomach.

Vance zdołał się zmieścić w jednym, w którym zawarł wiele miłości dla dziadków będących mu w życiu największym oparciem, matki, przez lata usiłującej się odnaleźć, i starszej siostry, ale i tak trudno się oprzeć wrażeniu, iż „Elegia..." jest nieco za długa, może dlatego, że usiłuje połączyć pod jedną okładką zbyt wiele opowieści i oddechów. Jest w niej lut sagi rodzinnej, opowieść o trzech pokoleniach, które zeszły z gór Kentucky, stały się niższą klasą średnią, po czym osunęły w underclass, gdy miejscowa walcownia stali przestała być żywicielką. Kilka rozdziałów opowiada o kilkulatku z dysfunkcyjnej, lekko na bakier z prawem, ale zawsze kochającej się rodziny. Niestety w drugiej połowie książki dorosły już Vance, absolwent Yale, wielkoduszny i rozpromieniony niczym diament Amwaya zaczyna coachować, tłumacząc nam, jaką wartością dla dziecka jest stabilny dom, posiadanie obojga rodziców i wpajane przez nich zaufanie do świata. Wszystko to prawda, ale zbyt może oczywista, by objawiać ją z takim żarem.

A jednak dwa miliony sprzedanych egzemplarzy to dużo nawet na Stany, i warto się zastanowić nad przyczynami sukcesu „Elegii...". Czy Amerykanie z wielkich miast naprawdę aż tak mało wiedzieli o „bidokach" i próbują za wszelką cenę zrozumieć ten dziwny, ciemny „lud", który sprawił im taką siurpryzę? Możliwe, że taki głód wiedzy istnieje: Łukasz Adamski już kilka miesięcy temu na sąsiedniej kolumnie pisał o serialu „The Ranch" pokazującym, dziw nad dziwy, prowincjonalnych rednecków, dotąd wroga publicznego numer jeden, w pozytywnym świetle.

Warto zarazem odnotować, że czytelnicy „Elegii" nie dowiedzą się o elektoracie Trumpa za dużo. Vance wymienia wiele sła-

ort ekstremalny

bości i patologii, niekoniecznie swoistych dla warstwy „bidoków”, choć w niej może szczególnie rozpowszechnionych: od rozrzutności po brak wiary we własne siły, od słabości do junk food po słabość do heroiny. Wspomina o żarliwym, „totemicznym” i bezrefleksyjnym przywiązaniu do religii i patriotyzmu, nie opisując ich jednak bardziej szczegółowo ani nie zdradzając się samemu z podobnymi sentymentami. Nie chcę sięgać po frazesy o postkolonialnych kompleksach i „murzyńskości”, ale nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że Vance mówi waszyngtońskim i nowojorskim czytelnikom raczej „zobaczcie, nie jesteśmy ludożercami, też mamy dzieci i ludzkie uczucia nie są nam obce”, niż tłumaczy głębokie przyczyny nieufności „ludu” do „elit”.

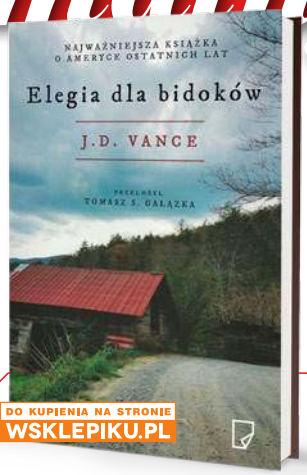

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

J.D. Vance, „Elegia dla bidoków. Wspomnienia o rodzinie i kulturze w czasie krytycznym”, tłum. Tomasz S. Gałązka, wyd. Marginesy

To trochę jak z głośną książką Macieja Gduli z „Krytyki Politycznej” o wyborcach PiS z małego miasta, który nie zadawalając się garścią zwyczajowych epitetów pod adresem „ciemnego ludu”, przeprowadził serię pogłębionych wywiadów – snadź jednak niewystarczająco pogłębionych, skoro wyprowadził z nich jedynie tezę o „autorytarnych tęsknotach elektoratu PiS”. Jeśli miałby się zdarzyć cud ponownego poznania i pojednania dwóch tak podzielonych części narodu – cud, w który niełatwo uwierzyć, obserwując poziom emocji zarówno w Stanach, jak i w Polsce – musiałoby powstać jeszcze wiele książek w rodzaju „Elegii...”, tłumaczących osamotnienie, urazy i gniew „bidoków”.

Jaki font twój

Epoka jest polityczna – to wiemy od dawna. Polityczne są autorytety, wydawnictwa, wiersze, polityczne mogą być, to wiadomo, nawet poszczególne czcionki. Ot, choćby „V” – popularyzowane przez BBC i Churchilla w latach wojny, malowane kredą na murach od Polski po Norwegię, wznoszone po latach przez Nixona, hipisów i stoczniowców, bezradnie wyśmiewane przez jenerała Jaruzelskiego („Nie ma takiej litery w polskim alfabecie”), którego znaczenie rozmyło się wreszcie w tysiącach demonstracji za każdą możliwą sprawę. Ale żeby polityczny był krój czcionek?!

A jednak. Agata Szydłowska, historyk sztuki zajmująca się dziejami polskiego designu, w fascynującej książce pokazuje, jakie znaczenie ma dobór liter, jak czytelnym może być odwołaniem, jak zawsze – nawet jeśli pracownik drukarni albo malujący plakat manifestant nie zdaje sobie z tego sprawy – wybór kształtu liter jest wyborem kulturowym.

Oczywiście najłatwiej zauważyć to w przypadku solidarycy: polskiego fenomenu historycznego i kulturalnego, pisma, które nie jest „krojem” sensu stricto, a mimo to jest natychmiast rozpoznawalne, każdy lepiej lub gorzej potrafi je (od)tworzyć, ciągle też jeszcze czytelne jest podstawowe odwołanie polityczne, jakie z sobą niesie. Szydłowska w świetnej panoramie trzydziestu kilku lat przypomina jego kolejne zastosowania: najpierw oczywiste, potem bezsporne – na transparentach i w bibule stanu wojennego; następnie triumfalne – w pierwszych kampaniach wyborczych i promujących Polskę; czasem coraz bardziej dyskusyjne, lecz i szerokie, używane do obrony bardzo różnych spraw i ukazujące przez to swą uniwersalność: po solidarycę sięgała sieć hipermarketów broniących polskich jabłek i Ewa Minge promująca swe kreacje, AWS i organizatorki Manify.

Autorka, której sympatii politycznych można się domyślić, ale która zachowuje wobec nich godny uznania dystans badaczki, celnie podsumowuje: spory te świadczą o wieloznaczności pojęcia „wolności”, o którą walczyła „Solidarność”.

Nie mniej ciekawe są rozdziały traktujące o marzeniach (czy utopijnych?) o „narodowym kroju czcionki” (jej najbardziej znanym przykładem jest przedwojenna antykwa Półtawskiego, najbardziej zaś udaną realizacją współczesną – silesiana, krój promowany przez władze województwa, stworzony na podstawie dawnych zapisków i starodruków), lecz i o odkrywanym przez kuratorów, aktywistów i entuzjastów campu TypoPolo: bezpretensjonalnej, amatorskiej, łamiącej wszelkie reguły wzornictwa czcionce, którą są malowane szyldy smażalni i zakładów wulkanizatorskich oraz jadłospisy małych barów.

W każdym z tych przypadków pismo może kreować tożsamości wspólnoty: polityczne, narodowe, „klasowe”. Nie należy zakładać w tej kwestii wszechmocy nowych krojów liter: nikt nie ma pełnej władzy nad typografią. Warto jednak pamiętać, że budowanie zbiorowości może się zaczynać właśnie tak: od ręki w inny niż dotąd sposób kreślącej znaki.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Agata Szydłowska, „Od solidarycy do TypoPolo. Typografia a tożsamości zbiorowe w Polsce po roku 1989”, wyd. Ossolineum (seria „Na Jeden Temat”)

eprasa.pl e12a91f2d0

Adamski poleca

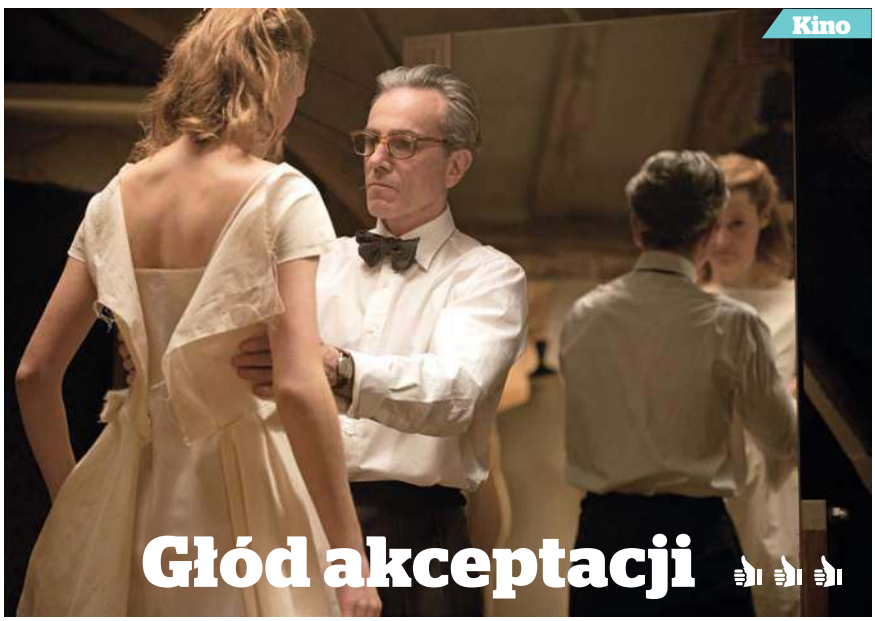

Głód akceptacji

Paul Thomas Anderson nakręcił swój najbardziej hermetyczny film. Dzieło stworzone po to, by je w skupieniu smakować. Delektować się perfekcyjnymi kadrami (reżyser sam był operatorem), kostiumami, fenomenalnym Danielem Day-Lewisem, który przekonuje, że po tej kreacji kończy z aktorstwem. Wielkie odejście! To rola utkana ze spojrzeń, z westchnień, grymasów twarzy. Pulsująca od początku do końca perwersją, którą Day-Lewis wyrafinowanie trzyma w ryzach.

Anderson lubi opowiadać o pokręconych ekscentrykach. Potrafi dekonstruować ich osobowość. Bez najmniejszego przejawu łopatologii i taniego psychologizowania obnażył amerykańskiego naftowca („Aż poleje się krew"), neurotycznego przedsiębiorcę („Lewy sercowy") czy przywódcę sekty („Mistrz"). Teraz bierze się do krawca Reynoldsa Woodcocka (Day-Lewis), który wraz z siostrą Cyril (Lesley Manville) prowadził najważniejszy dom mody w Londynie lat 50. Ubierali królewskie rodziny, artystów i europejską socjetę.

Woodcock to autystyczny perfekcjonista, który stworzył własny mikrokosmos. Jest w nim bogiem. Projektuje nie tylko autorskie suknie, lecz również własną życiową rutynę. Jej skrajnie drobiazgowego przestrzegania pilnuje siostra. W ich dystyngowanym życiu pojawia się prosta kelnerka Alma (Vicky Krieps). Zakochuje się w niedostępnym i kostycznym krawcu. Pragnie wyrwać jego część tylko dla siebie. Burzy tym samym harmonię jego autystycznego uniwersum. Wyrywa go z bezpiecznego gorsetu. Prowadzi je do destrukcji. Wszystko w poszukiwaniu szczęścia.

„Nić widmo" to kino symboli. Wielu warstw, które amerykański reżyser eksploatuje bez egzaltacji i napuszenia „artystycznego kina". Prozaiczne czynności mają tutaj kolosalne znaczenie, co nie drażni jednak pretensjonalnością. Wieczny głód akceptacji zestawiony jest z obfitym angielskim śniadaniem. Ślad buta na królewskiej sukni ślubnej zderza się perwersyjnym pedantyzmem. Wszystko zamyka się w tęsknocie za matczyną miłością, której czystość objawia się w cierpieniu dziecka. Co zrobić, by chorobliwy perfekcjonizm dał pełnię ludzkiego szczęścia?

Perfekcyjne dzieło z koncertem aktorskim Day-Lewisa i Krieps, których postaci reprezentują dwa różne światy. Ich zderzenie dekonstruuje harmonię świata lat 50. Czy prosta kelnerka jest zapowiedzią rewolucji, która nadeszła dekadę później?

„NIĆ WIDMO",
REŻ. PAUL THOMAS ANDERSON, DYSTR. UIP

DVD

Science fiction po polsku

Polska w roku 2030 to miejsce wyjęte z „1984" Orwella, ale zatopione w korporacyjno-industrialnym koszmarze podobnym do tego z „Teorii wszystkiego" Gilliama. Wyrosły z niezależnego kina Bodo Kox zrobił film o miłości, która pokonuje czasoprzestrzeń. Rozciągnięta między stalinowską Polskę roku 1952 a Polskę rządzoną przez... no właśnie. To kraj odcięty od Unii Europejskiej. Z kosmiczną bezpieką klękającą pod krzyżem, propagandą głoszącą zagrożenie epidemią „dawno niewidzianych chorób". Brakuje tylko podstarzałego ministra sprawiedliwości w płaszczu Boba Geldofa z „The Wall" z dyktafonem w ręku. Mimo tych politpoprawnych szpilek historia przedziwnego romansu wyniosłej, z trudem ukrywającej smutek Gorii (Olga Bołądź) i Adama (Piotr Polak) ma w sobie świeżość. Bohaterowie Koxa są wyalienowani przez system. Zarówno komunistyczny, jak i korporacyjny. Wiwisekcja materialistycznych ideologii jest najciekawszym elementem tego ożywczego w polskim kinie filmu. Wizja to mroczna, bo nawet w futurystycznej Warszawie straszy Pałac Kultury.

„CZŁOWIEK Z MAGICZNYM PUDEŁKIEM",
REŻ. BODO KOX, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl e12a91f2d0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Kino

Terroryzm białych

Jaki jest największy problem współczesnych Niemiec? Terroryzm. Jednak nie islamski, ale... biały. Nagrodzony Złotym Globem „W ułamku sekundy" Fatiha Akina opowiada o terroryzmie blond wyznawców Hitlera, którzy odpalają bombę pod biurem pochodzącego z Turcji Niemca. Zabijają jego oraz jego sześcioletniego synka.

Ten film rzeczywiście przejmuje. Znakomita Diane Kruger kreuje powalający obraz kobiety. Zbrodnia zabrała jej nie tylko męża i ukochanego synka, lecz również bezpowrotnie rozerwała serce. Zmasakrowała duszę. Obraz rozpaczy kobiety jest tak przeraźliwie sugestywny, bo Akin z wielkim wyczuciem potrafi zarysowywać ludzki ból. Minimalnymi, prostymi środkami w trzech aktach kreśli obraz rozpadu człowieka. Ketja musi zaakceptować śmierć najbliższych. Następnie stanąć twarzą w twarz na sali sądowej z mordercami. W końcu jest zmuszona odbyć pielgrzymkę do własnego wnętrza, by zdecydować się, jak powinna wyglądać sprawiedliwa kara za tak potworną zbrodnię. To najlepsza rola w karierze Kruger. Dla niej warto ten obraz zobaczyć.

Pod tym kątem „W ułamku sekundy" uderza perfekcyjnie. Szczególnie rodzica. Akin bez wątpienia poruszył moje serce. Następnie wzruszenie zburzył swoim skrajnie poprawnym politycznie przekazem.

Nie odmawiam mu prawa do opowiadania o terroryzmie niemieckich nazistów, którzy zabijają imigrantów i potomków imigrantów. Jest tym Turkiem, który doskonale się zintegrował z niemieckim społeczeństwem. Zdobył już m.in. Złotego Niedźwiedzia, Złotą Palmę i Złoty Glob. Imponujące osiągnięcia. Rozumiem, dlaczego trudno mu znieść rasizm tych, którzy wsadzają go do jednego worka z dżihadystami. Ja jednak oglądając jego opowieść o białych terrorystach mordujących imigrantów, miałem przed oczami zamachy w Berlinie czy Monachium, których dokonali radykałowie islamscy. Dlaczego? Bo to oni są dziś największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa Niemców. Nie marginalni naziole. Nie lewaccy terroryści z Antify. Zagrożeniem są dżihadyści pragnący zmienić oblicze Europy. W rytm oklasków zaczadzonych poprawnością Niemców.

Ten film jest polityczną deklaracją. Nieznośną, irytującą i zamazującą realny problem Europy, w której barbarzyńcy pragną zniszczyć nasz sposób życia. U Akina tymi barbarzyńcami są wyłącznie miłujący Hitlera Niemcy. Wierzycie w to? Ja nie. Jeżeli to nie jest wykrzywiony obraz rzeczywistości, to co nim jest?

„W ULAMKU SEKUNDY",
REŻ. FATIH AKIN, DYSTR. GUTEK FILM

Szkoda czasu

DVD

Miało być nowe „Złoto dla zuchwałych", miała być łobuzerska komedia wojenna z charyzmatycznymi bohaterami. Wyszedł przeciętniak, w którym błyszczy tylko J.K. Simmons. To kolejna produkcja oparta na scenariuszu Luca Bessona, który znów najwyraźniej pisał go na kolanie. Besson wymyślił sobie, że pod koniec wojny naziści w jednej z bałkańskich wiosek schowali 27 sztabek złota. Potem wioska została zatopiona przez partyzantów i skarb leży na dnie jeziora. Dowiadują się o tym amerykańscy komandosi, którzy wykonywali niebezpieczne misje. Navy Seals to twardziele nad twardzielami, więc zamierzają po skarb zanurkować. Nie tylko oni jednak chcą poczuć czyste złoto w łapkach.

Gdyby ten film był kolejną częścią autoironicznych „Niezniszczalnych", pewnie poleciłbym go po drugiej stronie rubryki. Niestety brak w nim ciekawych postaci, zabawnych sytuacji i nawet jako strzelanka wygląda jak ocenzurowana wersja gry „Call of Duty". Najlepsze sceny filmu są w zwiastunie.

„RENEGACI",
REŻ. STEVEN QUALE, DYSTR. KINO ŚWIAT

Fot. Reiner Bajo

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl e12a91f2d0

Musimy się przebić z polską opowieścią

Fot. Danuta Matloch

Z Magdaleną Gawin, wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego, rozmawia Marcin Fijołek

Nie jesteśmy bezbronnym krajem. Mamy, jak się szacuje, ponad 100 tys. świadectw z okupacji niemieckiej i 30 tys. z sowieckiej

W ostatnich dniach Polska uzyskała dostęp do blisko pół miliona stron dokumentów z czasów II wojny światowej – do tej pory utajnionych. Co się w nich znajduje?

Magdalena Gawin: Odtajnione akta Komisji Narodów Zjednoczonych do spraw Zbrodni Wojennych to z polskiej perspektywy najważniejsze informacje potwierdzające działania rządu polskiego, który za pośrednictwem wywiadu i kontrwywiadu Armii Krajowej alarmował aliantów o polityce eksterminacyjnej wobec ludności polskiej i zagładzie Żydów. Dostarczano także pełnych informacji na temat istniejących obozów koncentracyjnych, tych w okupowanym kraju i tych poza nim. Informacje były bardzo szczegółowe. Polacy podawali w nich nazwy, dokładne lokalizacje, plany obozów, a także sposoby uśmiercania więźniów. To są niezbite dowody na to, że alianci byli alarmowani o zagładzie Żydów. Nie ma wątpliwości, że rząd polski pamiętał o polskich obywatelach narodowości żydowskiej. A także o wysiłku wywiadu i kontrwywiadu AK, który musiał być źródłem pozyskiwanych informacji. Dokumenty te były później wykorzystywane w procesach norymberskich.

Przypadek Witolda Pileckiego i jego niezwykłej misji nie jest wyjątkiem...

Pilecki, którego muzeum niedługo otworzymy, powołał w Auschwitz ruch oporu – rzecz, która wydawałby się niemożliwa. Ale miał grono współpracowników, którzy, jak wynika z raportu, również uciekli z obozu. Takich sytuacji było dużo więcej, a Polacy dowiedli heroizmu, zdobywając informacje z najbardziej potwornych miejsc na świecie, jakimi były obozy koncentracyjne. Życiorys Pileckiego, oprócz jego odwagi, dowodzi istnienia Polskiego Państwa Podziemnego jako zorganizowanej struktury. Karski, Pilecki, Kossak-Szczucka byli w strukturach tego państwa. Źródła ONZ pokazują szerszy kontekst działalności emigracyjnego rządu. Tyle że wcześniej informacji tych nie można było popularyzować, bo źródła ONZ były utajnione. Wiele innych źródeł, choćby kontrwywiadu, jest ciągle tajnych. 73 lata po wojnie! Znajdują się w innych archiwach. Po Jałcie nikomu nie zależało, żeby nagłaśniać fenomen Polskiego Państwa Podziemnego, zasługi wywiadu i kontrwywiadu AK, rządu RP w Londynie.

To twarde i mocne dowody – również przy okazji dzisiejszego sporu dyplomatycznego, z historią w tle. Z historią, w której Polacy nie raz i nie dwa są ukazani jako współodpowiedzialni za niemieckie zbrodnie.

Tak mówi ktoś, kto nie zna historii okupacji w Polsce. Nie rozumie, że Rada Pomocy Żydom, działająca pod kryptonimem Żegota, była powołana przez Polskie Państwo Podziemne. W ramach działalności pomagano dziesiątkom tysięcy Żydów, choć udało się uratować mniej. Indywidu-

eprasa.pl e12a91f2d0

alne osoby, już poza Żegotą, mogły ocalić niewiele osób, ryzykując przy tym życie swoje i własnej rodziny. Możliwości otwierały się większe, kiedy korzystano z instrumentów państwa. Najwięcej Żydów uratowali dyplomaci, którzy korzystali z kontaktów pozyskanych kanałami dyplomatycznym lub innych sposobów, np. wyrabiania im paszportów. Zdarzały się patologie, które są winami osób, a nie wyrazem woli narodu czy państwa. Plagą wojenną były donosy, haniebne zachowania, wydawanie Żydów, współpraca z okupantem. Ludzie zeznawali o zdradach sąsiada, dozorcy, służącej etc. To były dramaty całych rodzin polskich. Polecam wejść na internetowe repozytorium: „Zapisy terroru" ze świadectwami z Warszawy.

Zarzuca się nam, że ukrywamy przypadki haniebnych postaw.

Gdybyśmy cokolwiek ukrywali, to procesy sierpniowe, czyli dekrety z sierpnia 1944 r., na podstawie których ścigano kolaborantów, nie byłyby dostępne w archiwum IPN. Udostępniano je czytelnikom polskim i zagranicznym bez przeszkód. Nie chowaliśmy źródeł do zbiorów „tajne". To inne państwa utajniły nasze źródła. Polska niczego nie ukrywała. Mówią to dzisiaj ci, którzy przychodzili do czytelni IPN i którym dostarczano źródła na stół. Jest inny problem, historycy obawiają się tematów zdominowanych przez lewicę. Należy to przełamać.

Często też wskazuje się, że fakt ukrywania Żydów nie jest obecny w zeznaniach.

20 lat po wojnie, w 1964 r., PRL wycofała się z dekretów sierpniowych. Od tej pory nie mówiło się o ukrywaniu Żydów ani o przyczynach zabójstw na Polakach. Z różnych względów historia ratowania Żydów nie była, poza wyjątkami, tematem zainteresowania historyków w PRL. Do końca istnienia PRL zachowano komórki SB zwalczające Izrael i Kościół katolicki.

Jak długo trzeba było walczyć o odtajnione dokumenty z ONZ?

Od kwietnia 2017 r., bezpośrednio po wypłynięciu wiadomości w anglojęzycznej prasie, zwracałam się o podjęcie kroków w tej sprawie. Negocjacje trwały kilka miesięcy. Dopiero Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego skutecznie przeprowadził cały proces we współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

Co dziś powinniśmy robić? Odpowiadać na każdy oszczerczy film, jak ten ostatni Fundacji Rodziny Rudermanów, w którym padają słowa o „polskim Holokauście"?

Apelowałabym o wyciszenie emocji, bo społeczeństwem o wysokim stopniu emocjonalności manipuluje się łatwo.

> Odtajnione akta ONZ zawierają niezbite dowody na to, że alarmowaliśmy aliantów o zagładzie Żydów

Zwłaszcza przez media społecznościowe. Reakcja na takie incydenty jest zadaniem MSZ i naszych ambasadorów, z którego się wywiązali. Film skrytykowały ambasada Izraela oraz organizacje żydowskie. Oszczerczy materiał został szybko wycofany z YouTube'a.

A przekładając na konkrety?

Nie jesteśmy bezbronnym krajem. Mamy, jak się szacuje, ponad 100 tys. świadectw z okupacji niemieckiej i 30 tys. z sowieckiej. Proszę wyobrazić sobie sytuację, w której Polska nie ma gotowych do udostępniania tysięcy świadectw ilustrujących okupację w Polsce w języku angielskim. Ośrodek Pileckiego, który powstał w 2016 r., zebrał je, przygotował w dwóch wersjach językowych oraz oryginale. Dziś są one dostępne w internecie, gotowe do przesłania i udostępniania. Należy w dalszym ciągu tłumaczyć zeznania i wprowadzać je do międzynarodowego obiegu. Historyków zagranicznych ze znajomością języka polskiego jest bardzo niewielu. Każdą interpretację można poddać krytyce, ale negowanie tysięcy źródeł jest niemożliwe. To źródła są dowodami w sprawie.

Mówi pani o książkach i źródłach tłumaczonych na języki obce, ale ten spór dzieje się tu i teraz.

Narrację historyczną należy zmienić przez prace badawcze, łatwy dostęp do polskich źródeł, translacje, zachęcanie zagranicznych badaczy do poznawania historii Europy Środkowo-Wschodniej. Jeśli Polska przez lata prowadziła politykę kulturalną, zaniedbując obszar pamięci w relacjach międzynarodowych, to nie była traktowana poważnie. Należy robić jedno i drugie. Także badania nad komunizmem, co pokazała obecna sytuacja, nie są wystarczające.

Poziom naukowych badań wystarczy, by odkłamać fałszywą opowieść o polskiej historii? Nie trzeba dziś raczej filmów, krótkich opowieści, narracji popkulturowej, a nie stricte naukowej?

To muszą być działania na różnych poziomach: kultura, dobry film, sztuka, ale nie można zaniedbać badań. Jeśli zaniedbamy badania, to będziemy zawsze oskarżani o przepisywanie historii.

Czy jesteśmy w stanie wygrać tę bitwę o pamięć?

Unikałabym militarnej retoryki. Przede wszystkim istotna jest diagnoza. Na świecie o naszej historii wbrew pozorom wie się bardzo mało, częściowo wynika to z sytuacji, jaka wywiązała się po Jałcie. W Instytucie Solidarności i Męstwa będą stypendia naukowe dla zagranicznych badaczy i intensywna nauka języków obcych dla polskich naukowców. Już teraz realizowane są notacje filmowe pokazujące świadków II wojny światowej. To jest niezbędne do popularyzacji i zrozumienia polskiej historii na świecie, odtworzenia całego kontekstu zagłady Żydów w Polsce.

Jakie są najbliższe plany?

Niedługo jadę do Anglii w sprawie innych utajnionych źródeł. 73 lata po wojnie powinny być odtajnione.

eprasa.pl e12a91f2d0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ustawa Gowina

Jest lekką przesadą (by nie nazwać tego megalomanią) używanie dla projektu ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce określenia „konstytucja dla nauki". Autorem tego sformułowania jest Jarosław Gowin, wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego, a sam projekt ustawy jest zbiorem przepisów, w którym trudno szukać „rewolucyjnych" zmian.

Zastanawia już sama preambuła ustawy. „Uznając, że dążenie do poznania prawdy i przekazywanie wiedzy z pokolenia na pokolenie jest szczególnie szlachetną działalnością człowieka oraz dostrzegając fundamentalną rolę nauki w tworzeniu cywilizacji, określa się zasady funkcjonowania szkolnictwa wyższego oraz prowadzenia działalności naukowej". W tworzeniu jakiej cywilizacji ma służyć nauka? Jaką cywilizację mają tworzyć pracownicy naukowi i studenci uczelni? Czy nie warto by było śmiało, odważnie napisać, że chodzi o naszą cywilizację, łacińsko-chrześcijańską, zwaną zachodnią?

Już Adam Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego", wydanych w roku 1832 w Paryżu, pisał z oburzeniem, że „w bałwochwalczym pomieszaniu języków, nazwano cywilizacją modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi". I przypominał, że słowo „cywilizacja" pochodzi z łacińskiego „civis", czyli obywatel, a więc cywilizacja to po prostu obywatelskość. A w dawnych czasach obywatelem nazywano człowieka, który „poświęcał się za Ojczyznę swą, jako Scevola i Kurcjusz, i Decjusz, a poświęcenie się takie nazywano obywatelstwem". Zatem projekt ustawy nie precyzuje, w jaki sposób nauka ma tworzyć cywilizację ani jaką. Nie ma też w niej odniesienia ani do ojczyzny, ani państwa, jedynie do społeczeństwa. Są za to w preambule ustawy wymienione pryncypia, na jakich zbudowano ten akt prawny. Przypomina się, że „obowiązkiem władzy publicznej jest tworzenie optymalnych warunków dla wolności badań naukowych i twórczości artystycznej, wolności nauczania oraz autonomii społeczności akademickiej". Kwestię odpowiedzialności sprowadza się do powinności uczonych „za jakość i rzetelność prowadzonych badań oraz za wychowanie młodego pokolenia". Do pryncypiów zaliczono też misję nauki „o szczególnym znaczeniu dla społeczeństwa" oraz jej „kluczowy wkład w innowacyjność gospodarki". Rozwój kultury i kształtowanie standardów moralnych w życiu publicznym wyczerpuje wspomniany wstęp do ustawy.

Nie jest moim celem analizowanie szczegółowych zapisów ustawy. Na ten temat toczy się od dwóch lat dyskusja, w którą zaangażowane są środowiska akademickie. I tak powinno być. Odgórne narzucanie rozwiązań przez ministerstwo bez udziału samych zainteresowanych nigdy nie jest mile widziane. A jednak na forach internetowych, najczęściej w postaci anonimowych wypowiedzi, wiadomo, jaki jest największy problem polskich uczelni. To zasiedziała kadra naukowa, rodzinno-towarzyska grupa, która nigdy nie została poddana prawdziwej lustracji. Środowiska naukowe i studenckie czekają na taką reformę, jaką przeprowadzono choćby w sektorze wymiaru sprawiedliwości. Potrzebne jest przewietrzenie starych układów, oderwanie „zasłużonej" kadry od uczelnianego koryta. Marksistowscy uczeni powinni pójść na szybką emeryturę, a wykładowcy, którzy pracowali lub współpracowali z organami bezpieczeństwa PRL, powinni odejść z zawodu. Niestety projekt „dekomunizacji" uczelni przedstawiony przez ministra Jarosława Gowina zakłada jedynie zakaz pełnienia funkcji w PAN, Polskiej Komisji Akredytacyjnej, Radzie Doskonałości Naukowej. Ta ostatnia instytucja ma zastąpić Centralną Komisję do spraw Stopni i Tytułów Naukowych, przez długie lata całkowicie niewydolną. A to ona miała przecież dokonywać kontroli jakości kadr naukowych. Minister Jarosław Gowin właśnie w drodze ustawy powinien wreszcie unieważnić wszystkie te tytuły naukowe i dyplomy nadane przez Akademię Spraw Wewnętrznych, Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC PZPR czy Wojskową Akademię Polityczną im. Feliksa Dzierżyńskiego. A co z naukowcami z dawnego Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, instytutu Leszka Balcerowicza?

Potrzebne jest przewietrzenie starych układów, oderwanie „zasłużonej" kadry od uczelnianego koryta

Nauczanie, dydaktyka pozostanie zatem w gestii wykładowców o komunistycznej przeszłości. Nie będą już pełnili swoich funkcji, ale nadal będą wychowywać młodzież. A przecież status nauczyciela akademickiego jest tożsamy ze statusem funkcjonariusza publicznego.

eprasa.pl e12a91f2d0

Gloger w Tykocinie

Przez całe życie kochał „rzeczy polskie". Podróżował wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy, zbierając słowiańskie „starożytności". Opisywał ginące obyczaje, cytował ludowe pieśni, szkicował rozpadające się dworki i lamusy. Rodzinie i znajomym tłumaczył: „Takie już bowiem mam dziwactwo, że zamiast szukać dalekich cudów przyrody, zamiast gonić za zgiełkiem po targowicach świata, doznaję największych rozkoszy, gdy wpatruję się w dno cichych strumieni i rzek, gdy przykładam ucho do starych mogił, których szeptu mrocznych dziejów nikt nie słucha".

W dziejach kultury polskiej Zygmunt Gloger (1845–1910) zapisał się jako etnograf, archeolog, folklorysta i krajoznawca, ale przede wszystkim autor „Encyklopedii staropolskiej", którą opatrzył mottem: „Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje – obowiązek". Po majątku Glogerów w Jeżewie Starym pozostały dziś jedynie ruiny browaru, jednak pamiątki po natchnionym badaczu można oglądać w pobliskim Tykocinie. Co ciekawe, zrekonstruowany przez miejscowy oddział Muzeum Podlaskiego Gabinet Glogerowski mieści się w dawnym... domu talmudycznym, tuż obok synagogi, do której codziennie zjeżdżają wycieczki z Izraela.

„Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje – obowiązek"

Wysiadającym z autokaru mieszkańcom Tel Awiwu czy Hajfy ta arcypolska izba pamięci raczej nie jest do niczego potrzebna. Nie są zainteresowani lokalnym krajobrazem, architekturą, przechodzącymi ludźmi, cóż dopiero śladami przeszłości. Pędząc do synagogi, zachowują się, jakby otaczała ich próżnia. Myślę jednak, że dla dusz ich przodków, urodzonych i zmarłych na polskiej ziemi, długa tradycja współistnienia z chrześcijańskim narodem może się okazać zbawienna. Wprawdzie w ciągu dnia Gabinet Glogerowski z reguły świeci pustkami, ale kto wie, co się tam dzieje nocą...

Noc w muzeum

Pies z kulawą nogą łazi po ulicach
z rynku odjeżdżają ostatni cykliści
dozorca w mundurze na kłódkę zamyka
staropolską duszę w domu talmudycznym

sofa i komoda znikają w ciemności
niewidzialny zegar wybija godzinę
leżą nieczytelne listy i pamiątki
w wyłączonej na noc dębowej witrynie

nagle świeca złotym płomieniem wybucha
ktoś do stołu ciężkie przysuwa fotele
wychodzą z szeolu mężczyźni w jarmułkach
żeby się naradzić z Zygmuntem Glogerem

żalą się że smutno i że czas się dłuży:
– Musimy gryźć ziemię razem z poganami,
a ten Żyd, co wszystkich grzeszników odkupił,
za nic we wszechświecie nie chce mówić z nami.

wzrusza się niedolą sąsiadów etnograf
i zachodzi w głowę jak mógłby im pomóc:
– Nie znaliście Pana, i On was nie pozna,
lecz wydaje mi się, że jest jeden sposób.

potem coś tłumaczy i kładzie na stole
klucz do garderoby zgarniętej z Jeżewa
w ciszy (w tym przypadku dosłownie grobowej)
wstaje główny rabin – i zaczyna śpiewać:

– Wezmę ja kontusz, wezmę ja żupan, szablę przypaszę,
ja – Żyd słowiański – będę po polsku gadać z Mesjaszem!

* * *

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl e12a91f2d0

Życie polityczne dzikich

Zainteresowanie, z jakim środowiska naukowe cywilizowanego świata śledziły losy ekspedycji ekscentrycznego badacza, podróżnika i odkrywcy Macieja Gduli, nie może dziwić nikogo, kto zdaje sobie sprawę ze skali bezprawia i anarchii panującego na terenach zamieszkanych przez pierwotne ludy nadwiślańskie. Jak powszechnie wiadomo, w wyniku plemiennej rewolty władzę przejęły siły reprezentujące przednowoczesny żywioł lokalny. Relacje nielicznych, którzy przetrwali reakcyjny przewrót, dowodzą regresu, który zdumiewa i trwoży. Oczywisty skok rozwojowy kolonizowanych terytoriów został zanegowany i zaprzepaszczony.

Nie muszę przypominać długiej listy bulwersujących dowodów niewdzięczności. Niewątpliwie najbardziej rani bezwstyd ludu odrzucającego trudną prawdę o swej podrzędności, plemiennych ograniczeniach, wąsato-parawanowym obciachu, zabobonnej ciemnocie i dziedzicznej agresji wobec ludzi lepszych, szlachetnych i światłych.

Trudno wątpić, że liczne wyróżnienia towarzystw, korporacji i sponsorów – wśród nich prestiżowe Hic Sunt Leones, Francisco Pizarro Award oraz nominacja do Nagrody Leopolda II stanowią nie tylko wyraz uznania dla odkryć młodego naukowca, lecz i podziwu dla śmiałka, który przedsięwziął wyprawę do samego jądra ciemności (a więc średniej wielkości miasta, gdzie PiS otrzymał ponad 50 proc. głosów).

Niestety nawet w tak krótkim przedłożeniu niepodobna pominąć krytyki, z którą spotkały się zarówno metoda, jak i wnioski przedstawione w podsumowującym wyprawę „Życiu politycznym dzikich".

Niezależnie od zasadności poszczególnych zarzutów na podkreślenie zasługuje to, że uczony ani przez chwilę nie uległ pokusom tzw. bezstronności, a jego badania – czego nie negują nawet najsurowsi krytycy – w najmniejszym stopniu nie sprzeniewierzyły się misji przywrócenia prawowitych rządów zbuntowanym koloniom.

Zastrzeżenia wobec przyjętej metody najtrafniej streszcza opinia jednego z wielkich autorytetów psychiatrii odruchów antyelitarnych, który zwrócił uwagę, że: „Praca Gduli w obszar refleksji nad Polakiem wprowadza kontrowersyjny aspekt empiryczny". Metodologiczny przewrót kopernikański czy raczej brawura, autopromocja, awanturnictwo?

W epoce niezaprzeczalnych osiągnięć psychoanalizy aprioryczne prowokacyjny empiryzm młodego uczonego może być odbierany jako rodzaj nieuzasadnionego, a nawet groźnego samoograniczenia. Uczeni z Ośrodka Badań Prawicowych Kompleksów i Dewiacji ostrzegają przed „terrorem danych": „wywiad z dzikim nie może przekreślać prawd, które znamy i lubimy". W kręgu ekspertów od chorobowych źródeł prawicowości mówi się nawet o zamachu na wolność naukowej ekspresji.

W istocie przyjęcie metodologii Gduli zmuszałoby do akceptacji tak niedorzecznych twierdzeń jak te, iż dzicy nie piją krwi miejskich aktywistek, nie mają kompleksów, nie kierują się zawiścią ani resentymentem, są zadowoleni z życia i – co zdumiewa nawet Gdulę – mają jakieś aspiracje.

Bliższe prawdy (choć znane przecież i bez empirii) wydają się uwagi o podatności dzikich na polityczną manipulację. Chodzi zwłaszcza o dwie sprawy. Po pierwsze, o cynicznie wyolbrzymiane incydenty przejmowania należnych elitom majątków, po drugie, o niebezpieczną manipulację godnościową. Prymitywny wyborca PiS nie rozumiejąc, że z definicji pozbawiony jest jakiejkolwiek godności, nie jest zdolny pojąć, że polityk rzekomo przywracający mu godność musi być kłamcą i łajdakiem. Skoro „godność wyborcy PiS" stanowi oczywisty oksymoron, jasne jest, że godność uzyskać można, tylko wyrzekając się hańbiącej tożsamości, nie zaś czerpiąc ją z podsuwanych przez czarowników fantomów tożsamości zbiorowej.

Rozmowy z dzikimi potwierdzają niestety trafność hipotez mówiących o irracjonalnych aspiracjach zbuntowanych plemion. Oni naprawdę chcieliby usiąść w pierwszym rzędzie! ONI! Nie wiadomo, czy się oburzać, czy się śmiać! Przecież tu nie ma miejsca!

Warto też zwrócić uwagę na głos środowisk skupionych wokół Fundacji „Status quo ante", która w głośnym liście „Do Przyjaciół z Europy" zwraca uwagę, że „nadmierna ekscytacja tzw. stanem faktycznym może osłabić wolę, żeby znów było tak, jak było".

Nie są to wątpliwości błahe. Wsłuchiwanie się w głos zrewoltowanych kolonii skraca dystans niezbędny zarówno badaczom, jak i kolonistom. Pokusa pochopnej humanizacji narusza konieczną ostrość sądów. Trudno wyobrazić sobie, gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby błąd empatii złagodził śmiałe reformy lat 90.!

Trudnych pytań nie brakuje. Pojawiają się głosy o „odchyleniu empirycznym" i piątej kolumnie! Czy źródłem miarodajnego wglądu w rzeczywistość nie jest publicystyka „Gazety Wyborczej"? Czy gdulizm nie podważa tezy, że wiemy najlepiej?

Na koniec wątpliwość podsuwana przez zawistników. Czy Gdula rzeczywiście odbył tę zdumiewającą podróż? Nie przeczekał w Starbuniu, nie zadekował się w spa? Odpowiedź trzeba niuansować.

Krakowskie z pewnością opuścił, do Miastka dojechał, ale ze szklanej bani nie wysiadł. I słusznie! Dekompresja jest doświadczeniem traumatycznym. Kto wysiądzie, ten już nie wraca.

Dariusz Karłowicz

eprasa.pl e12a91f2d0

Papierowy tygrys czy imperium zła?

Rosjanie są podpalaczami-strażakami: podkładają ogień, a następnie udają, że z nim walczą

Z Ancą-Marią Cerneą, rumuńską lekarką, publicystką, działaczką społeczną oraz założycielką i szefową portalu In Linie Dreapta, rozmawia Grzegorz Górny

Rumunia, obok Polski, jest chyba najbardziej proamerykańskim i antyrosyjskim krajem w Europie. Z czego to wynika?

Anca-Maria Cernea: Najważniejszym czynnikiem jest doświadczenie komunizmu. Dziś widzimy, że Związek Sowiecki wcale nie umarł, a Putin jest kontynuatorem tej imperialnej tradycji. Nasze podejście do Moskwy niewiele się więc zmieniło. Poza tym nawet rumuńscy komuniści i ludzie związani z poprzednim reżimem nie byli prorosyjscy. Ceaușescu w czasie swych rządów próbował się stylizować na niezależnego, co w rzeczywistości nie było do końca prawdą. Jednak ta propaganda niezależności od Rosjan okazała się pomocna, by utrzymać partię, armię i znaczną część Securitate z dala od ich wpływów.

Czy jest w ogóle jakaś siła polityczna w Rumunii, która odwołuje się do sojuszu z Rosją?

To nie jest możliwe w Rumunii. Nikt nie jest na tyle szalony, by popełnić polityczne samobójstwo. Nikt nie powie otwarcie, że popiera sojusz z Moskwą. Oczywiście, istnieją ludzie, którzy są związani z Rosją, ale muszą to ukrywać i zaprzeczać temu, bo najmniejsze podejrzenie o związki z Rosją oznacza koniec kariery politycznej w Rumunii.

W Europie jest dziś niezwykle aktywna rosyjska agentura wpływu. Czy widać jej działalność także w Rumunii?

Oczywiście, jest ona jednak bardzo dyskretna. Rosjanie mają subtelne sposoby, np. potrafią zaaranżować debatę publiczną, w której po dwóch stronach stają dwie przeciwne sobie grupy, lecz w rzeczywistości są one kontrolowane przez nich. Kiedy w 2014 r. ujawniono słynną „listę Dugina", w jej rumuńskiej części znalazły się dwa interesujące nazwiska: Vasile Ernu, prowadzącego skrajnie lewicowy portal CriticAtac (coś w rodzaju rumuńskiej „Krytyki Politycznej"), i Bogdana Stanciu, szefa organizacji Pro Vita, będącej częścią inicjatywy Koalicja dla Rodziny, dążącej do wprowadzenia do konstytucji zapisu, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Obaj są prorosyjscy: pierwszy odczuwa tęsknotę za ZSRS, drugi jest przekonany, że Rosja to Trzeci Rzym, a Putin ocali chrześcijaństwo. W czasie debaty na temat referendum w sprawie konstytucji Ernu broni LGBT, a Stanciu – tradycyjnej rodziny.

Jak wygląda wynik tego starcia?

Większość Rumunów jest nastawiona prorodzinnie – 82 proc. sprzeciwia się tzw. małżeństwom homoseksualnym, a 13 proc. je popiera. Z kolei za sojuszem z Rosją opowiada się tylko 5 proc. obywateli, a z Zachodem – ok. 86 proc. W tej sytuacji Rosja stara się podzielić prozachodnią opinię publiczną, ponieważ ludzie o prozachodnich poglądach są w większości prochrześcijańscy. Niestety, lewicowa propaganda i indoktrynacja, które płyną dziś do nas z Zachodu, są bardzo na rękę Rosjanom w walce o ich wpływy, ponieważ mogą rzeczywiście się nią posłużyć jako argumentem, mówiąc: „spójrzcie, co Unia Europejska chce wam narzucić". Wtedy istnieje ryzyko, że ten mechanizm może zadziałać. Na rosyjskiej stronie internetowej Katehon.com, zbliżonej do Aleksandra Dugina, niedawno ukazał się tekst poświęcony Rumunii i Polsce. Mówił o tym, jak rosyjska propaganda powinna działać w naszych państwach. Pisano, że nie ma sensu próba szerzenia nastrojów rusofilskich, ponieważ nie przyniesie żadnych skutków, wręcz przeciwnie: wzbudzi jedynie podejrzenia. Jedynym środkiem jest oddzielenie nas od Zachodu.

Chodzi o wywoływanie problemów, które podzielą opinię publiczną i wykopią rów między nami a Zachodem, np. sprawa tzw. małżeństw homoseksualnych. Wiele osób wierzących,

eprasa.pl e12a91f2d0

postawionych przed wyborem – albo Zachód, albo chrześcijaństwo – wybierze to drugie. To jednak sztuczna alternatywa, do której wyboru zostaną niejako zmuszeni.

Ale czy nie zostaną do tego zmuszeni właśnie przez Zachód? Przecież to nie jest tak, że wszystkie organizacje pro-family i pro-life to rosyjska agentura. Zgoda, Moskwa próbuje na nie wpływać, ale czy nie ma podstaw, by uważać, że na Zachodzie sprawy idą w złym kierunku? Rosyjska propaganda się udaje, dlatego że bazuje na rzeczywistych problemach.

Oczywiście, że tak. Nie powinniśmy jednak zapominać, że to wszystko zaczęło się od Moskwy. To właśnie w sowieckiej Rosji po raz pierwszy w historii homoseksualizm został zdekryminalizowany. To właśnie tam po raz pierwszy zalegalizowano aborcję. To tam, a nie w Trzeciej Rzeszy, dokonano pierwszej eutanazji – w 1922 r. Rewolucja kulturalna, którą próbujemy teraz odrzucić, konceptualnie wywodzi się ze Związku Sowieckiego, od kulturowego marksizmu i Szkoły Frankfurckiej. Strategia Gramsciego, by opanowywać kulturę, była przecież sowieckim sabotażem wykonywanym zgodnie z określonym planem, a nie spontaniczną ewolucją zachodniego społeczeństwa. Moskwa zawsze pozostawała w kontakcie ze skrajnie lewicowymi grupami tej rewolucji kulturalnej. Przecież KGB było zaangażowane w rewolucję homoseksualną lat 60. na Zachodzie.

Są na to dowody?

Oczywiście. To jest bardzo dobrze udokumentowane w archiwum Mitrochina, które wyniósł on z Łubianki. Pisał o tym również Whittaker Chambers, były szpieg sowiecki, w swej książce „Witness" („Świadek"). Towarzystwo Mattachine – pierwsza na świecie organizacja walcząca o prawa homoseksualistów – zostało założone przez osoby należące w latach 50. do amerykańskiej partii komunistycznej, która była kierowana bezpośrednio przez KGB. Warto zauważyć, że te koneksje nie przestały istnieć po oficjalnym upadku ZSRS. Dziś też możemy zaobserwować wiele interesujących zbiegów okoliczności między rosyjskimi interesami a ludźmi, których byśmy o to nie posądzali.

Na przykład?

Na przykład George'em Sorosem. To on sfinansował słynny ruch Okupuj Wall Street. Tak się dziwnie składa, że organizacja ta była wspomagana przez Russia Today, czyli anglojęzyczną tubę propagandową Putina. To właśnie ta stacja telewizyjna dawała protestującym bardzo konkretne wskazówki: gdzie odbywają się spotkania, z kim się kontaktować, gdzie pójść w przypadku pojawienia się policji, do których prawników dzwonić. Oni podawali szczegóły organizacyjne pomagające ludziom z ruchu Okupuj Wall Street, który nie był wcale konserwatywny ani chrześcijański, ale sprzymierzony z organizacjami LGBT. Jest też wiele przykładów w Europie, np. partia Podemos w Hiszpanii, która z jednej strony jest powiązana z Sorosem i środowiskami LGBT, a drugiej niezwykle przyjazna wobec Rosji.

To tak jak u nas Fundacja Otwarty Dialog. Z jednej strony współpracuje z Open Society Sorosa, a z drugiej jej głównymi darczyńcami są biznesmeni z rosyjskimi paszportami robiący dziś interesy na Krymie.

Mamy też niedawny przykład w Ameryce Łacińskiej. Dwa lata temu wynegocjowano w Kolumbii traktat pokojowy z lewicową partyzantką FARC, który miał zakończyć wieloletnią wojnę domową w tym kraju, ale – dzięki Bogu – w referendum 3 października 2016 r. został on odrzucony przez Kolumbijczyków. Cały ten 300-stronicowy tekst miał zostać włączony do kolumbijskiej konstytucji i stanowić jej integralną część, a był on naszpikowany terminologią gender. Ten dokument został wynegocjowany pod patronatem Siergieja Ławrowa, Rosjan i Kubańczyków w Hawanie. Każdy, kto chce, może go odnaleźć w internecie. To tekst pełen praw i przywilejów dla najróżniejszych mniejszości i orientacji seksualnych jakby pisany pod dyktando środowisk LGBT. Jest naiwnością myśleć, że Moskwa, która przez całe lata wspierała destrukcyjne dążenia na Zachodzie, teraz nagle stała się konserwatywna, bo Putin śpiewa w katedrze i jest przedstawiany jako wybawca chrześcijaństwa. Rosjanie są – jak to mówimy w Rumunii – podpalaczami-strażakami: podkładają ogień, a następnie udają, że z nim walczą.

Czyli Moskwa nadal stosuje starą metodę Sun Tzu, polegającą na inicjowaniu i wspieraniu rozkładowych procesów społecznych w państwach, które uważa za wrogie?

Dokładnie tak. Dobry opis tej strategii przedstawił w latach 80. Jurij Biezmienow, były oficer KGB, który uciekł na Zachód i próbował ostrzec amerykańską opinię publiczną przed tą podstępną agresją sowiecką. Według niego 85 proc. zasobów KGB na Zachodzie poświęcono moralnej i kulturowej działalności wywrotowej. Biezmienow mówił, że stara metoda Sun Tzu została użyta przez KGB w celu osłabienia zachodnich społeczeństw, by straciły one jakąkolwiek gotowość do obrony, stając się łatwym łupem dla ZSRS.

Opisał to kiedyś jeden z wysokich amerykańskich urzędników antynarkotykowych Joseph D. Douglass w swej książce „Czerwona kokaina. Narkotyzowanie USA i Zachodu", ukazując rolę reżimów komunistycznych, m.in. chińskiego i kubańskiego, w rozwijaniu zachodnich rynków narkotykowych.

Można dodać też, że państwa bloku wschodniego wspierały organizacje terrorystyczne działające w Europie Zachodniej, szkoliły i finansowały groźnych terrorystów. Dziś Rosja nie tylko przejęła dawne metody z przeszłości, lecz także je rozwinęła i wzniosła na wyższy poziom.

Ale czy rzeczywiście Moskwa jest realnym zagrożeniem dla naszego regionu? Czy Rosja nie jest bezzębnym tygrysem, słabym gospodarczo krajem, a nie żadnym imperium i tak naprawdę walczy tylko o przetrwanie w obecnej formie?

eprasa.pl e12a91f2d0

Rosja nadal stanowi ogromne niebezpieczeństwo. Błędem jest myślenie, że jeśli jest słaba ekonomicznie – a jest bardzo osłabiona gospodarczo, demograficznie i społecznie – to przestaje być niebezpieczna. Przeciwnie, stanowi jeszcze większe zagrożenie poprzez to, że Putin poniósł porażkę na tylu różnych polach, nie oferując Rosjanom normalnego życia, a to może popchnąć go do nierozsądnych czynów. On jest w stanie rozpętać wojnę tylko po to, by przykryć niepowodzenia swej polityki ekonomicznej i społecznej. Rosyjskie intencje nie są tajemnicą: możemy zacytować wypowiedzi wielu wysoko postawionych urzędników, nawet samego Putina czy Rogozina, którzy grożą zbrojnie naszym państwom – Polsce i Rumunii – wprost i bardzo jednoznacznie.

Warto spojrzeć na to również w wymiarze duchowym. Oni są niezwykle skuteczni w korumpowaniu innych krajów, ich klas politycznych, europejskich polityków, kupując ludzi lub szantażując ich, by pracowali dla nich jako agenci, organizując intrygi, prowadząc gry o władzę, dezinformując. To stanowi ogromny kontrast w porównaniu z ich nieumiejętnością wyprodukowania czegokolwiek – przecież poza surowcami naturalnymi, głównie ropą i gazem, nie eksportują niczego. To jest ekonomiczny profil krajów Trzeciego Świata. Z drugiej strony mamy ogromny wysiłek, by zdobyć broń i by rozwinąć zdolności militarne. Rosja działa efektywnie tylko w sposób negatywny. Jej siła polega na słabości drugiego – działa w reakcji na pokusy i grzechy innych. Używając pojęć z objawień fatimskich, można powiedzieć, że Rosja wcale się nie nawróciła. To jest nadal imperium zła.

To, co mówi pani o korumpowaniu Zachodu przez Rosję, przypomina tezy Petera Pomerantseva z wydanej niedawno książki „Nic nie jest prawdą i wszystko jest możliwe" (w Polsce ukazała się jako „Jądro dziwności"). On pisze, że Rosjanie zarażają zachodnie elity nihilizmem. Nasz redakcyjny kolega Piotr Skwieciński nazwał ich „trendsetterami pustki".

Zgadzam się z jego tezami. Oglądałam też w internecie nagranie z promocji książki Pomerantseva. W pewnym momencie jeden z obecnych na sali mężczyzn pyta o sytuację homoseksualistów w Rosji. Wtedy autor, który zna rosyjskie realia od środka, ponieważ spędził wiele lat jako dziennikarz w Moskwie, odpowiada, że ludzie, którzy prowadzą kampanie antygejowskie w Rosji, są w większości gejami. To tylko jeden z przejawów, ale bardzo charakterystyczny, cynizmu panującego wśród dzisiejszych rosyjskich elit.

Na koniec pytanie: jak w Rumunii przyjmowana jest idea Trójmorza?

Widać duże zaciekawienie tym pomysłem. Nie jest to idea rumuńska, ale szybko stała się obiektem naszego zainteresowania. Myślę, że to Polska powinna przejąć inicjatywę w tej kwestii, ponieważ to jest polski projekt. Sądzę, że polskie przewodnictwo zostanie przyjęte przez pozostałe kraje regionu. Prawdę mówiąc, Rumunia ma pewien dystans wobec Grupy Wyszehradzkiej, ponieważ łączą nas szczególne stosunki z Węgrami. Zwłaszcza teraz, gdy premier Orbán publicznie ogłosił się przyjacielem Rosji, jest to dla nas niewygodna sytuacja. Dlatego mówienie Rumunom o powiększonej Grupie Wyszehradzkiej nie jest dobrym pomysłem Międzymorze jest lepszym określeniem, by wzbudzić u nas zainteresowanie nie tylko polityków. To powinna być przede wszystkim rzeczywistość kulturowa, wchodząca w debatę polityczną poprzez media, elity umysłowe, myślicieli, środowiska twórcze, a wtedy politycy pójdą za nimi.

eprasa.pl e12a91f2d0

Pożar w mózgownicach

Nie ma łatwo. Bycie osobą publiczną niesie z sobą niebezpieczeństwo narażenia się na śmieszność, jako że obserwatorzy życia politycznego, kulturalnego, a nawet naukowego to nie jacyś wybitni eksperci umiejący oddzielić ziarno od plew, ale tłumy żądne sensacji, rozmiłowane w plotkach i pomówieniach, jednym słowem hieny. Tak myślą i tak się wyrażają ci, którym tzw. opinia publiczna zalazła za skórę i przyczyniła się, co zdarza się coraz częściej, do upadku zawodowego, załamania się celebryckiego i wyeliminowania z polityki. W dawnych czasach głupota i brak kultury tzw. prominentów nie wychodziły na światło dzienne zamknięte w ciszy gabinetów, znane tylko swoim, czyli rządzącym, czołówce aktywu partyjnego czy klubom za żółtymi firankami. Owszem, od czasu do czasu wychodziły na światło dzienne plotki z życia sfer, jak ta, że małżonka Gomułki wyrzuciła śmieci pod drzwi sąsiadki, która się jej czymś naraziła. Media działały ślamazarnie i opisywały oraz pokazywały to, co przepuściła cenzura. W PRL i w całym obozie komunistycznym.

Internet był jeszcze w powijakach, gdy nieznani sprawcy bestialsko zamordowali byłego premiera PRL Piotra Jaroszewicza i jego małżonkę, co nie zainteresowało szerszego kręgu obywateli. Były też wydarzenia komiczne, jak to, gdy pierwszy sekretarz KW PZPR w Katowicach Zdzisław Grudzień zapewnił w swoim wystąpieniu, że Polskę Ludową budował „tymi rękami i tymi palcyma". Ubaw z tej osobliwej polszczyzny miały koła inteligenckie, w tym studenckie, ale do ludu to nie dotarło. Gdyby zdarzyło się coś podobnego dziś, internet wyłby z zachwytu, a towarzysz Grudzień kojarzyłby się wyłącznie z „tymi palcyma".

I tak dochodzimy do sedna problemu, jakim jest życie publiczne osoby publicznej. Człowiek wspina się na świecznik, musi się wypowiadać w telewizji i radiu, bo pełni odpowiedzialną funkcję. Przemówiła Ewa Kopacz, ówczesna minister zdrowia, i zapewniła cały naród, że w Smoleńsku po katastrofie wszystko zostało perfekcyjnie sprawdzone i przebadane, miejsce tragedii zostało przekopane „na jeden metr w głąb". Tym zapewnieniem zasłużyła sobie na awans, wkrótce została marszałkiem Sejmu, a za chwilę premierem. Od dwóch lat jest nikim, ale „jeden metr" w głąb przykleił się do niej na zawsze. Tak jak do Władysława Bartoszewskiego Polska, która jest „brzydką panną bez posagu", a wrogie PO elity to „dyplomatołki". Bartoszewski już nie żyje, zamiast z dokonaniami naukowymi i licznymi książkami będzie się na zawsze kojarzył Polakom z tymi nieprzyzwoitymi opiniami, które wygłosił, jak na ironię, autor książki „Warto być przyzwoitym".

Przyzwoitość, choć coraz bardziej deptana, nadal jest w cenie, czemu dają wyraz internauci, niezwykle celnie komentujący polityczne, kulturowe i celebryckie wpadki różnych osobistości, zwłaszcza tych z totalnej opozycji, totalnie skompromitowanych i ośmieszonych. Zresztą najczęściej na własne życzenie. Na konwencji PO wystąpił w charakterze łódki ratunkowej były szef MSZ Radosław Sikorski, pozbawiony stanowiska po aferze taśmowej. Internet nie pozostawił na nim suchej nitki, a hasłem, które będzie towarzyszyć Sikorskiemu do końca życia, jest „dorzynanie watahy", tej pisowskiej oczywiście. I nie pomoże mu nic, ani dworek w Chobielinie, bo internet twierdzi, że jego właścicielowi słoma wystaje z gumiaków, ani mariaż z amerykańską dziennikarką, laureatką Nagrody Pulitzera. Nie pomoże już nic, a Anne Applebaum tylko zaszkodzi.

Oprócz przyzwoitości osoby publiczne powinny się wyróżniać kulturą osobistą. Lewa strona politycznego krajobrazu w swej większości reprezentuje kulturę podmiejską, taką poniekąd chłopsko-robotniczą z pochodzenia oraz przekonań, o pazerności nie zapominając. Tusk, Bieńkowska, Schetyna, Cimoszewicz, Środa... Można tak wymieniać w nieskończoność. Także tych, którzy awansowali w PRL dzięki przynależności partyjnej. Prawdziwe elity zostały wymordowane przez hitlerowców i Sowietów, na ich miejsce wskoczyli ludzie mierni, bierni, ale wierni, z tzw. awansu społecznego. Nasi współcześni celebryci to potomkowie tego sortu obywateli. Im to właśnie zawdzięczają widzowie TVN kabaret Pożar w Burdelu, w którym ludzie o najniższych instynktach swoje wypociny adresują do takich jak oni. To są te elity liberalno-lewackie, wyładowujące swoją nienawiść do dobrej zmiany, to jest pożar nie tylko w burdelu, to jest pożar w mózgownicach totalnej opozycji.

Przyzwoitość, choć coraz bardziej deptana, nadal jest w cenie, czemu wyraz dają internauci niezwykle celnie komentujący polityczne, kulturowe i celebryckie wpadki różnych osobistości

35/0218/F

eprasa.pl e12a91f2d0

Ważne, że mówią

Wybitny amerykański politolog George Friedman w wywiadzie dla „Sieci" zwrócił uwagę na rosnącą pozycję Polski na arenie międzynarodowej. Przestaliśmy być przedmiotem wydarzeń na świecie, staliśmy się ich podmiotem. I to będzie nas kosztować wiele nerwów, już kosztuje, trzeba będzie dać sobie z tym radę. A było tak fajnie, kucnęliśmy sobie na marginesie Europy, nikt się nas nie czepiał, a jak już, to były to kopniaki wymierzane leżącemu – taki charakter miały m.in. zamieszczane w mediach zachodnich informacje, że obozy koncentracyjne były polskie. Było tego tak dużo, że obóz dobrej zmiany postanowił skończyć z tą falą pogardy i kłamstwa na temat Holokaustu, w którym uczestniczyć miał naród polski. Reakcja na nowelizację ustawy o IPN była do przewidzenia. Zaatakowali nas politycy i media izraelskie, media amerykańskie i cały establishment, w którym prym wiodą osobistości pochodzenia żydowskiego o poglądach lewicowych i lewackich. Nie Izraelczycy, bo ze świecą szukać wśród nich wyznawców judaizmu, dużo łatwiej znaleźć wyznawców marksizmu-leninizmu.

W Polsce również, a obok nich różni potłuczeni psychicznie gwiazdorzy, co to wstydzą się, że są Polakami. Pisarzyny, aktorzyny i feministki w stanie przekwitania, pochodzenia raczej wioskowego. Lemingi oraz słoiki. Oni się wstydzą polskiego antysemityzmu, a najgorsze ze wszystkiego jest to, że o nas mówią za granicą. I na dodatek mówią źle. Wprawdzie chwalą Polskę za rozwój gospodarczy i wzrost dobrobytu, na co zwróciła uwagę nawet komisarz UE Elżbieta Bieńkowska, ale to nie zmienia faktu, że – jak twierdzi – „sytuacja w Polsce nie jest normalna".

Dobrze czy źle, ale mówią. A przecież nie mówi się dobrze ani źle o państwie, które się nie liczy w świecie, nie ma żadnego znaczenia, więc się je „olewa". Tak było do niedawna, ale już nie jest. Warto zwrócić uwagę tym, co się wstydzą polskości, że mogą sobie wybrać kraj, którego nie będą się wstydzić. Tyle tylko, że w innym kraju nie będą mieli nic do gadania i nikt nie będzie o nich mówił ani dobrze, ani źle. Nie będzie mówił wcale.

Krystyna Grzybowska

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

Więcej energii w Enerdze

O strategii energetycznej spółki, smogu i inwestycjach w ekologiczne technologie z Alicją Barbarą Klimiuk, p.o. prezes zarządu Energa SA, rozmawia Kajetan Kutnowski

Czego można się spodziewać w Enerdze po zmianie na stanowisku prezesa spółki?

Alicja Barbara Klimiuk: Kontynuacji tego, co jako Grupa z powodzeniem od prawie roku czynimy, i równie wyraźnego rozwoju w wielu obszarach spółki. Podążamy dobrym kursem. Strategia i plan działania na 2018 r. Grupy Energa, ustalone przez nasz zarząd, zaakceptowane przez radę nadzorczą Energi, są konsekwentnie realizowane. Zapoczątkowane przez nas zmiany organizacyjne, strukturalne oraz kierunki dalszego rozwoju są kontynuowane. Wdrażanie rozwiązań systemowych w zarządzaniu przynosi pozytywne efekty, świadczą o tym dobre wyniki ekonomiczne w 2017 r. Zatem działamy ze zdwojoną energią, kontynuując przedsięwzięcia inwestycyjne, modernizacyjne oraz innowacyjne projekty.

Wstępne dane szacunkowe za IV kwartał 2017 r. potwierdzają, że warto kontynuować rozpoczęte przez Energę zmiany, bo doceniają je rynek i giełda.

Rzeczywiście, na podstawie wstępnych szacunków danych finansowych i operacyjnych za 2017 r. można uznać, że zmierzamy w dobrym kierunku. W IV kwartale ub.r. poprawiliśmy wyniki w naszych liniach biznesowych, a EBITDA Grupy wzrosła do 525 mln zł (z 498 mln zł w poprzednim roku). Oznacza to, że w całym 2017 r. szacunkowe EBITDA Grupy Energa zwiększyło się o 7 proc., przekraczając 2,1 mld zł. Proces optymalizacji kosztowej i uporządkowanie kwestii niekorzystnych umów zawieranych w spółkach Grupy przynosi efekty. Cieszy dobry wynik najważniejszej Linii Biznesowej Dystrybucja, ponieważ został osiągnięty przy wyższych kosztach utrzymania sieci. Jest to nasza siła napędowa. Szacunkowy zysk operacyjny, powiększony o amortyzację w okresie od października do grudnia,

eprasa.pl e12a91f2d0

wyniósł w dystrybucji 382 mln zł, a w całym 2017 r. 1723 mln zł. Znacząco poprawiły się w minionym roku wyniki Linii Biznesowej Wytwarzanie. To efekt rosnącego popytu na nasze usługi, wyższej efektywności aktywów wytwórczych oraz konsekwentnie realizowanej polityki racjonalizacji kosztów. Szacunkowe EBITDA tej linii wzrosło o 29 proc. Mieliśmy dobre warunki, sprzyjające wytwarzaniu energii elektrycznej z odnawialnych źródeł (wiatru i wody) oraz wysokiej produkcji w elektrowni w Ostrołęce.

Wiele uwagi poświęca się teraz walce ze smogiem, który stanowi poważny problem zarówno ekologiczny, jak i ekonomiczny (z uwagi na grożące sankcje ze strony Unii Europejskiej). Jakie działania podejmują państwo, aby zniwelować te zagrożenia?

Bezpieczeństwo energetyczne i szansę na zwiększenie przychodów widzimy w nowoczesnych i przyjaznych środowisku źródłach konwencjonalnych oraz w lepszym bilansowaniu produkcji OZE. W naszych działaniach troska o czyste środowisko jest jednym z priorytetów. Dotyczy zarówno obszaru wytwarzania energii, jak i mechanizmów ekonomicznych – wprowadzania tzw. taryfy antysmogowej. Proponujemy naszym klientom atrakcyjne taryfy nocnego ogrzewania mieszkań energią elektryczną. Jest to oferta mająca na celu obniżenie emisji szkodliwych substancji m.in. z domowych pieców węglowych. W naszym programie „Oddycham z energią" oferujemy nowe produkty, przedsięwzięcia rozwijające elektromobilność, są działania edukacyjne, modernizujemy infrastrukturę ciepłowniczą. Podejmowane są przedsięwzięcia o charakterze proekologicznym w celu wykorzystania zmodernizowanej infrastruktury ciepłowniczej spółki w walce ze smogiem. Takie działania proekologiczne prowadzimy także we współpracy z samorządami. Dobrym przykładem może być Kalisz, gdzie nasza spółka Energa Wytwarzanie współpracuje z władzami miasta w celu ograniczenia emisji CO_2. Nasze inwestycje mają na względzie dotrzymanie zaostrzonych norm ochrony środowiska. W Kaliszu podejmowane są konkretne działania – nowe ciepłociągi w celu umożliwienia zamiany ogrzewania piecowego na bardziej ekologiczne. Spółka Energa Ciepło Kaliskie rozbudowuje sieć ciepłowniczą. Dzięki temu kamienice będzie można podłączyć do centralnego ogrzewania. To ma wpływać na poprawę stanu powietrza w Kaliszu, ze szczególnym uwzględnieniem historycznego centrum miasta, w którym z powodu na ukształtowanie terenu problem smogu jest najbardziej dotkliwy. Dzięki współpracy z samorządem w centrum miasta przestają dymić kolejne kominy. Nasza spółka jest także otwarta na współpracę z urzędem miasta w celu wykorzystania ciepła pochodzącego z wód geotermalnych na terenie Kalisza.

Dużą uwagę przywiązywano w Enerdze do restrukturyzacji Grupy. Czy można już coś powiedzieć o efektach?

Uszczelniono system finansowy, ograniczamy zlecanie usług firmom zewnętrznym – bez szkody dla działalności spółki. Optymalizacja i zmiany w zarządzaniu organizacją przynoszą efekty. Rozpoczęliśmy w 2017 r. proces porządkowania struktury Grupy. Celem tego potrzebnego i ważnego przedsięwzięcia jest synergia i rozwój spółek Grupy oraz wykorzystanie potencjału ich współpracy. Duże korzyści wiążemy z ograniczaniem wydatków na usługi doradcze, a także zlecane usługi projektowe w poszczególnych liniach biznesowych Pozwoliło to na optymalizację budżetu i będzie się przekładało na efektywniejsze wykorzystanie środków finansowych, które w większej mierze pozostaną wewnątrz Grupy. Najbardziej dostrzegalną zmianą jest zmniejszanie liczby spółek oraz ośrodków decyzyjnych w Grupie. Efektem synergii jest zwiększenie kompetencji spółek łączonych w linie biznesowe. To pozwoli nam lepiej wykorzystywać wiedzę i doświadczenie pracowników. Zmiana polega na przeniesieniu do Energi SA nadzoru korporacyjnego i zarządzania holdingowego, co zapewni skuteczniejszą realizację wspólnej strategii oraz wspólnych celów całej Grupy.

A konkretnie, jakie są korzyści z tych zmian w Grupie Energa?

Przykładem jest restrukturyzacja naszej spółki Energa Invest i nowa jakość w przygotowaniu projektów w Grupie, które w dużej części były realizowane przez firmy zewnętrzne lub przez rozproszone w spółkach biura. Za kluczowe należy uznać synergię i wzmocnienie współpracy między spółkami z Grupy, dzięki której można usprawnić etapy projektowe oraz zunifikować rozwiązania techniczne. Naszym celem jest, aby projekty w obszarze dystrybucji, wytwarzania i obrotu energią elektryczną realizowane były w oparciu o kompetencje własne skoncentrowane w tej spółce. W niespełna pół roku utworzono zespół około stu projektantów i specjalistów branżowych, m.in. z obszaru elektroenergetycznego, ochrony środowiska, hydrotechniki, urbanistyki oraz pozyskiwania prawa dysponowania terenem na cele budowlane. Tworzone są także jednostki terenowe na całym obszarze funkcjonowania Grupy. Docelowo zatrudnionych będzie tam ponad 60 pracowników, głównie projektantów tematów średnionapięciowych. Będziemy wzmacniać inicjatywy i spółki takie jak Invest, które ograniczają wypływ pieniędzy z Grupy.

Pojawiły się głosy krytycznie odnoszące się do zasadności budowy kolejnej elektrowni węglowej, także w kontekście ograniczeń emisji CO_2.

Nasze argumenty pozostają niezmienne. Przede wszystkim budowa nowego bloku energetycznego jest przedsięwzięciem, które zwiększy bezpieczeństwo energetyczne kraju. Jest inwestycją o znaczeniu strategicznym, nie tylko dla Grupy Energa. Poprzez budowę nowoczesnej, wysokosprawnej elektrowni zmniejszamy emisję i chcemy wzmocnić również potencjał infrastruktury wytwórczej Grupy. Jest to przedsięwzięcie wynikające ze strategii Grupy Energa.

eprasa.pl e12a91f2d0

Inwestycja wpisuje się także w plan rozwoju Linii Biznesowej Wytwarzania, w której realizujemy m.in. inwestycje związane z modernizacją posiadanych aktywów oraz budową nowych mocy. Co do kwestii ekologicznych – Polska posiada bogate złoża węgla i budując nowe moce energetyczne, powinniśmy z nich korzystać. Sukcesywne zastępowanie pracujących obecnie wysłużonych bloków węglowych w Polsce nowoczesnymi i wysoce efektywnymi, wpłynie na znaczne obniżenie wskaźnika emisji CO_2 na jednostkę generowanej energii. Porozumienie klimatyczne gwarantuje, że w energetyce można wykorzystywać zasoby polskiego węgla. Redukcja emisji CO_2 będzie bowiem realizowana poprzez zastosowanie najbardziej zaawansowanych technologicznie i sprawdzonych rozwiązań. Energia w elektrowni ostrołęckiej ma być wytwarzana przy spełnieniu obowiązujących wymagań Unii Europejskiej, dotyczących ograniczenia emisji zanieczyszczeń do środowiska oraz efektywności energetycznej. Zastosowane mają być najnowocześniejsze technologie umożliwiające pracę bloku z wysoką dyspozycyjnością i sprawnością, przy jednoczesnym zapewnieniu zagospodarowania ubocznych produktów spalania.

Jaki jest obecnie stan realizacji inwestycji w Ostrołęce?

Trwa procedura przetargowa związana z wyłonieniem wykonawcy budowy nowej elektrowni w Ostrołęce. Postępowanie prowadzi spółka celowa Elektrownia Ostrołęka SA, powołana wspólnie z naszym partnerem w tym przedsięwzięciu – Eneą SA. Spółką kierują menedżerowie, którzy uczestniczyli w realizacji podobnych projektów w Bełchatowie, Opolu i Kozienicach. Komisja przetargowa działa zgodnie z harmonogramem. Spodziewamy się, że wynik przetargu będzie ogłoszony w tym kwartale.

Czy projekt może mieć problemy z uzyskaniem finansowania? Czy nadal liczycie na wspomaganie tej inwestycji z mechanizmów powstającego rynku mocy?

Zgodnie z planem inwestycyjnym grupy na lata 2016–2025 przeznaczymy na inwestycje łącznie ok. 20,6 mld zł, w tym także na inwestycje w nowe jednostki Linii Biznesowej Wytwarzania. Założeniem naszych projektów jest realizacja rentownej inwestycji, która zagwarantuje satysfakcjonującą stopę zwrotu dla akcjonariuszy. Nasze prace koncentrują się na wypracowaniu najbardziej efektywnego modelu biznesowego przedsięwzięcia, a wejście w życie ustawy o rynku mocy, zaakceptowanej niedawno przez Komisję Europejską, jest istotne w dodatkowym wzmocnieniu ekonomiki budowy nowych bloków energetycznych. Oczywiście chcemy także skorzystać z tych możliwości rynkowych w realizacji projektu Ostrołęka C.

W jakim stanie są bloki energetyczne eksploatowane obecnie przez Grupę Energa?

Równie ważna jak zaplanowane inwestycje w nowe bloki energetyczne jest dbałość o istniejące aktywa wytwórcze, tj. o efektywność eksploatowanych elektrowni. Każdy element naszego potencjału wytwórczego jest dla nas jednakowo ważny. Eksploatowane na Pomorzu i Warmii liczne małe elektrownie wodne, unikatowe pod względem architektonicznym, mają swój udział w naszej strukturze wytwarzania odnawialnej energii. Elektrownie te wymagają nakładów finansowych na modernizację, aby były przez koleje lata sprawne. Te nakłady przyczyniają się do osiągania przez Grupę Energa wyjątkowej na tle innych grup energetycznych struktury wytwarzania energii z ponad 30-proc. udziałem odnawialnych źródeł (OZE). Po całościowej modernizacji elektrowni wodnej w Niedalinie, remoncie głównych urządzeń w Brąswałdzie i Gałąźni Małej, w malowniczym obiekcie zbiornikowym w Krzyni (woj. pomorskie) w ubiegłym roku kompleksową modernizację przeprowadzono w ponad 100-letniej hydroelektrowni w Pierzchałach na Warmii. Zamontowane nowoczesne elementy elektroenergetyczne pozwalają na dalszą efektywną eksploatację tego cennego obiektu. Obecnie rozpoczynamy modernizację elektrowni w Borowie na terenie gminy Kalisz Pomorski. Zostanie tam zamontowany nowy hydrozespół o mocy ok. 0,7 MW. Głównym zadaniem jest zwiększenie produkcji rocznej EW Borowo o 760 MWh.

Energa wdrożyła pilotażowo projekt Lokalnego Obszaru Bilansowania Energii. Czy te innowacyjne rozwiązanie magazynowania energii będą rozwijane?

Magazynowanie energii to wielkie wyzwanie dla energetyki. Niestabilność odnawialnych źródeł energii, szczególnie farm wiatrowych, stanowi jedno z większych wyzwań dla współczesnych sieci elektroenergetycznych nie tylko w Polsce, lecz i w każdym kraju inwestującym w OZE. W związku ze zmianami pogody występują niezwykle dynamiczne wahania ilości energii elektrycznej wytwarzanej przez tego typu źródła. Dlatego istotny jest rozwój nowoczesnych magazynów zdolnych przechowywać nadwyżkę wytworzonej energii i oddawać ją do sieci, kiedy jest taka potrzeba. Mamy już doświadczenia w tym zakresie. Spółka Energa Operator zbudowała w okolicach Pucka na Pomorzu magazyn o mocy 0,75 MW i pojemności 1,5 MWh. Energia w nim zgromadzona wystarczy do zasilenia ok. tysiąca mieszkańców przez dwie godziny. W okolicy są eksploatowane źródła wiatrowe i biogazownia. To pierwsza tego typu inwestycja w kraju. Trwają prace mające na celu wykorzystanie naszych doświadczeń z pilotażu i budowę kolejnych magazynów energii.

Nasze spółki (Energa Wytwarzanie i Energa Operator) uczestniczą, wraz z firmą Hitachi i Polskimi Sieciami Elektroenergetycznymi w dużym przedsięwzięciu – budowie największego w Polsce hybrydowego, bateryjnego magazynu energii elektrycznej o mocy ok. 6 MW i pojemności ok. 27 MWh. Będzie on elementem prototypowego systemu poprawiającego bezpieczeństwo pracy sieci elektroenergetycznych.

71/0118/F

eprasa.pl e12a91f2d0

iPKO DEALER
KANTOR DLA FIRM

WYMIENIAJ WALUTY PRZEZ INTERNET

- Transakcje natychmiastowe już od 1 EUR
- Atrakcyjne kursy walutowe
- Walutowe powiadomienia SMS

Bank Polski
dzień dobry

Kontakt do dealera walutowego: +48 22 521 58 02 opłata zgodna z taryfą operatora

Szczegółowe informacje o produkcie oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych znajdują się na www.pkobp.pl.

eprasa.pl e12a91f2d0

Hit tygodnia

Panasonic Lumix G9

Panasonic całkiem niedawno zaprezentował kolejny model bezlusterkowca nie tylko do filmowania, lecz i fotografowania – poniekąd sami pracownicy Panasonica przyznali się, że w serii GH za bardzo poszli w możliwości filmowania, nieco zapominając o fotografowaniu. G9 teoretycznie należy więc do serii aparatów skierowanych do amatorów (zawodowców „obsługuje" wspomniana linia GH), jednak liczba zmian w stosunku do poprzednika oraz możliwości G9 każą spojrzeć na ten aparat jak na nieco skromniejszego brata GH5, a nie aparat z zupełnie innej półki. Czym może się pochwalić G9? Przede wszystkim matrycą o rozdzielczości 20,3 Mpix (pamiętajmy, że matryca systemu M4/3 jest mniejsza niż APS-C), trybem seryjnym 60 kl./s, a także możliwością wykonania zdjęcia w oszałamiającej rozdzielczości 80 Mpix. Ale tu jest haczyk – aparat łączy osiem zdjęć w jedno, najlepiej więc robić zdjęcia na statywie, gdyż w trakcie ich wykonywania matryca zostaje przesunięta). Wygląd aparatu i „guzikologia" bardzo przypominają tradycyjne lustrzanki: jest wizjer, jest uchylny ekran, jest elektroniczna migawka (1/32 000), są dwa sloty na karty SD. Wygląda na to, że Panasonic poważnie traktuje problemy branży fotograficznej (malejąca sprzedaż na rzecz smartfonów) i woli zaprezentować konstrukcję, po którą mogą chcieć sięgnąć nawet zdeklarowani lusterkowicze, tym bardziej że technologicznie bezlusterkowce już niewiele ustępują tradycyjnym lustrzankom. Trzeba też wziąć pod uwagę, że system M4/3 z racji mniejszej matrycy nie potrzebuje fizycznie dużych obiektywów. G9 jest dostępny od stycznia 2018 r. w sugerowanej cenie 1699 euro – niestety niezbyt tanio.

Plusy i minusy

+ bardzo dobry aparat, duża liczba ciekawej optyki w systemie (do którego należą też aparaty Olympusa)
– wg ortodoksów M4/3 to nawet nie APS-C, nie mówiąc o pełnej klatce, cena

OnePlus 5T

Smartfony z serii OnePlus są chyba znacznie popularniejsze na świecie niż w naszym kraju. Ale trudno się dziwić, gdyż zdobyć niektóre z modeli OnePlus było naprawdę trudno. Niektórzy twierdzą, że OnePlus to już nie to, co dawniej, że kolejne modele traciły na świeżości. Może i tak, ale informacja o tym, że 5T ciągu sześciu godzin od startu sprzedaży został najlepiej sprzedającym się smartfonem chińskiego producenta, imponuje. OnePlus 5T zasadniczo bazuje na modelu OnePlus 5, ma jednak znacznie smuklejsze ramki, podzespoły również robią wrażenie: procesor Qualcomm Snapdragon 835, 6 GB pamięci RAM, 64 pamięci masowej, podwójna kamera główna 16 i 20 Mpix, dual SIM, szybki czytnik linii papilarnych, szybkie ładowanie akumulatora za sprawą technologii Dash Charge. Być może dziś już rzadko kto określa OnePlusa pogromcą flagowców, ale bez wątpienia jest to wciąż ciekawy i relatywnie tani (porównując jego możliwości z ceną) smartfon z wyższej półki. Aparat kosztuje od 500 euro – w zależności od modelu.

HP Sprocket

Niedawno na naszym rynku pojawiła się niewielka kieszonkowa drukarka firmy HP o nazwie Sprocket. Jej zastosowanie to przede wszystkim możliwość drukowania zdjęć – urządzenie nie korzysta z tuszu, tylko z technologii Zero Ink. Drukarka komunikuje się ze smartfonem lub komputerem za pomocą interfejsu Bluetooth 3.0, ma 512 MB pamięci i zasilana jest przez złącze USB – czy to przez komputer, czy przez ładowarkę. Drukarka wykorzystuje wyłącznie papier ZINK Photo Paper o wymiarach 5 × 7,6 cm. W zestawie z urządzeniem otrzymujemy 10 arkuszy (paczka 20 arkuszy to 40 zł). HP Sprocket współpracuje z iOS i Androidem. W Polsce ma kosztować **ok. 599 zł.**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl e12a91f2d0

Aktywnie i zdrowo z PZU Sport

Do biegu, gotowi, start! Zbliżająca się wiosna to najlepszy czas na rozpoczęcie intensywnych treningów. Jednak nawet najlepiej przygotowanym sportowcom zdarzają się kontuzje

Dlatego dobrze zawczasu pomyśleć o ubezpieczeniu sportowym, które pokryje m.in. koszty leczenia i rehabilitacji po doznanym urazie. Z PZU Sport i wyczynowcy, i uprawiający sport rekreacyjnie będą się czuć bezpiecznie. Polisę można elastycznie dostosować do potrzeb i możliwości finansowych sportowca – zarówno jeśli chodzi o czas i zakres ochrony, jak i wysokość sumy ubezpieczenia oraz świadczeń dodatkowych.

Ubezpieczenie PZU Sport to oferta skierowana do osób w każdym wieku, bez względu na stan zdrowia i dyscyplinę, jaką uprawiają. Nie ma ograniczeń z powodu istniejących chorób czy niepełnosprawności. Wypłacone świadczenia stanowią dla sportowca finansowe wsparcie w przypadku kontuzji.

Przedmiotem ubezpieczenia są następstwa nieszczęśliwych wypadków, polegające na uszkodzeniu ciała lub rozstroju zdrowia, powodujące trwały uszczerbek na zdrowiu albo śmierć ubezpieczonego.

W razie nieszczęśliwego wypadku ubezpieczony otrzyma:

- świadczenie finansowe,
- zwrot kosztów zakupu przedmiotów ortopedycznych (np. stabilizatora, protez),
- zwrot kosztów przeszkolenia zawodowego – jeśli skutkiem wypadku będzie niepełnosprawność,
- świadczenie finansowe za uciążliwe leczenie, jeśli z powodu wypadku poszkodowany miał operację lub przebywał w szpitalu co najmniej pięć dni.

Ubezpieczenie zawiera również wiele atrakcyjnych usług assistance, które obejmują m.in. pomoc medyczną (wizytę lekarską, wizytę pielęgniarki, transport po wypadku do placówki medycznej albo między placówkami), pomoc psychologa dla poszkodowanego, opiekę nad jego dziećmi, które nie ukończyły 18. roku życia, a także organizację i pokrycie kosztów rehabilitacji po wypadku.

Poza podstawowym zakresem ubezpieczenie zawiera również dodatkowe świadczenia, które można włączyć do ochrony w zależności od potrzeb sportowca. Są to m.in.:

- zwrot kosztów poniesionych na leczenie i rehabilitację,
- dieta szpitalna,
- ubezpieczenie kontraktu sportowego (w razie czasowej niezdolności do uprawiania sportu),
- odpowiedzialność za choroby układu mięśniowo-szkieletowego,
- świadczenie w przypadku całkowitego trwałego inwalidztwa.

Do umów ubezpieczenia z rocznym okresem odpowiedzialności zawieranych na rachunek zawodników uprawiających sport profesjonalnie oraz osób wykonujących zawód związany z uczestnictwem w kulturze fizycznej może być włączone tzw. świadczenie przejściowe. Świadczenie wypłaca się w związku z czasową niezdolnością ubezpieczonego do uprawiania sportu i wykonywania pracy, trwającą nieprzerwanie przez ponad sześć miesięcy.

Ubezpieczenie może być zawarte na czas uprawiania sportu albo na czas pełny, czyli obejmujący poza zajęciami sportowymi również wszystkie inne zdarzenia życia sportowca, które mogą się wydarzyć przez całą dobę.

Ubezpieczenie PZU Sport jest dla sportowców gwarancją wsparcia finansowego w razie nieszczęśliwego wypadku. Pomaga opanować skutki wypadku, od organizacji pomocy w powrocie do zdrowia, do zabezpieczenia finansowego w czasie przerwy w karierze sportowej lub gdy dojdzie do jej trwałego przerwania.

37/0118/F

eprasa.pl e12a91f2d0

Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” na wszystkich polskich dworcach

Dzięki współpracy Grupy PKP z Instytutem Pamięci Narodowej podróż stanie się okazją do bliższego poznania historii „Żołnierzy Wyklętych”

1 marca tego roku po raz ósmy obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Tego dnia 67 lat wcześniej w więzieniu mokotowskim wykonano wyrok śmierci na siedmiu członkach IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”: Łukaszu Cieplińskim, Mieczysławie Kawalcu, Józefie Batorym, Adamie Lazarowiczu, Franciszku Błażeju, Karolu Chmielu i Józefie Rzepce – będących ostatnimi ogólnopolskimi koordynatorami „Walki o Wolność i Niezawisłość Polski z nową sowiecką okupacją”.

Centralne obchody święta odbyły się 1 marca 2018 r. o godz. 18:00 na pl. Piłsudskiego w Warszawie. Jednak przez niemal cały miesiąc mamy okazję uczestniczyć w licznych towarzyszących uroczystościach: modląc się na Mszach św., słuchając koncertów, oglądając specjalnie przygotowane pokazy.

W tym roku w obchody włącza się także Grupa PKP.

Podróżnym odwiedzającym dworce w całej Polsce towarzyszą wizerunki Witolda Pileckiego i Danuty Siedzikówny „Inki” rozmieszczone w ramach akcji na nośnikach należących do PKP S.A.

Grupa PKP wraz z IPN chce zachęcić podróżnych do zapoznania się z historią Żołnierzy Niezłomnych również w czasie podróży pociągiem. Umożliwiają to zamieszczone na dworcach plakaty z kodem QR prowadzącym do strony edukacyjnej Instytutu Pamięci Narodowej. Rozpowszechniane są także ulotki edukacyjne przygotowane przez IPN.

– Bardzo sobie cenimy każdą taką inicjatywę jak ta PKP, bo daje nam to nowe możliwości dotarcia z przekazem o najnowszej historii Polski. Żołnierze Wyklęci nie są już na szczęście tematem tabu, to w dużej mierze zasługa IPN. Niczego nie narzucamy, jedynie informujemy, edukujemy, a to jest nasze podstawowe zadanie – docenia współpracę rzecznik IPN, Adam Przegaliński.

Warto obejrzeć otwartą od 1 marca na Dworcu Centralnym wystawę „Czas Niezłomnych”, stworzoną na podstawie materiałów z Instytutu Pamięci Narodowej.

To święto ustanowiono „w hołdzie „Żołnierzom Wyklętym” – bohaterom antykomunistycznego podziemia, którzy w obronie niepodległego bytu Państwa Polskiego, walcząc o prawo do samostanowienia i urzeczywistnienie dążeń demokratycznych społeczeństwa polskiego, z bronią w ręku, jak i w inny sposób, przeciwstawili się sowieckiej agresji i narzuconemu siłą reżimowi komunistycznemu.”

– Żołnierze Wyklęci zostali niegdyś brutalnie usunięci z historii Polski. Dzisiaj upominamy się o ich pamięć. Cały czas mamy dużo do zrobienia w kwestii edukowania o ich historii, o potwornych zbrodniach jakie komuniści dokonali na podziemiu antykomunistycznym i na całym polskim narodzie. Cieszę się, że spółki kolejowe, w których zasobach są chociażby przestrzenie dworcowe się w tę wielką, edukacyjną misję włączają. W ten sposób spłacamy dług bohaterom i oddajemy należne im w historii miejsce – mówi wiceminister infrastruktury Andrzej Bittel.

Dzięki kampanii Grupy PKP te ważne treści mają szanse dotrzeć do milionów Polaków i gości zza granicy, podróżujących po Polsce. W tym celu do dyspozycji oddano nośniki PKP S.A. oraz PKP Intercity. Spółki Grupy PKP chcą w ten sposób wziąć udział w kultywowaniu pamięci na temat męczeństwa i walki antykomunistycznego podziemia w Polsce.

– Ze względu na naszą długoletnią tradycję chcemy angażować się w promowanie polskiej historii, przybliżając Polakom najważniejsze wydarzenia w naszych dziejach. Dziś włączamy się w kultywowanie pamięci o Żołnierzach Wyklętych. W zasobach PKP znajduje się bardzo duża liczba miejsc, dzięki którym możemy trafiać z określonymi treściami do podróżnych. Czujemy się społecznie odpowiedzialni za propagowanie polskiej historii i kultury – mówi prezes PKP S.A., Krzysztof Mamiński.

Polskie Koleje Państwowe aktywnie włączają się ponadto w tegoroczne obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. PKP S.A. jest oficjalnym partnerem programu Niepodległa.

Anna Raciniewska

70/0118/F

eprasa.pl e12a91f2d0

Dowiedz się więcej na temat
Żołnierzy Wyklętych

wilczetropy.ipn.gov.pl

Opracowanie graficzne PKP INFORMATYKA

GRUPA PKP

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

TVP

niepodległa

eprasa.pl e12a91f2d0

Firmy ubezpieczeniowe dają pracę kilkuset tysiącom osób, płacą rocznie ponad 1,6 mld zł podatków. Dla budżetu państwa to solidne źródło dochodów, a dla gospodarki coraz szerszy strumień zasilających ją kapitałów

Fot. Andrzej Wiktor x2

50/0118/F

Siła ubezpieczeń

Wpływ rynku ubezpieczeniowego na gospodarkę” to temat debaty, która odbyła się 15 lutego w redakcji „Gazety Bankowej”. Uczestniczyli w niej przedstawiciele administracji rządowej, Sejmu, rynku i firm ubezpieczeniowych: Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, Jan Szewczak, zastępca przewodniczącego Sejmowej Komisji Finansów Publicznych, Katarzyna Przewalska, zastępca dyrektora w Departamencie Rozwoju Rynku Finansowego Ministerstwa Finansów, Jan Grzegorz Prądzyński, prezes Polskiej Izby Ubezpieczeń, oraz Piotr Arak, menedżer w Zespole Analiz Ekonomicznych Deloitte.

PPK: WIELKIE WYZWANIE

Dokładnie w dniu debaty światło dzienne ujrzał projekt Ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych, więc znaczna część dyskusji była poświęcona właśnie im. Wszyscy uczestnicy spotkania byli zgodni co do tego, że Pracownicze Plany Kapitałowe są bardzo ważnym przedsięwzięciem zarówno z punktu widzenia społeczeństwa, jak i całej gospodarki, więc trzeba zrobić wszystko, by jego zasięg był jak najszerszy, a sam program odniósł sukces. Paweł Borys przypomniał, że PPK to jeden z najważniejszych elementów Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, zwłaszcza pod względem kluczowych wyzwań wskazanych przez SOR – konieczności podniesienia stopy oszczędności i budowania lokalnego kapitału. Dodał, że oszczędności powinny się przekładać na podwyższenie poziomu inwestycji, które mają poprawić potencjał wzrostu gospodarczego Polski. – Głównym celem programu jest jednak zwiększenie bezpieczeństwa emerytalnego Polaków poprzez wzrost ich aktywów finansowych, które należą obecnie do jednych z najniższych w UE – mówił **Paweł Borys**.

Według **Jana Grzegorza Prądzyńskiego**, prezesa PIU, żeby zapewnić powszechność PPK, dobrze by było włączyć firmy ubezpieczeniowe do planowanego systemu ich akwizycji, czyli na etapie zbierania funduszy (projekt ustawy tego nie przewiduje). – Jednym z powodów, dla którego warto byłoby to zrobić, jest to, że ubezpieczyciele mają doświadczenie w zarządzaniu dużymi grupami osób; firmy ubezpieczeniowe prowadzą prawie dwie trzecie Pracowniczych Programów Emerytalnych, które w jakimś stopniu są podobne do PPK, i ponad 60 proc. IKE oraz IKZE – mówił. Stwierdził też, że firmy ubezpieczeniowe mają doświadczenie w łączeniu różnych produktów i mogłyby to samo zrobić w przypadku PPK, dołączając do nich – w ramach ustalonego w projekcie ustawy limitu opłat, nieprzekraczających 0,6 proc. aktywów – dodatkowe usługi.

Katarzyna Przewalska wyjaśniła, dlaczego w projekcie PPK etap kumulacji kapitału powierzono Towarzystwom Funduszy Inwestycyjnych. – Przeważyła koncepcja, że TFI

eprasa.pl e12a91f2d0

są najbardziej wyspecjalizowanymi podmiotami inwestującymi środki finansowe, które już w fazie akumulacji mają służyć równocześnie gospodarce. Jednocześnie rola sektora ubezpieczeniowego jest określona w ustawie na etapie wypłat z PPK – powiedziała. Dodała, że właściwie większość ubezpieczycieli funkcjonuje w grupach kapitałowych, w których są również TFI.

Jan Szewczak zwrócił uwagę, że PPK to wielka operacja, która wywrze duży wpływ na różne rynki – kapitałowy, bankowy, ubezpieczeniowy, również na budżet, powinna także pobudzić inwestycje. Będzie zarazem przeprowadzana w sytuacji, gdy pamięć o błędach, jakie popełniły OFE, jest ciągle żywa. – Wprowadzenie PPK to poważne przedsięwzięcie, które musi mieć aspekt edukacyjny, informacyjny, popularyzatorski. Polacy powinni dostrzec, że PPK jest opłacalne i nie uderzy w ich dochody – mówił.

Piotr Arak przyznał, że doświadczenie związane z OFE mogło podważyć zaufanie do systemu emerytalnego. – Zabrakło debaty na jego temat – powiedział. Przypomniał, że ubezpieczyciele dysponują rzeszą pracowników i współpracowników działających w terenie. – Ludzie, podejmując decyzje o wyborze produktów, często kierują się sugestiami agenta ubezpieczeniowego. Czynnik ludzki w propagowaniu oszczędzania długoterminowego, a takimi są PPK, jest nie do przecenienia. To dzisiaj jeden z głównych sposobów dotarcia do obywateli – wyjaśniał.

TRZEBA OSZCZĘDZAĆ

Według **Pawła Borysa** z działalności OFE wyciągnięto wiele wniosków: w projekcie PPK pojawił się m.in. zakaz reklamy, limit kosztów, limit koncentracji działalności. – System powinien być trwały w czasie, powinien budować zaufanie uczestników – mówił. Nazwał branżę ubezpieczeniową jednym z istotniejszych wynalazków finansowych w historii gospodarczej świata, ponieważ – jak stwierdził – umożliwia przenoszenie ryzyka. – Miejmy jednak świadomość, że jeżeli chodzi o produkty oszczędnościowe, o ubezpieczenia na życie, w Polsce one się nie upowszechniły. Częściowo dlatego, że nas na nie nie stać, częściowo z powodu niskiej o nich wiedzy. Typowe produkty ubezpieczeń na życie są trudne do wytłumaczenia. To się powoli zmienia, ubezpieczyciele sporo w ten rynek inwestują, ale jego skala nadal jest mała – mówił.

– Produkty ubezpieczeniowe na życie są ściśle skorelowane z zamożnością społeczeństwa – wyjaśniał **Jan Grzegorz Prądzyński**. – Im bardziej zamożne społeczeństwo, tym częściej myśli o kupowaniu produktów, które są nakierowane na ochronę. Polska startuje z dość niskiego poziomu zamożności, teraz jednak zaczyna się bogacić i szerzej myśleć o ubezpieczeniach na życie – dodał.

Przypomniał, jak ważne jest to, by zwiększyć w Polsce skalę oszczędzania długoterminowego: większość Polaków zaczyna oszczędzać zbyt późno, by godziwie żyć na emeryturze. Jedynie 6 proc. Polaków zaczyna oszczędzać z dużym wyprzedzeniem. Będziemy żyć coraz dłużej, a tymczasem w 2060 r. polska stopa zastąpienia (czyli wysokość świadczenia emerytalnego w stosunku do ostatniego wynagrodzenia) wyniesie zaledwie

29 proc., słowacka – 49 proc., austriacka – 45 proc., czeska – 34 proc., rumuńska – 34 proc., a bułgarska – 32 proc. – Musimy rozwijać już dzisiaj takie pomysły jak PPK, które pozwolą zahamować ten niepokojący trend – mówił prezes PIU.

Jan Szewczak pytał, czy Polacy mają z czego oszczędzać. Pracownicze Plany Kapitałowe będą wymagały oddania na nie części pensji przez pracownika, a także części dochodów pracodawcy. – Na szczęście wynagrodzenia rosną i zaczyna być to już odczuwalne – mówił. To dobra okoliczność zarówno dla PPK, jak dla firm ubezpieczeniowych.

Według **Katarzyny Przewalskiej** ubezpieczeniowych produktów dożywotnich brakuje, bo na rynku jest zbyt mało oszczędności. – Program PPK ma na celu ich zbudowanie, więc w konsekwencji dożywotnie pogramy też powinny zacząć się cieszyć większym zainteresowaniem – mówiła. Przypomniała, że projekt ustawy o PPK znajduje się w okresie konsultacji. – Wszystkie uwagi zgłoszone podczas dyskusji będą brane pod uwagę przy ustalaniu ostatecznego kształtu ustawy – powiedziała.

MILIARDY DLA GOSPODARKI

Jan Grzegorz Prądzyński przypomniał, że wkład ubezpieczeń w rozwój polskiej gospodarki znacznie wykracza poza zatrudnienie, płacone podatki czy zyski przez nie osiągane. Ubezpieczyciele zapewniają 225 tys. miejsc pracy w branży oraz w powiązanych z nią sektorach (nie licząc samozatrudnionych), jej wkład w PKB kraju to 2 proc. Ubezpieczyciele są trzecim największym inwestorem instytucjonalnym w Polsce – lokują aż 60 mld zł aktywów w obligacje, 17,4 mld zł w akcje spółek, zapewniają dzięki temu nie tylko kapitał na rozwój przedsiębiorstw, lecz także finansują wydatki publiczne na infrastrukturę, edukację czy zdrowie. Kapitał ubezpieczeniowy jest stały i długoterminowy.

Towarzystwa ubezpieczeniowe mają duże znaczenie w zapewnieniu bezpieczeństwa obrotu gospodarczego zarówno w Polsce, jak i poza naszymi granicami: ubezpieczone obroty krajowe sięgają 346 mld zł, a eksportowe – 114 mld zł. W okresach spowolnienia gospodarczego gwarancje ubezpieczeniowe ograniczały straty państwa, polskich firm i konsumentów (np. w 2012 r. odszkodowania sięgnęły rekordowej sumy 422 mln zł). Objętych ubezpieczeniem jest 60 proc. (aż 1,8 bln zł) majątku polskich firm.

Oprac. SK

eprasa.pl e12a91f2d0

Bank odpowiedz

eprasa.pl e12a91f2d0

NBP Narodowy Bank Polski

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

W inwestycjach ważny jest zysk. Bank może zyskać więcej – nie tylko w oczach klientów, lecz również całego rynku – gdy do sprawnego zarządzania pieniędzmi dołoży jeszcze jeden ważny element – zaangażowanie społeczne

ialny społecznie

Aktywność pozabiznesowa, ważna z punktu widzenia społeczeństwa, określana jest jako CSR (ang. corporate social responsibility) – społeczna odpowiedzialność biznesu. CSR najczęściej kojarzone jest z działalnością charytatywną, filantropijną, etyczną, uwzględniającą interesy społeczne, ochronę środowiska, działalnością kulturalną i edukacyjną podejmowaną w ważnych dla społeczności obszarach.

Ekonomista Howard Rothmann Bowen, który w 1953 r. wydał „Social Responsibilities of the Businessman", uważał, że aktywność gospodarcza przedsiębiorstwa wywiera głęboki wpływ na życie ludzi, dlatego biznes musi prowadzić działania spójne z celami i wartościami społecznymi.

W zależności od sytuacji priorytety CSR mogą się zmieniać – raz bardziej nakierowane będą na ekologię, innym razem na historię i budowanie tożsamości narodowej, na podkreślanie przywiązania do kultury kraju czy regionu. Firmy starają się dostosować swoje CSR do charakteru prowadzonej działalności, a liczna ich grupa koncentruje się na ochronie środowiska, wychodząc z założenia, że przemysł tak mocno ingeruje w naturę, że powinien partycypować w jej obronie.

Fot. Shutterstock | 3121?F

eprasa.pl e12a91f2d0

Bardzo często CSR jest ściśle połączone ze strategią firmy, wiążąc się z jej biznesem, polegającym np. na ograniczeniu emisji spalin czy zużycia energii poprzez skrócenie linii produkcyjnych czy wykorzystanie ekologicznych środków transportu, co w sposób oczywisty daje oszczędności i przekłada się na zysk przedsiębiorstwa, a dodatkowo zapewnia większą dbałość o środowisko. Tego typu odpowiedzialność społeczna, zintegrowana z procesami produkcyjnymi, jest mało podatna na cykle koniunkturalne w gospodarce, których efektem zwykle bywa to, że w czasie gorszej prosperity tnie się w pierwszej kolejności wydatki na działalność charytatywną. – Nie ma wątpliwości, że CSR spełnia dwie funkcje. Po pierwsze – wizerunkową i marketingową, po drugie – usprawniającą procesy – mówił prof. Piotr Płoszajski z SGH w wywiadzie dla „Forbesa".

ZMIANY PO KRYZYSIE

CSR jest teraz bardziej trwałe i mniej amorficzne niż jeszcze kilka lat temu. Informowanie o działaniach na rzecz społeczności stało się w wielu przypadkach obowiązkiem. Wymaga tego unijna dyrektywa w sprawie ujawniania tzw. informacji niefinansowych, dotycząca głównie spółek giełdowych oraz bankowych i ubezpieczeniowych, zatrudniających ponad 500 pracowników (w Polsce nowe przepisy obowiązują od sprawozdań za rok obrotowy rozpoczynający się 1 stycznia 2017). Pojawiły się też nowe okoliczności, z których powodu CSR stało się bardziej pożądane niż wcześniej: eksperci zwracają uwagę na zmianę charakteru otoczenia społecznego firm, które zyskało sojuszników w postaci mediów społecznościowych, zdolnych do szybkiej i skutecznej integracji środowisk w określonym, akceptowanym celu.

Firmy finansowe, a przede wszystkim banki, stały się bardziej czułe na głos opinii publicznej po kryzysie 2008 r., gdy upadek banku Lehman Brothers wstrząsnął światowym systemem finansowym. Według publikacji „Społeczna odpowiedzialność wybranych banków komercyjnych na świecie – ocena wymiarów CSR", zamieszczonej na łamach „Prac Naukowych Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu", banki komercyjne – podobnie jak inne przedsiębiorstwa – ukierunkowane są na kreowanie zysku, ponosząc przy tym pełną odpowiedzialność za swoje działania. Jeszcze do niedawna, a konkretniej do roku 2008, społeczna odpowiedzialność pojmowana była w sposób jednokierunkowy, odnosząc się głównie do zaspokajania potrzeb i sprostania oczekiwaniom akcjonariuszy. Jak wynika z publikacji UE we Wrocławiu, od światowego kryzysu finansowego pojęcie CSR banków komercyjnych radykalnie się zmieniło przede wszystkim w świadomości właścicieli tych podmiotów, czego odzwierciedleniem była zmiana strategii prowadzenia biznesu bankowego w kierunku odbudowania społecznego zaufania.

W gronie specjalistów zajmujących się tą tematyką jest to opinia dość powszechna. Według badań Wydziału Nauk Ekonomicznych i Zarządzania SGGW w Warszawie („CSR jako element zarządzania wizerunkiem banku") „rynek bankowy w Polsce i na świecie w roku 2007 stanął w obliczu kryzysu finansowego. Chcąc przetrwać kryzys, banki ukierunkowały swoje działania na marketing. Społeczna odpowiedzialność biznesu od dwóch dekad jest nieodzownym elementem marketingu bankowego".

To jeden wymiar CSR funkcjonującego w świecie finansów. Drugi polega na tym, że działalność banków komercyjnych podlega silnej konkurencji, a w centrum jej zainteresowania znajdują się klient i poszukiwanie możliwości pozyskania jego pieniędzy. – Znalezienie skutecznych sposobów dotarcia do klienta ze względu na jego coraz wyższe oczekiwania staje się jednak znacznie trudniejsze i wymaga sporego wysiłku. Dzieje się tak dlatego, że oczekiwania te nie dotyczą już tylko aspektów ekonomicznych, lecz także etycznych, a często też filantropijnych. Nie powinno zatem dziwić nikogo stwierdzenie, że społeczna odpowiedzialność banku ma obecnie kluczowe znaczenie dla osiągnięcia przez niego sukcesu finansowego – wynika z publikacji Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu.

> W wielu bankach funkcjonują zespoły wolontariuszy, którzy w wolnych chwilach podejmują się działań pro bono

Przyznają to również przedstawiciele biznesu. Według badania przeprowadzonego przez KPMG Polska i Forum Odpowiedzialnego Biznesu („Społeczna odpowiedzialność biznesu: fakty a opinie"), ponad trzy czwarte (77 proc.) przedstawicieli dużych i średnich firm w Polsce jest zdania, że prowadzenie działalności biznesowej zgodnie z koncepcją CSR ma korzystny wpływ na wyniki finansowe.

CO ROBIĄ BANKI

Banki śmiało podejmują działania, które w oczach społeczeństwa przynoszą im uznanie. Przykładów nie brakuje: może być to wsparcie domów dziecka czy szkół w ubogich gminach, gdzie każda pomoc jest na wagę złota. Bank może finansować określone potrzeby, na przykład kupować komputery dla szkoły czy ubrania dla dzieci z domu dziecka albo poprosić o pomoc w działaniach charytatywnych swoich pracowników. W wielu bankach funkcjonują zespoły wolontariuszy, którzy w wolnych chwilach podejmują się działań pro publico bono, na przykład pomagają w odnowieniu budynków szkolnych czy wspierają osoby niepełnosprawne. W jednym z banków pracownicy wysłali do klientów przygotowane przez siebie kartki świąteczne, prosząc o dotację na rzecz zakupu inkubatora dla małych pacjentów. Udało się zebrać znaczącą kwotę, dzięki której akcja zakończyła się sukcesem. Częste są przypadki łączenia charytatywnych

eprasa.pl e12a91f2d0

przedsięwzięć banku z działalnością jakiejś fundacji działającej w środowisku lokalnym lub stworzenie własnej fundacji o charakterze prospołecznym. Akcje charytatywne często odbywają się w okresach świąt, ferii szkolnych i w miesiącach poprzedzających wakacje.

Skala tych działań jest coraz większa i praktycznie każdy bank komercyjny jest mniej lub bardziej aktywny w dziedzinie CSR. Co ciekawe, chętnie włącza w nie swoich pracowników, dzięki czemu społeczna odpowiedzialność jest widoczna nie tylko na zewnątrz, lecz staje się również wewnętrzną specyfiką, integrującą zespół wokół celów publicznie ważnych, a nie tylko biznesowych.

Jednym słowem, CSR to nie tylko mocny punkt w relacjach firm z otoczeniem zewnętrznym, lecz również poważny argument ułatwiający pozyskanie wartościowych pracowników. Na rynku, na którym jest o nich coraz trudniej, to jedna z zalet poważnego pracodawcy. Zwróciła na to uwagę firma doradcza Deloitte w opublikowanym podczas ubiegłorocznego Forum Ekonomicznego w Davos raporcie „2030 Purpose: Good business and a better future": „Firmy, które w swojej strategii mają jasno zdefiniowane cele społeczne, środowiskowe oraz ekonomiczne, przyciągają najbardziej utalentowanych pracowników. Również konsumenci wybierają te marki, które cieszą się zaufaniem społecznym".

NIEOGRANICZONY POTENCJAŁ

Nasze banki funkcjonują w konkurencyjnym otoczeniu, w którym oczekiwania klientów są coraz większe. I to nie tylko pod względem łatwości dostępu do usług czy interesującej oferty, lecz również wartości, jakie banki reprezentują i jakich chcą stać się nośnikiem. Bank jest przecież instytucją osadzoną w społeczeństwie, powinien służyć mu nie tylko w wymiarze obsługi finansowej, lecz także wspomagając ważne społecznie inicjatywy. Nie bez znaczenia jest to, jakie wspiera działania edukacyjne czy kulturalne i do jakich wartości się odwołuje.

Czy rzeczywiście wartości związane ze społeczną odpowiedzialnością biznesu zaczynają być ważne dla klientów w Polsce? Małgorzata Greszta, partner zarządzający w jednej z agencji CSR, twierdzi, że tak. Według niej grupa świadomych konsumentów rośnie, choć są oni ciągle w mniejszości (większość zwraca uwagę przede wszystkim na jakość i na cenę). Szacuje, że należy do niej ok. 30 proc. polskich konsumentów. – Zaskoczyło nas to, że jest to jednak tak liczna grupa – mówi, powołując się na badanie Barometr CSR 2016, przeprowadzone przez CSR Consulting i Maison & Partners. Wyraźnie rośnie odsetek osób, wśród których CSR wzbudza pozytywne odczucia wobec firmy. – Uważa się zwykle, że grupą podatną na komunikaty dotyczące etyczności, odpowiedzialności społecznej są ludzie młodzi, dobrze zarabiający, natomiast starsi nie przywiązują do tego wagi. Tymczasem okazało się, że w Polsce jest grupa – którą nazwaliśmy „ekopragmatykami" – do której należą osoby starsze, niekoniecznie dobrze wykształcone, do których trafiają argumenty ekologiczne, ale z wyraźną informacją o praktycznych korzyściach, z której wynika na przykład, że żarówka energooszczędna to nie tylko ochrona środowiska, lecz również niższe rachunki za prąd. Odkryliśmy też grupę młodych, wykształconych, ambitnych – nazwaliśmy ich „korpoegoistami" – którzy na komunikat, że firma pomaga ludziom, reagowali negatywnie. Nie neutralnie, tylko negatywnie. To pokazuje, jak wiele stereotypów dotyczących etycznych zachowań konsumentów funkcjonuje na naszym rynku – mówi Małgorzata Greszta. Według niej produkty z wpisanymi w nie celami społecznymi mają nieograniczony potencjał. – W Wielkiej Brytanii właściwie każda kategoria produktu wiąże się z jakąś akcją CSR głównie w obszarze CRM [zarządzania relacjami z klientami – przyp. red.].

> CSR buduje relacje ze społeczeństwem, dzięki niemu banki mogą wspierać ważne z punktu widzenia obywateli inicjatywy. Same odnoszą też dzięki swojej społecznej działalności korzyści wizerunkowe i finansowe

BIZNES Z ZASADAMI

Dzięki CSR banki mogą wspierać ważne z punktu widzenia obywateli inicjatywy. Same odnoszą też korzyści wizerunkowe i finansowe. Klient, jeżeli ma do wyboru porównywalną ofertę kont czy kart, wybierze tę, która posiada walor prospołeczny Można założyć, że biznes z zasadami będzie zdobywał coraz większe uznanie w oczach Polaków. Według badania przeprowadzonego na Wydziale Nauk Ekonomicznych i Zarządzania SGGW w Warszawie zaangażowanie banku w działalność społeczną i środowiskową wpływa na poczucie dumy wśród 41 proc. respondentów, a niemal 60 proc. badanych, mając świadomość zaangażowania banku w działalność na rzecz innych ludzi, byłaby bardziej skłonna do skorzystania z jego usług.

O tym, że już teraz jest ono ważne dla znacznej części inwestorów, może świadczyć RESPECT Index, grupujący spółki odpowiedzialne społecznie notowane na warszawskiej giełdzie. Do ostatniej, XI edycji indeksu weszło 28 spółek (najwięcej w historii), w tym siedem banków. Wyniki notowań indeksu pokazują, że spółki tworzące ten wskaźnik charakteryzują się wyższą stopą zwrotu niż średnia dla rynku, który od listopada 2009 r. do grudnia 2017 r., w ciągu ośmiu lat istnienia, wzrósł o 85 proc. W tym czasie indeks szerokiego rynku WIG zwiększył się o 59 proc., a wskaźnik największych spółek WIG20 zyskał 3,5 proc. Dobre wyniku RESPECT Index świadczą o tym, że w oczach inwestorów coraz większe znaczenie mają kryteria środowiskowe, społeczne, etyczne, dotyczące obszaru ładu korporacyjnego.

Łukasz Chłociński

eprasa.pl e12a91f2d0

Innowacyjny kurs PZU

Chcemy, aby każda spółka, która ma w logo PZU, była numerem jeden na swoim rynku. Tak patrzymy na naszą potencjalną ekspansję regionalną – że jeśli wchodzimy na jakiś rynek, to tak, aby stać się numerem jeden – mówi Paweł Surówka, prezes Grupy PZU, tuż po ogłoszeniu nowej strategii polskiego ubezpieczyciela, w rozmowie z „Gazetą Bankową". Po wejściu PZU na rynek Lloyd'sa te słowa nabierają wyjątkowego znaczenia

Komunikaty prasowe z grudnia 2017 r. o inwestycji polskiego PZU w brytyjski holding ubezpieczeniowy Argenta, zarządzający jednym z ponad 80 syndykatów rynku ubezpieczeniowego Lloyd'sa, przeszły bez echa. Po potężnej inwestycji w czerwcu 2017 r., gdy PZU i Polski Fundusz Rozwoju sfinalizowały zakup 32,8 proc. akcji Banku Pekao SA za łączną kwotę 10,6 mld zł, Grupa PZU stała się największą grupą finansową w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej. Można się było spodziewać, że taki gracz sięgnie po kolejne inwestycje także w Europie.

– Mamy klientów z międzynarodowymi majątkiem i potrzebami. Chcemy rozwijać biznes w bezpieczny sposób, dlatego dołączamy do Lloyd'sa i Syndicate 2121 – wyjaśnia członek zarządu PZU Roger Hodgkiss.

Wejście na rynek Lloyd'sa dla ubezpieczyciela nawet tak dużego jak PZU to jak awans do ligi mistrzów, a może raczej Premier League, jako że Lloyd's jest wizytówką brytyjskiego rynku ubezpieczeń, angielskiej przedsiębiorczości i kwintesencją londyńskiego City.

HISTORIA RYNKU UBEZPIECZEŃ

Historia najstarszej firmy ubezpieczeniowej na świecie sięga przełomu XVII i XVIII w., gdy właściciele floty odkryli, że najpewniejsze informacje na temat losów statków, niebezpieczeństw i ryzyka, a także wiarygodnych ubezpieczeń można uzyskać w kawiarni Edwarda Lloyda w samym sercu Londynu, przy Tower Street. Zapisywane na ścianach kawiarni informacje pomagały ubezpieczycielom oceniać ryzyko i ustalać stawki. Z czasem ubezpieczyciele wzajemnie się wspomagali nie tylko wiedzą, lecz i współdzielili ryzyko wypłaty odszkodowania – dzięki czemu już w XIX w. Lloyd's stał się pewnym ubezpieczycielem spedycyjnym operującym na całym świecie.

Fot. Fratria

Dziś branża morska wciąż jest jednym z ważnych elementów rynku Lloyd'sa, choć obejmuje on już ponad 60 grup różnorodnych produktów ubezpieczeniowych, a wypracowany przez ponad 300 lat łańcuch bezpieczeństwa pozwala na reasekurację najbardziej ryzykownych przedsięwzięć. Wśród wymienianych z dumą przez brytyjskich underwriterów, oceniających ryzyko związane z ubezpieczeniem osób i mienia, są m.in. polisy na statki kosmiczne, dzieła sztuki w National Gallery w Londynie oraz nogi Tiny Turner i Davida Beckhama.

INWESTYCJA

Lloyd's nie jest już ubezpieczycielem w popularnym i oczywistym znaczeniu. De facto stał się rynkiem ubezpieczeń, tworzonym przez zrzeszone pod wspólnym logo (Member of Lloyd's) syndykaty ubezpieczające całe branże. To logo zobowiązuje, gdyż wejście do elitarnego klubu nie jest łatwe.

– Wejście na rynek Lloyd'sa było jednym z naszych celów biznesowych, który został osiągnięty szybciej, niż zakładaliśmy. Poprzedzone zostało wnikliwymi analizami rynku, negocjacjami z potencjalnymi partnerami i specjalnym audytem, który potwierdził naszą wiarygodność i siłę – wyjaśnia Roman Pałac, prezes PZU Życie SA, zapowiadając, że to nie koniec planów rozwojowych.

Grupa PZU została udziałowcem brytyjskiej Argenty, która obsługuje te same ryzyka co polski ubezpieczyciel. Dzięki tej inwestycji PZU otrzymało prestiżowy certyfikat „Member

of Lloyd's", co daje polskiemu ubezpieczycielowi szansę na zaistnienie na międzynarodowym rynku nie tyle poprzez fuzje i przejęcia, ile korzystną inwestycję. Zaangażowanie w syndykat Argenta zakłada bowiem wysoki zwrot z kapitału.

– Gdy ubezpieczyciel dołącza do Lloyd'sa, jedną z ważnych korzyści jest uzyskanie wysokiego ratingu – wyjaśnia Jon Hancock, performance management director w Lloyd'sie. Każdy podmiot będący częścią Lloyd'sa otrzymuje bowiem rating w S&P – A+, a w Fitch – AA-.

– Członkostwo w Lloyd'sie to nie jest prawo, to przywilej – wyjaśnia Hanckock. – Rolą Lloyd'sa jest natomiast dostarczanie członkom rynku najlepszych rozwiązań, ich promowanie i ochrona, jako że wszystkie te elementy składają się na zjawisko nazywane reputacją Lloyd'sa.

Warto zauważyć, że amerykańska agencja S&P Global Ratings podwyższyła perspektywę ratingową PZU z negatywnej do stabilnej już pod koniec ubiegłego roku.

– Podwyższenie perspektywy ratingowej PZU to potwierdzenie naszej międzynarodowej wiarygodności oraz wyraz zaufania do zarządu i przyjętej strategii rozwoju, zwłaszcza wobec sektora bankowego – powiedział wtedy Paweł Surówka, prezes PZU. Przyznana wówczas ocena ratingowa PZU na poziomie A- jest o jeden stopień powyżej ratingu Polski i, zgodnie z zasadami S&P, jest jedną z najwyższych możliwych ocen dla polskiej spółki. Wyniki po trzech kwartałach 2017 r. potwierdzają dobry kurs – zysk netto grupy wyniósł 700 mln zł, czyli o 4 proc. powyżej oczekiwań rynku. Wynik na działalności lokacyjnej z uwzględnieniem konsolidacji banków (Alior i Pekao) oraz kosztów odsetkowych według wyliczeń dziennikarzy PAP wyniósł w III kwartale 2,343 mln zł.

PRESTIŻ I INNOWACJE

Prestiż jest na dziś kwestią dla PZU niezwykle istotną, bowiem o ile w naszym regionie Grupa PZU jest niekwestionowanym liderem, o tyle marka polskiego ubezpieczyciela jest na świecie rozpoznawalna raczej wśród naszych rodaków. To może się zmienić nie tylko dzięki Lloyd'sowi. Z zaprezentowanej w styczniu strategii Grupy do 2020 r. wynika, że PZU już wkrótce ma się stać jednym z najbardziej innowacyjnych ubezpieczycieli na rynku. A to dzięki inwestycji w telematykę, sztuczną inteligencję i nowoczesne aplikacje budujące społeczność klientów.

> Wejście na rynek Lloyd'sa dla ubezpieczyciela nawet tak dużego jak PZU to jak awans do ligi mistrzów, a może raczej Premier League

Fot. Andrzej Wiktor

Paweł Surówka, prezes Grupy PZU, prezentuje „beacona" – urządzenie telematyczne ratujące życie kierowców

– Postawiliśmy na nowe technologie i sztuczną inteligencję w dotarciu do klienta. Mają w tym celu pomóc m.in. nowe aplikacje, program lojalnościowy czy nowa strona internetowa – mówił Paweł Surówka, prezes Grupy PZU, podczas prezentacji strategii. – Chcemy również rozpocząć w tym roku – jako pierwszy ubezpieczyciel w Europie – program PZU GO, innowacyjne rozwiązanie telematyczne, którego celem jest poprawa bezpieczeństwa kierowców. Aplikacja mobilna połączona z niewielkim urządzeniem typu beacon pozwoli na automatyczne wezwanie pomocy w razie kolizji lub wypadku. Aplikację można ściągnąć na smartfon, z którego na co dzień korzystają młodzi ludzie.

Rzeczywiście, wykorzystanie możliwości, jakie daje grupie PZU operowanie na rynku ubezpieczeń komunikacyjnych, zdrowotnych, życiowych i grupowych w połączeniu z potencjałem, jaki przyniosła inwestycja w Pekao SA i Alior, może dać Grupie potężny zasięg w wykorzystaniu nowych technologii. Jeśli największa grupa finansowa w Europie Środkowo-Wschodniej i lider w ubezpieczeniach i sektorze bankowym oraz w zarządzaniu aktywami zyskał ponadto dostęp do wiedzy i doświadczenia Lloyd'sa – zapowiedź prezesa Surówki o zdobywaniu rynków i najwyższym miejscu na podium można traktować już niezwykle poważnie. Także w kontekście rynku światowego.

Maciej Wośko,
redaktor naczelny „Gazety Bankowej"

Fot. Fratria

Chcemy rozwijać biznes w bezpieczny sposób, dlatego dołączamy do Lloyd'sa i Syndicate 2121 – wyjaśnia członek zarządu PZU Roger Hodgkiss (z lewej)

Fot. Paweł Relikowski/Polska Press

A miało być tak pięknie

W Pjongczangu nie zawiedli nas jedynie Kamil Stoch i drużyna skoczków. Liczyliśmy też na pozostałych „lotników", Justynę Kowalczyk, łyżwiarzy szybkich i jakieś niespodzianki, ale... się przeliczyliśmy

JAROMIR KWIATKOWSKI

Tak możemy zinterpretować wyniki polskich olimpijczyków na zakończonych 25 lutego igrzyskach w Korei Płd. w świetle badań na ich temat, które – na zlecenie Totalizatora Sportowego – wykonał warszawski Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRIS. Badania przeprowadzono w styczniu, a więc miesiąc przed igrzyskami, na reprezentatywnej próbie 1067 osób.

NIEPOPRAWNI OPTYMIŚCI

Polska nie jest potentatem w sportach zimowych. Dość powiedzieć, że pierwszy polski złoty medal olimpijski, który zdobył Wojciech Fortuna na dużej skoczni w Sapporo w 1972 r., był dopiero czwartym wywalczonym przez polskich sportowców od początku zimowych igrzysk. Po Fortunie była 30-letnia „susza".

To się zaczęło zmieniać dopiero w XXI w. Głównie za sprawą skoczków: Adama Małysza, a później Kamila Stocha; biegaczki Justyny Kowalczyk i łyżwiarzy szybkich ze złotym medalistą z Soczi Zbigniewem Bródką na czele. W Vancouver w 2010 r. i w Soczi cztery lata później zdobyliśmy po sześć medali, przy czym w Rosji ze zdecydowanie cenniejszego kruszcu, bo były wśród nich aż cztery złote (dwukrotnie Stocha, Kowalczyk i Bródki).

Nie mieliśmy jednolitego poglądu, czego możemy się spodziewać po polskiej ekipie w Pjongczangu w porównaniu z igrzyskami w Soczi. Polaków, którzy muszą być srodze rozczarowani wynikami naszych sportowców, jest 2/3. Tylu bowiem było wśród respondentów niepoprawnych optymistów, którzy uważali, że nasi sportowcy mają szanse na zdobycie większej lub przynajmniej takiej samej liczby medali jak w Soczi. Pesymistów, którzy okazali się realistami, bo spodziewali się, że polska reprezentacja osiągnie gorszy wynik, było 26 proc. Pesymistą, któremu zabrakło realizmu, bo twierdził, że Polacy nie zdobędą żadnego medalu, okazał się na szczęście tylko co setny badany.

Co ciekawe, większymi optymistami byli ludzie najmniej zarabiający (do 999 zł). W tej grupie lepszego wyniku spodziewało się 6 na 10 badanych. W grupie najlepiej zarabiających (powyżej 5 tys. zł) – niewiele więcej niż co czwarty.

Wśród oczekujących na występy polskich olimpijczyków większymi optymistami byli najstarsi wiekiem (70 lat i więcej), kobiety oraz mieszkańcy wsi i dużych miast.

Pytanie: Na ostatnich Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Soczi Polacy zdobyli 6 medali. Czy Pana/Pani zdaniem w trakcie zbliżających się igrzysk Polacy zdobędą:

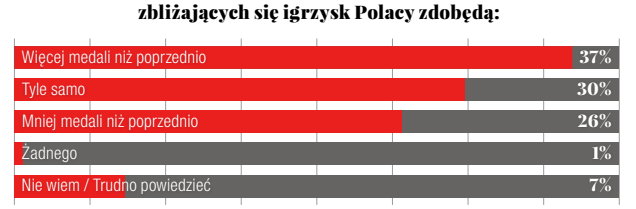

Pytanie: W jakich dyscyplinach sportowych Pana/Pani zdaniem Polacy mają największe szanse na medale olimpijskie?

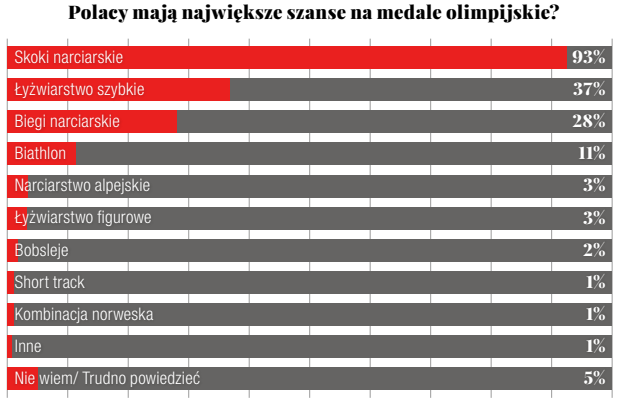

eprasa.pl e12a91f2d0

NAJBARDZIEJ LICZYLIŚMY NA SKOCZKÓW

Przytłaczająca większość badanych (93 proc.) uważała, że dyscypliną, w której Polacy mają największe szanse na medale olimpijskie, są skoki narciarskie. To akurat żadna niespodzianka, bo wielkie sukcesy Kamila Stocha w tym sezonie oraz dobra forma pozostałych skoczków nakazywały widzieć w nich najpoważniejszych kandydatów do podium.

37 proc. badanych liczyło na sukces łyżwiarzy szybkich; 28 proc. – na dobry występ Justyny Kowalczyk i powtórzenie sukcesu w biegach narciarskich, a 11 proc. na medale polskich biatlonistów. Okazało się jednak, że sukcesy z przeszłości to za mało. Justyna Kowalczyk lata świetności ma już za sobą, a forma Zbigniewa Bródki okazała się niewystarczająca do powtórzenia sukcesu z Soczi.

Więcej kobiet niż mężczyzn dostrzegało szanse na medale olimpijskie w łyżwiarstwie figurowym i narciarstwie alpejskim, co – mówiąc delikatnie – świadczy o ich nie najlepszym rozeznaniu w sportach zimowych. Co ciekawe, w sukcesy naszych skoczków, którzy przed igrzyskami byli niemal pewniakami do medali, o wiele mocnej wierzyli starsi niż młodsi badani.

Pytanie: Którzy polscy sportowcy Pana/Pani zdaniem mają największe szanse na zdobycie medali podczas Zimowych Igrzysk w Pjongczangu?

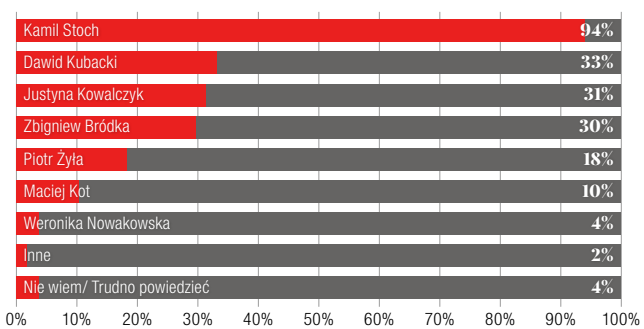

STOCH NAJBARDZIEJ ROZPOZNAWALNY

Respondenci nieźle znali naszych najlepszych sportowców zimowych. Najbardziej rozpoznawalny okazał się Kamil Stoch, którego kojarzyło aż 98 proc. badanych. Tuż za nim (po 97 proc.) plasowali się Piotr Żyła i Justyna Kowalczyk. Innych polskich skoczków – Macieja Kota i Dawida Kubackiego – kojarzyło blisko 90 proc. ankietowanych. Mniejszy, ale mimo wszystko wysoki, procent badanych słyszał o łyżwiarzu szybkim Zbigniewie Bródce (74 proc.). Najsłabiej znana była biatlonistka Weronika Nowakowska, o której słyszało 35 proc. badanych.

Warto zauważyć, że w grupie najstarszych respondentów (70 lat i więcej) rozpoznawalność Kamila Stocha i Justyny Kowalczyk wyniosła 100 proc. Badani z tej grupy wiekowej najczęściej kojarzyli także Piotra Żyłę (99,3 proc.) i Zbigniewa Bródkę (91,5 proc.). Ciekawostką jest to, że najmniej zarabiający (do 999 zł) rozpoznawali polskich olimpijczyków o wiele słabiej niż bardziej zamożni.

MUROWANY KANDYDAT DO MEDALU

Badani zdecydowanie najczęściej (94 proc.) jako polskiego faworyta do medalu typowali Kamila Stocha. Wśród kandydatów do znalezienia się na pudle wskazywano także, choć znacznie rzadziej, Dawida Kubackiego (co trzeci badany), Piotra Żyłę (18 proc. – ostatecznie pozostał rezerwowym i nie występował na olimpiadzie) i Macieja Kota (co dziesiąty badany).

Z przedstawicieli innych dyscyplin najbardziej liczyliśmy na Justynę Kowalczyk (trzech na dziesięciu) i Zbigniewa Bródkę (jeden na trzech respondentów). Te nadzieje nadziejami pozostały...

Pytanie: Proszę sobie wyobrazić i przywołać wszystkie zimowe igrzyska, które Pan/Pani oglądał/oglądała, lub o których Pan/Pani słyszał/słyszała, oraz powiedzieć, których polskich sportowców uważa Pan/Pani za bohaterów zimowych igrzysk?

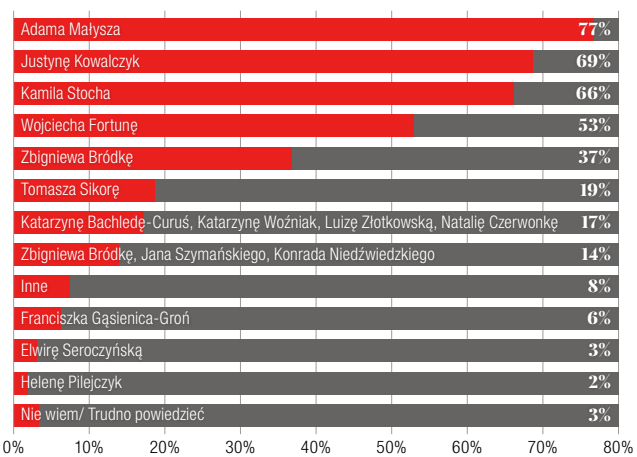

MAŁYSZ – POLSKI BOHATER ZIMOWYCH IGRZYSK

Ale to nie trzykrotny złoty medalista z Soczi i Pjongczangu Kamil Stoch jest w opinii respondentów polskim bohaterem dotychczasowych igrzysk zimowych. Okazało się, że badani dobrze pamiętali świetne występy Adama Małysza w Salt Lake City (2002) i Vancouver (2010), i choć wśród czterech zdobytych przez niego medali nie ma ani jednego złota, to właśnie jego wskazywali najczęściej (77 proc.). Prawie siedmiu na dziesięciu badanych za bohaterkę igrzysk zimowych uznało Justynę Kowalczyk, a 2/3 respondentów – Kamila Stocha. Ponad połowa badanych wskazała pierwszego polskiego złotego medalistę – Wojciecha Fortunę.

Warto też zauważyć, że niewielu respondentów pamiętało pierwszych polskich medalistów igrzysk zimowych: Franciszka Gąsienicę-Gronia (brąz w Cortina d'Ampezzo w 1956 r. w kombinacji norweskiej) wskazało 8 proc. zapytanych, a łyżwiarki szybkie, medalistki z 1960 r. ze Squaw Valley: Elwirę Seroczyńską (srebro) i Helenę Pilejczyk (brąz) – odpowiednio 6 i 3 proc. badanych.

Pomijając występy skoczków, nam, kibicom, pozostało raczej zaśpiewanie „Polacy, nic się nie stało" niż „Polska mistrzem Polski". I nadzieja, że za cztery lata będzie lepiej.

Źródło wykresów: Raport z badania na temat XXIII Zimowych Igrzysk Olimpijskich

eprasa.pl e12a91f2d0

Igrzyska na miarę możliwości

eprasa.pl e12a91f2d0

Piotr Żyła również zasłużył na medal – co swym gestem podkreślił Kamil Stoch

Fot. PKOl | 5/0218/F

Wnioski płynące z występu polskiej reprezentacji sponsorowanej przez PKN ORLEN na igrzyskach olimpijskich w Pyeongchangu są dwa. Pierwszy, ten optymistyczny, jest związany z naszymi skoczkami, którzy potwierdzili, że są w ścisłej światowej czołówce. Drugi, ten realistyczny, pokazuje miejsce Polski na mapie sportów zimowych – nie jesteśmy w nich potentatem, ale przecież za cztery lata możemy się znaleźć w innym, bardziej obiecującym miejscu

Nasi reprezentanci wywalczyli dwa medale: złoto zdobył niezawodny Kamil Stoch w konkursie na dużej skoczni, a wespół z kolegami sięgnął po brąz w konkursie drużynowym. Tym samym Polska zajęła 20. miejsce w klasyfikacji medalowej. Bezkonkurencyjni okazali się Norwegowie i Niemcy: obie ekipy zdobyły po 14 złotych krążków, ale wikingowie dorzucili do tego aż 14 srebrnych i 11 brązowych (Niemcy odpowiednio 10 i siedem), dzięki czemu okazali się na zakończonych igrzyskach po prostu najlepsi. Powody do zadowolenia mają też kibice z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Holandii i Szwecji, a bardzo dobrze wypadli również gorąco dopingowani gospodarze z Korei Południowej. Łącznie w Pyeongchangu zobaczyliśmy 92 krajowe reprezentacje i „olimpijskich sportowców z Rosji", czyli występujących pod flagą olimpijską Rosjan, którzy w związku z wykluczeniem swojego kraju z zawodów za systemowe stosowanie dopingu nie mogli wystąpić w biało-niebiesko-czerwonych barwach.

Łącznie na igrzyskach rozegrano 102 konkurencje. Czy wygranie jednej spośród nich to wynik dobry, czy słaby? Na to pytanie nie można udzielić prostej odpowiedzi. Wiadomo, że spektakularne występy Polaków przed czterema latami w Soczi i przed ośmioma w Vancouver, gdzie zdobywaliśmy po sześć medali, wyostrzyły apetyty kibiców, ale ci bardziej realistycznie patrzący na kondycję polskich sportów zimowych nie mogą być zawiedzeni. Mieliśmy się liczyć w skokach narciarskich – i tak się stało.

Jak przebiegały igrzyska dla Polaków wspieranych przez PKN ORLEN w poszczególnych konkurencjach? Oczywiście nie wypada nie zacząć od zmagań skoczków narciarskich. Rywalizacja na kompleksie skoczni Alpensia Jumping Park rozpoczęła się od konkurencji na skoczni normalnej – wystartowało w niej czterech Polaków: Kamil Stoch, Stefan Hula, Dawid Kubacki i Maciej Kot (mogło startować czterech skoczków z jednego kraju, więc Piotr Żyła nie załapał się do drużyny). Po pierwszej serii byliśmy w euforii: Hula zajmował pierwsze miejsce, a Stoch wspólnie z Johannem Andrém Forfangiem

eprasa.pl e12a91f2d0

okupowali drugą pozycję. Niestety cały konkurs, a szczególnie druga seria, odbywał się w ciężkich warunkach, przy zmiennym wietrze, więc pojawił się element loteryjności. Ostatecznie Stoch wylądował na czwartym, a Hula na piątym miejscu – zwyciężył bezapelacyjnie Andreas Wellinger z Niemiec. Natomiast miejsce drugie od piątego dzieliło... 2,1 pkt! Co się odwlecze, to nie uciecze – na dużej skoczni wielką klasę pokazał Stoch. Po pierwszej serii był liderem, ale w drugiej wspaniały skok na odległość 142 m oddał Wellinger. Po próbie Polaka na 136,5 m wszyscy zamarli w oczekiwaniu na łączną notę i... Stoch obronił tytuł z Soczi! Za polsko-niemiecką dwójką uplasował się Norweg Robert Johansson, który również na normalnej skoczni wywalczył brąz. Tym samym Rakieta z Zębu stał się najbardziej utytułowanym zimowym olimpijczykiem w Polsce, posiadając w swojej kolekcji łącznie trzy złote medale. Tyle samo zdobyła Irena Szewińska, a o jeden więcej wywalczył Robert Korzeniowski – tak więc nie ma przesady w stawianiu Stocha w jednym szeregu z największymi polskimi sportowcami w historii. Do złota Stoch dorzucił jeszcze brąz w konkursie drużynowym – do ostatniego skoku ważyły się losy srebra, po które sięgnęli Niemcy dzięki kolejnemu wspaniałemu występowi Wellingera. Bezkonkurencyjni byli Norwegowie, a tak mocnego składu jak obecnie nie mieli nigdy w historii. Zresztą to samo można powiedzieć o Polakach. Po konkursie drużynowym Stoch komentował historyczne osiągnięcie Polaków: „Każdy medal jest sukcesem i zasługą wielu ludzi. Dla nas jest to ogromna nagroda i nie ma tu znaczenia, czy jest to złoty medal mistrzostw świata, czy brąz olimpijski. Przez tyle lat musiały polskie skoki na to czekać, więc jest pięknie". Warto odnotować, że wikingowie także nie mają sobie równych wśród kobiet: po złoto sięgnęła Maren Lundby, która szturmem bierze również zawody Pucharu Świata. Co za pokolenie!

Skoro już przy Norwegach jesteśmy, warto podsumować biegi narciarskie, w których klasycznie to reprezentanci krainy fiordów rozdawali karty. Justyna Kowalczyk medalu nie wywalczyła, a po złocie Stocha straciła również tytuł najbardziej utytułowanego polskiego zimowego olimpijczyka. Królowa nart najlepsze miejsce zajęła, startując wspólnie z Sylwią Jaśkowiec w sprincie drużynowym – dziewczyny były na mecie siódme. Poza tym dobrych rezultatów brakowało, a na swoim koronnym dystansie 30 km stylem klasycznym (złoto w Vancouver) Polka zajęła 14. pozycję. Justyna Kowalczyk tak komentowała swoje występy w Pyeongchangu: „Zrobiłam już wszystko, absolutnie wszystko, by biegać najlepiej, jak się da. Byłam bardziej profesjonalna niż kiedyś, gdy wygrywałam, i to nie dało spodziewanego efektu. [...] Po tych wszystkich perypetiach, które mi się przydarzyły, już nie wrócę na tamten poziom". Do historii przeszła natomiast wielka rywalka Polki, Marit Bjørgen, która dzięki zdobyciu pięciu medali, w tym dwóch złotych, została najbardziej utytułowanym zimowym olimpijczykiem w historii! Norweżka ma łącznie 15 medali, a osiem z nich wykonane jest z najcenniejszego kruszcu. Jej kolega z reprezentacji, Johannes Klæbo, zdobył w Pyeongchangu aż trzy złota, jednocześnie zostając najmłodszym w historii mistrzem olimpijskim w biegach.

Jak poszło naszym panczenistom na torze w Gangneung? Najlepsze okazały się dwa wyniki pań: dziewiąte miejsce Luizy Złotkowskiej w biegu masowym (rozgrywanym po raz pierwszy w historii igrzysk) oraz taka sama lokata Natalii Czerwonki na 1 500 m. Drużynowo Polki zajęły siódmą pozycję. Wśród panów nasza wielka nadzieja, choć bardziej wynikająca z gorących serc niż chłodnej głowy, złoty medalista z Soczi Zbigniew Bródka zajął 12. miejsce na 1 500 m. Nieźle zaprezentował się sprinter Artur Waś, który na 500 m był 13. Bródka dość wymownie odniósł się do swoich planów: „Dzisiaj się skończył pewien okres w moim życiu. Odnośnie do przygotowań do kolejnych igrzysk, będę podejmował decyzję po głębokich przemyśleniach i po tym, jak wyzdrowieję do końca. Zobaczymy, czy będę w stanie kontynuować karierę przez kolejne cztery lata". Oczywiście w panczenach najlepsi byli Holendrzy, a naszym zawodnikom wypada życzyć, aby niedawno oddany do użytku pierwszy kryty tor w Polsce znajdu-

eprasa.pl e12a91f2d0

Fot. PKOl

jący się w Tomaszowie Mazowieckim pozwolił na wychowanie kolejnego pokolenia szybkich łyżwiarzy, którzy za cztery lata powalczą o medale w Pekinie. W siostrzanym dla łyżwiarstwa szybkiego short tracku nasza trójka zaprezentowała się, oględnie mówiąc, nieźle, a miejsca Magdy Warakomskiej i Natalii Maliszewskiej w drugiej dziesiątce pozwalają z nadzieją patrzeć w przyszłość, bo obie zawodniczki są i młode, i utalentowane.

W kategoriach pozytywów można rozpatrywać postawę naszych biathlonistek. Monika Hojnisz najpierw zajęła świetne szóste miejsce w biegu masowym, a następnie z koleżankami była siódma na mecie sztafety. Przed ostatnią zmianą Polki zajmowały... pierwsze miejsce! Jednak ostatecznie skończyły na siódmym. Ciekawy wynik osiągnęła bobslejowa czwórka mężczyzn: biorąc pod uwagę, że debiutujący polscy miłośnicy zjazdów w rynnie muszą trenować w Niemczech, 13. pozycja jest bardzo dobra. Podobnie 12. lokata naszej dwójki saneczkarskiej mężczyzn czy ósme miejsce na mecie męskiej sztafety w tej samej dyscyplinie. Głośno było na igrzyskach o Mateuszu Sochowiczu, który przed swoim ślizgiem... zgubił maskę ochraniającą twarz i tor pokonał „na ślepo". Bobsleje, saneczki czy skeleton to sporty szalenie widowiskowe, więc liczymy na to, że w końcu w Polsce powstanie rynna z prawdziwego zdarzenia. Wielkich tradycji nie mamy w narciarstwie alpejskim, więc dobrym wynikiem były miejsca w trzeciej dziesiątce zjazdu, slalomu giganta i supergiganta Maryny Gąsienicy-Daniel, która najlepiej wypadła w superkombinacji (zjazd + slalom) – ukończyła ją na 16. pozycji. Dobrym prognostykiem są pozytywne rezultaty snowboardzistów w slalomie równoległym: Aleksandra Król osiągnęła 11. rezultat, a młody gniewny Oskar Kwiatkowski zajął 13. miejsce.

Do olimpijskich annałów przejdzie osiągnięcie Ester Ledecki z Czech: zawodniczka jako pierwsza kobieta w historii wygrała na jednych igrzyskach konkurencje w dwóch dyscyplinach: na nartach była najlepsza w supergigancie, a na desce – w slalomie równoległym. Wspaniałą historię napisała łyżwiarka z Rosji, Alina Zagitowa, która zdobyła złoto w kategorii solistek w wieku zaledwie 15 lat. Na wspaniałym poziomie stały zawody snowboardowe w halfpipe, które rozniesli Amerykanie: legendarny Shaun White i młodziutka Chloe Kim triumfowali, osiągając niemal idealne wyniki (prawie 100 pkt), podobnie jak ich rodak David Wise w halfpipe na nartach. W sportach drużynowych hokejowe złota zdobyły Amerykanki wśród pań i olimpijczycy z Rosji wśród panów, a w turnieju curlingowym najlepsi byli Amerykanie i Szwedki. Warto przypomnieć, że przed czterema laty wszystkie złote medale w hokeju i curlingu zdobyli Kanadyjczycy, którzy tym razem na najwyższym stopniu podium nie stanęli. Nie obyło się bez afery dopingowej, której bohaterem był (a jakże!) Rosjanin, Aleksander Kruszelnicki. Co ciekawe, przyjmujący niedozwolone meldonium zawodnik startował właśnie w... curlingu.

Reprezentacja Polski osiągnęła to, co mogła osiągnąć. Dwa krążki skoczków narciarskich mogą pozostawiać pewien niedosyt medalowy, ale tylko biorąc pod uwagę to, że to właśnie skoczkowie byli o krok od zwiększenia tego dorobku. W pozostałych konkurencjach po prostu nie mieliśmy przesłanek do tego, aby liczyć na miejsce na pudle. Za cztery lata w Pekinie może być zupełnie inaczej, bo w Pyeongchangu obserwowaliśmy młodych i perspektywicznych zawodników, który mają coraz lepsze warunki do treningów. Jak przekonuje Andrzej Kraśnicki, prezes PKOl: „Myśląc o Pekinie 2022, chciałbym być optymistą. Patrząc na wsparcie dla sportu, jakie ostatnio obserwujemy ze strony rządu, przy wsparciu sponsorów, możemy mieć nadzieję, że w Pekinie będziemy zadowoleni z sukcesów polskich sportowców".

I tego należy się trzymać. Gratulujemy skoczkom i wszystkim polskim olimpijczykom, a za cztery lata liczymy na jeszcze więcej.

Michał Muzyczuk

Cytaty pochodzą z serwisu PKOl

ORLEN
SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

PKN ORLEN
wspiera
Polską Reprezentację
Olimpijską

eprasa.pl e12a91f2d0

BEATA ŚCIBAKÓWNA AKTORKA

Nie mam genu gotowania

Przede wszystkim: nie cierpię gotować. Smak kojarzy mi się więc z tym, że trzeba coś w kuchni zrobić. A to nie sprawia mi przyjemności, bo nie mam genu gotowania. Nie przyrządzam, nie pitraszę, nie piekę. Jeśli nie muszę. Ale gdy jeżdżę po świecie, zawsze próbuję lokalnej kuchni.

Po tym, jak w Chicago zaproszono mnie do polskiej restauracji, poszukałam kulinarnej alternatywy. Znalazłam. Żeberka. Zrobione po amerykańsku. Wielkie, wołowe w sosie musztardowo-jakimś tam. Nie znam się na tym, jednak sos pasował znakomicie. Pamiętam, założyli mi fartuszek, żebym się nie pobrudziła, i zaczęła się uczta.

Niech pozostanie moją tajemnicą, co zostało na talerzu, ale od tamtego dania (nie tylko dnia) Chicago kojarzy mi się z żeberkami. Inne miejsca na świecie też mają kulinarne konotacje. Tajlandia to Pattaya i przepyszne curry. Brazylia – mięsa i jeszcze raz mięsa.

Nie zdarzyło mi się skosztować czegoś, czego świadomie, sama nie wybrałam. Zawsze chcę wiedzieć, co dostaję na talerzu. W Tajlandii, na jednej z ulic, widziałam mnóstwo tac z przeróżnymi insektami. Traktowanymi tam jak przekąski. Pająki, karaluchy, mrówki... Nie skusiłam się. Aż tak ekstremalna nie jestem.

Ślimaki czy żabie udka dziś już nie szokują. Są wpisane w europejską tradycję. Z dalszych podróży nie przypominam sobie jakiegoś kulinarnego szoku.

Za to w codziennych kontaktach w jedzeniu mam swoje antypatie.

Cebula, wątróbka, kokos... Nie akceptuję ich w żadnej postaci. Nie potrafię się przekonać nawet do zupy cebulowej, która podobno jest pyszna. Przy czym nie jest tak, że nie znam tego smaku. Starałam się do niego przekonać w różnych wersjach, w różnych miejscach. Nic z tego.

Nie jem także śledzi. Nawet na wigilię. Pewnie więc w nadchodzącym roku jedna przyjemność mnie omija. A może nie, bo rekompensuję sobie te śledzie innymi potrawami.

Dzieciństwo w kulinarnych wspomnieniach pachnie mi mlekiem. Takim od krowy. Kiedy się zagotowało, razem z babcią rzucałyśmy na nie kawałki ciasta. Takiego jak na kluski robione dawniej do rosołu czy innych potraw. To były spore płachty, które rwałyśmy na skrawki. Szybko się to gotowało i powstawało coś niewiarygodnego. Gorące trafiało do głębokiego talerza lub miseczki i jeszcze szybciej z nich znikało. To mój smak dzieciństwa. A jaki zapamięta Helenka...?

Na początku wspomniałam, że nie lubię gotować, ale jest parę rzeczy, które zrobić potrafię. To m.in. rosół. Gotowany z różnych mięs. Tak, jak należy. I chyba ten smak wyniesie z dzieciństwa moja córka. Pyszny, pachnący rosół. Bez cebuli [śmiech]. Z porem.

Notowała: ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Fot. Shutterstock, Kurnikowski/AKPA

Rosół prawdziwie domowy

przepis ze strony Durszlak.pl

Składniki: ok. 500 g różnych gatunków mięs (wołowe: szponder, mostek albo łata, drobiowe: podudzie z indyka, szyjka z indyka, kawałek kury wiejskiej); po 3 szt. wątróbki i żołądków drobiowych, 2 l zimnej wody, 2 nieduże marchewki, 1 pietruszka, kawałek selera (korzeń), liść lubczyku, listek laurowy, 2 ziarna ziela angielskiego, 4, 5 ziaren pieprzu czarnego, kilka kapeluszy suszonego prawdziwka, cebula, kawałek pora, niewielki kawałek główki kapusty włoskiej, sól.

Wykonanie: Oczyszczone mięsa i podroby zalej zimną wodą. Zagotuj, zbierz szumowiny, dodaj sól, listek laurowy, ziele angielskie i pieprz. Zmniejsz gaz. Po ok. 1/2 godziny dołóż warzywa (cebulę najpierw opiecz). Rosół niech „pyrka", aż mięso będzie miękkie. Chwilę przed końcem gotowania dodaj niewielką gałązkę lubczyku. Najlepiej smakuje z domowym makaronem, pokrojoną marchewką i posypany świeżymi listkami pietruszki.

eprasa.pl e12a91f2d0

SŁODKO-SŁONY

Ciasto z kartofla

ANNA MONICKA

W oczekiwaniu na pierwsze młode polskie ziemniaki potrenujmy trochę z odmianami późnymi, najlepiej nadającymi się na placki, pyzy, kopytka i wszelkie kluski, bo mają więcej skrobi niż młode i wodniste pyrki, którym nie trzeba niczego więcej niż koperek i parę wiórków masła, żeby człowiek zawieszał się z zachwytu nad talerzem.

Pochodzę z kartoflanego klanu, na zimę, bagatela, zamawialiśmy dwa metry ziemniaków na trzy osoby i w okolicach wiosny często mieliśmy pusto w piwnicy. Nigdy nie były tylko zapychaczem, nawet w czasach, gdy na półkach w DT Centrum stały wyłącznie sprowadzone z bratniej Afryki tam-tamy, suszone żółwie oraz nasza duma – ocet spirytusowy w szklanych półlitrówkach.

Tata robi boskie placki ziemniaczane, kluski śląskie z dziurką na sos oraz kluski kudłate. Mama – najlepsze kotlety świata, które podaje z rozmaitymi mięsnymi sosami, a gdy był grzybny rok, z gulaszem prawdziwkowo-podgrzybkowo-kurkowym lub sosem pieczarkowym. Na kotletowe wyżerki zjeżdżali do nas znajomi z całego miasta. Zobaczcie, jak to działa.

Przygotowanie jest banalne – przepuszczamy ziemniaki przez maszynkę lub praskę, doprawiamy solą, pieprzem, gałką muszkatołową i masłem, wbijamy kilka jajek (jedno-dwa na kilogram ziemniaków). Gdy jest za rzadkie, podsypujemy bułką tartą (wchłonie nadmiar wilgoci). Wyrabiamy i formujemy kulki, które później nożem spłaszczamy. Obtaczamy je w bułce i smażymy na maśle klarowanym na ciemnozłoty kolor. Ciasto można wzbogacić podduszonym porem lub cebulką, ale wtedy wątroba musi bardziej popracować.

Z podobnego ciasta można upiec przepyszne muffinki. Trzeba tylko dodać do przeciśniętych przez praskę ziemniaków trochę mąki, mleka, zmiażdżonego czosnku, oliwy oraz wyrazistego sera, np. bryndzy. Pieczemy w foremkach do babeczek i podajemy te wytrawne ciasteczka do sałatek czy zup.

Da się z niego upiec także placek. Ciastem wylepiamy dno i boki natłuszczonej i posypanej bułką tartą formy. Pieczemy przez kwadrans i na wierzch kładziemy dobrze odciśniętą i podduszoną z kminkiem oraz cebulką, a także kostkami boczku kapustę kwaszoną i nakrywamy plastrami gotowanych ziemniaków lub ciastem ziemniaczanym, posypujemy parmezanem i ziołami. Znów pieczemy i podajemy jako gwoździ programu na obiad.

Fot. Shutterstock

WINNICA MAZURKA

Marszałek lubi to

ROBERT MAZUREK

Ja wiem, że słowo Madera w tygodniku politycznym wywołuje uśmiech. I dobrze, niech uśmiech zostanie, choć dziś bardziej niż o Maderze pisać będziemy o maderze.

Rozróżnienie jest oczywiste: Madera to atlantycka wyspa (a właściwie mały archipelag) należąca do Portugalii, coraz popularniejszy kierunek wakacyjny Polaków. I pierwszym ze znanych amatorów wyspy wcale nie był pan Ryszard, ale marszałek Piłsudski, który dotarł tam dzień przed Wigilią 1930 r. i spędził trzy miesiące.

A madera to słodkie (lub półsłodkie) wino na wyspie produkowane. Początki były oczywiste – jak w wielu portowych miastach (Porto, Marsala, Malaga, Kadyks) na Maderze też zaopatrywano żeglarzy, zwłaszcza prujących po złoto wschodnich Indii (zanim się pokapowano, że to nie do końca Indie). Problem z winem był jednak taki, że nie znosiło ono dobrze długich podróży ani kołysania na łajbie. Co zrobić? Pomysł był prosty – tak jak porto i sherry należy wino wzmocnić, dodając okowity. Na Maderze zrobiono trochę inaczej i wino poddawane jest maderyzacji, czyli najpierw dodajemy brandy, a potem całość podgrzewamy.

Tak powstałe wino nie tylko w dobrej formie docierało do kolonii, lecz i dziś bije rekordy długowieczności. Sto, dwieście lat? Nie ma problemu, można w sklepie kupić. W sklepie warszawskim (znów Hala Gwardii) nabyłem dwie. Młodsza, pięcioletnia reserva, to wino wciąż żywe. Jak wszystkie madery nie bucha owocem, to raczej karmel z wiśnią w czekoladzie, ale z ładną, orzeźwiającą kwasowością. Niesłychanie przyjazne, pijalne wino, idealne do serów, ale i bez nich się obroni. Colheita 1998 to wyższa liga, pięknie zbalansowane wino. Mniej tu karmelu, więcej gorzkiej kawy, trochę orzechów. Rarytas, kupię drugą butelkę i wrzucę do piwnicy.

East India Madeira Reserva 5 YO
96 zł

East India Madeira Colheita 1998
189 zł

Atlantika.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl e12a91f2d0

Radżowie rządzą w Londynie

PIOTR SKWIECIŃSKI

Wielu ukraińskich intelektualistów budujących narodową tożsamość, przy tym przepełnionych ostatnio świeżym urazem wobec Polski, która w 2015 r. źle wybrała, a teraz czepia się ukraińskiej polityki historycznej, zamiast bez gadania spełniać jej postulaty, znalazło sobie nową mantrę. Mantrę tę skądinąd dzielą ze swoimi polskimi sojusznikami z kręgów radykalnie lewicowych, które radośnie poszukują sposobów dekonstruowania polskiego zadowolenia z własnej historii. To mantrowanie brzmi tak: Polska była kolonizatorem Ukrainy.

Mówiący o owym rzekomym kolonizatorstwie powołują się chętnie na Francuza Daniela Beauvois, ale intelektualnie daleko im do ich idola. Bo to prawdziwy historyk i bardzo zasłużony – opisał wiele przed nim nieznanych faktów, dotyczących dziejów Kresów południowo-wschodnich w XVII i XIX w. W tym tych dla Polaka przykrych, jak udział naszych tamtejszych bogatych rodaków w pozbawianiu szlachectwa (a więc w konsekwencji wypychaniu z polskości) rodaków uboższych. Pisał też o przerażającym okrucieństwie rządów polskich panów po ukraińskich wsiach.

Tylko że zupełnie nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy los chłopa etnicznie polskiego pod rządami polskiego pana był wtedy lepszy. Przecież nie był. To, co się działo, nie miało treści narodowej, ale wyłącznie społeczną. Było charakterystyczną cechą obszarów środkowo- i wschodnioeuropejskich, ogarniętych niegdyś przekleństwem koniunktury na zboże. Przekleństwem, bo stworzyło to gospodarkę monokulturową, plantatorską, antymodernizacyjną, opartą na darmowej sile roboczej, a przez to niesłychanie brutalną. Tyle że ta brutalność zwrócona była generalnie przeciw poddanym, bez różnicy językowej czy religijnej.

Sam Beauvois wzbrania się przed użyciem słowa „kolonializm". Jest na to za bardzo historykiem. Ale jego naśladowcy już raczej nie miewają takich skrupułów. A kiedy poczują polityczną motywację...

Tymczasem ten kolonializm to totalna bzdura (przepraszam, nie powinienem używać tak emocjonalnego języka, kajam się, ale sam jestem z wykształcenia historykiem i nóż mi się w kieszeni otwiera). Dlaczego? Nie, nie dlatego, żeby Polacy byli zawsze aniołami i wiecznymi, szlachetnymi ofiarami. I nie dlatego, żebym bardzo chciał ich bronić przed skojarzeniem z kolonializmem – nie uznaję tego zjawiska za równe Holokaustowi, za coś złego samo przez się, nie mam więc powodów oburzać się próbami „umoczenia" mojego narodu w ten fenomen. Idzie o to, że nawet ktoś, kto nie cierpi i kolonializmu, i Polaków, jeśli nie jest zarazem zupełnym ignorantem i nie chce być nieuczciwy, po prostu nie może twierdzić czegoś takiego.

Dlaczego? Choćby dlatego, że nie ma kolonializmu bez wcześniejszego podboju. A podboju jako takiego nie było. I nawet nie chodzi o to, że Rusi (a więc i dzisiejszej Ukrainy) nie podbijała Polska. Polska przejęła te tereny, wchodząc w unię z Litwą, ale również wcześniejszy litewski tzw. podbój Rusi nie był tym, co dziś kojarzyłoby się nam z tym słowem. Część księstw ruskich Litwini, owszem, zdobywali siłą, ale część zjednywali dyplomatycznie. Dla wielu książąt ruskich alternatywą były rządy Mongołów, przyjęcie zwierzchnictwa Gedymina jawiło się jako nieco atrakcyjniejsza perspektywa.

Gdy słyszę mantrę o polskim kolonializmie, mam ochotę...

Ci ruscy książęta i ruskie rycerstwo – i tu zaczyna się najważniejszy element sprawiający, że teoria o kolonializmie jest bałamutna – zachowali na tych terenach status warstwy rządzącej, równouprawnionej wobec etnicznych Litwinów. I przenieśli ten status do Rzeczpospolitej Obojga Narodów. A to, że się powoli katolicyzowali, w ślad za tym zaś polonizowali, to już inna sprawa. Kolonializm tak nie wyglądał.

Ba – odpowie niejeden zwolennik teorii kolonialnej – przecież w wielu koloniach państw europejskich zachowała się tubylcza warstwa rządząca, nawet arystokracja, a jednak były to klasyczne kolonie i nikt tego nie kwestionuje... To prawda. Tylko że owi maharadżowie z Indii czy wodzowie z kraju Zulusów mogli sobie współrządzić w swoich zakątkach Imperium Brytyjskiego, ale przecież nie w Londynie. A polonizujące się, potem zaś spolonizowane, możne rody ruskie (dziś uznano by je za ukraińskie) nie tylko współrządziły Rzeczpospolitą, lecz wręcz nią przecież trzęsły. Demolowały polską kulturę polityczną. I gdybyśmy chcieli się zachować ahistorycznie, to moglibyśmy oskarżyć obecnych Ukraińców, że to przez nich niegdyś straciliśmy niepodległość. Co byłoby oczywiście totalną bzdurą. Ale określanie polskiej obecności na terenach obecnej Ukrainy mianem kolonializmu (niektórzy idą dalej i używają nawet słowa „okupacja") jest bzdurą wcale nie mniejszego kalibru.

Dajmy więc spokój. Nie czyńmy z historii narzędzia w politycznych kampaniach. Bo takie narzędzie najpierw wydaje się wygodne i efektywne, ale kiedyś może eksplodować nam w dłoniach.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e12a91f2d0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Sylogizm III RP

Witold Gadowski

Bardzo lubię wiersz krakowskiego poety Andrzeja Bursy, w którym przeprowadza on dowód na to, że wychodek w nocnej tancbudzie jest ładny, ponieważ aby w nim zwymiotować, należy najpierw zapłacić za wódkę, natomiast zachód słońca wcale ładny nie jest, bo... nic nie kosztuje.

Przyglądając się dotychczasowym perypetiom III RP, można oczywiście dojść do najbardziej prostego wniosku, że jak ktoś się krzywy urodzi, to już prosty nie będzie.

Z takiego rozumowania nic jednak nie wynika dla codziennej praktyki naprawy powszechnego obyczaju i państwa. U podstaw III RP ukrywa się jednak jeszcze jeden, logicznie niebezpieczny wniosek, który mówi mniej więcej to samo, co uwagi Bursy na temat picia i wymiotowania.

Oto polityk, który kosztuje państwo spore pieniądze, jest sporo wart, a więc właściwie dla państwa polskiego staje się niezbędny. Im więcej kosztujesz, tym bardziej jesteś nieodzowny. Natomiast polityk – czasem i taki się trafia – który działa dla państwa społecznie, nie kradnie, dąży do oczyszczenia go z szumowin, jest właściwie bezwartościowy jak... zachód słońca.

Leszek Balcerowicz, który spowodował ogromne straty nie tylko dla obywateli, lecz także dla naszej gospodarki narodowej, w opiniach tzw. fachowców wynoszony jest pod niebiosa. Jerzy Owsiak, którego akcje – per saldo – kosztują więcej, niż przynoszą, jest uważany niemal za personę świętą i niedotykalną, a już taki Mariusz Kamiński, założyciel CBA, dziś człowiek odpowiadający za tajne służby, nie tylko nic spektakularnie nie ukradł, lecz nawet nie poszastał publicznym groszem, zatem – w myśl wywodu, który nazwałem „sylogizmem III RP" – właściwie nie jest wartościowy dla państwa.

W naszej polityce zachodzi bowiem niebywała symetria logiczna: jeśli ukradniesz tyle, że przeciętnemu Kowalskiemu nie pomieści się to w jego porządnej łepetynie, to właściwie państwo uzależnione jest od ciebie, nikt cię nie dotknie, nikt nie wskaże palcem. Masz bowiem tyle w kieszeni, że każdego, kto ledwie koso na ciebie spojrzy, natychmiast otoczysz sforą prawników, którzy zrobią z niego przestępcę i finalnie puszczą go z torbami. Tak, tak, krzywy nie stanie się nagle prosty. Jest jednak dalsza część tej ludowej obserwacji: co prawda krzywy już się nie wyprostuje, ale zawsze może mieć proste dzieci i trudno mieć mu to za złe.

Znajdujemy się w momencie, gdy musimy podjąć działania, aby nawet u najgorszych łachudrów doprowadzić do jakiego takiego procesu socjalizacji ich potomstwa – socjalizacji z polskim interesem. To banał, ale musimy przeciągnąć ich na polską stronę, wiązać w sieci zachowań przyzwoitych, wraz z nimi odbudowywać standardy życia publicznego.

Fundament

Lech Makowiecki

Spowiedź Wyklętego
Wiersz o mordzie założycielskim PRL

W dzień mojej śmierci, sam z myślami swymi,
W pełni świadomy przypisanych win,
Chcę wyspowiadać się przed potomnymi,
Ja – prosty żołnierz, polskiej ziemi syn...
Mówię do sędziów splamionych czerwienią:
Zbrodniarze w togach – w twarz śmieję się wam!
I żadna kara już mnie nie odmieni.
Ja wasze sądy w pogardzie dziś mam...
Wina to wielka – miłość do Ojczyzny...
Jestem Polakiem! Nie zmienicie mnie.
Zbrodnią mą – wiara. Korzyściami – blizny.
Wolności mojej nie wyrzeknę się...
I nie potrafię wyzuć się z honoru,
Swego sumienia – jak wy – wódką spić.
Bo mi Dekalog nie daje wyboru,
Przesłanie ojców mówi mi, jak żyć...
Nic nie pomogły tortury do rana;
Ciało zhańbione, a duch z katów drwi!
Wybite zęby, paznokcie zerwane,
Lecz Polak hardy wciąż w mym ciele tkwi...
Grzechy czas wyznać (uczynkiem i myślą).
Ubecjo! Ciężki miałaś ze mną chleb...
Wiem, nie rokuję poprawy na przyszłość!
Wyrok jest jeden: kula prosto w łeb...
Odchodzę cicho, lecz moje przesłanie
Będzie jak źródło prawdy dalej bić;
Gdy zdrajca sędzią, katem zaś zaprzaniec,
Bandytą musi patriota być!
Więc mnie oskarżcie o faszyzm i zdradę!
Zabijcie nocą strzałem w głowy tył!
Wrzućcie do dołu! Idźcie na paradę
Fetować pogrzeb Narodowych Sił...
Lecz nie strujecie wszystkich jadem wężym,
Choćby minęło nawet i sto lat.
Wolność wybuchnie. I Polska zwycięży,
A hańbę waszą pozna cały świat...
(z tomiku „Ja tu zostaję")

eprasa.pl e12a91f2d0

PRZEZ ŚWIETLIK

Niech się pali

Kryzys wzmocnił Morawieckiego. Pokazał męża stanu. Niekwestionowanego przywódcę. Przeczytałem w ciągu ostatnich dni kilka podobnych komentarzy padających nawet ze strony osób umiarkowanie premierowi chętnych. Szkoda, że tak mało mamy refleksji nad tym, co się stało i co do tego kryzysu doprowadziło. Mateusz Morawiecki rzeczywiście ugania się jak strażak Sam, problem w tym, że dość często gasi pożary, których wcześniej jeśli nie rozpalili, to ich nie dopilnowali jego rozmaici polityczni partnerzy z prawej strony.

Zresztą z partnerami jak to z partnerami. Była taka anegdotka, jak do Winstona Churchilla podszedł w brytyjskim parlamencie młodszy z posłów i zapytał: „Panie premierze, dobrze przywaliłem naszym wrogom?". „Synu – odparł Churchill – ci z drugiej strony to przeciwnicy, wrogowie siedzą dookoła ciebie". Czyli jak miał mawiać stary, dobry kardynał Richelieu, „strzeż mnie, Panie, od przyjaciół..." Niestety potwierdzenie tej zasady widać na każdym kroku.

Owszem, w obecnym kryzysie premier pokazał się z bardzo dobrej strony. Wolałbym jednak, by mógł to robić w innych okolicznościach

Bo co do nieprzyjaciół wszystko wiadomo. Ot, taka Anne Applebaum. Żona najładniejszego męża świata orzekła, że polska pierwsza dama ukrywa swoje żydowskie pochodzenie. Wydawałoby się, że rodowód Kornhauserów i ich zasługi dla Polski są dość znane. Jednak mamy nowy, olimpijski poziom organizowanego plucia na polskie społeczeństwo, gdzie dokonywane są wciąż nowe odkrycia. To ostatnie mówi, że nawet Żydówka, jak się z nadwiślańską dziczą zada, to się w antysemicką dzicz zamienia. Wszystko to wiemy i od dwóch lat przerabiamy także na gruncie krajowym, który dla części braci Polaków nie jest godny ich stóp. Nie po raz pierwszy w historii mamy do czynienia z takimi kosmopolitami. W końcu nawet w modnej ostatnio za sprawą Cherezińskiej i „Korony królów" historii piastowskiej ciągle się pojawiał jakiś odrzucony Otto, Zbigniew lub Władysław, który – jak mu się w kraju koło czterech liter paliło – leciał do Niemców po interwencję i tłumaczył, że tylko wdraża należyte procedury prawne.

Zastanawiające jednak, czy tylko tacy trafią do piekła, a nie także tacy, tym razem „przyjaciele", którzy niekiedy mają piękne intencje zdecydowanie przekraczające ich mądrość. A czasem po prostu także kierujący się doraźnym rachunkiem politycznym. Zostawiając na boku spór, czy kwestię „polskich obozów" należało rozwiązać w ten czy inny sposób, to ciekawe jest, nie tylko jak to się stało, że po tym wybuchła niezbyt korzystna dla nas afera, może tak musiało być i taka jest cena prawdy. Lecz ciekawsze jest to, że okazaliśmy się na to nieprzygotowani. Jest jakaś fundacja z gigantycznym budżetem i osiągami propagandowymi dalekimi od poziomu przeciętnego internetowego trolla. Polskie placówki dyplomatyczne reagują rachitycznie, a w dodatku nie brakuje takich polityków, którzy stwierdzają, że nasze słuszne racje wystarczą, bo sama racja wystarczy.

Żeby było jasne. Jest źle i było źle. Nie wiem, dlaczego polskie państwo nie wytaczało do tej pory dziennikarzom piszącym o „polskich obozach" procesów cywilnych, domagając się bardzo wysokich odszkodowań. Nie za straty moralne, ale straty finansowe płynące ze złego wizerunku. Dlaczego nikt nie pracuje nad poprawianiem haseł w anglojęzycznej Wikipedii? Czemu wspierając finansowo różne instytucje zajmujące się polsko-żydowską historią, nie zagwarantowaliśmy sobie prawa, by zasiadali w nich wiarygodni badacze o różnorodnych poglądach? Tego nie było, a dziś zamiast reakcji mamy często z jednej strony chór kandydatów na zdrajców, a z drugiej rączą nieudolność i lenistwo maskowane tanim populizmem.

Podsumowując – owszem, tak, w obecnym kryzysie premier pokazał się z bardzo dobrej strony. Wolałbym jednak, by mógł to robić w innych okolicznościach. A przede wszystkim, by inicjatorzy akcji, takich jak zmiany w ustawie o IPN, byli przygotowani na skutki. Byli w stanie odeprzeć ewentualny atak i go przewidywali. A nie chowali się już potem tylko za plecami kogoś w rodzaju Mateusza Morawieckiego. Co prawda strażacy rzadko gaszą pożar, który sami zaprószyli, ale i w życiu, i w polityce lepiej przede wszystkim kontrolować ogień.

Wiktor Świetlik
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl e12a91f2d0

Cumulonimbus calvus

Aleksander Nalaskowski

W retoryce sporów, które ożywiają pole debaty publicznej, jest kilka elementów, które muszą zastanawiać. Jednym z nich jest niemal zgodne przekonanie, że wojny przychodzą do nas jak deszcz albo grad. A my na owo zjawisko nie mamy wpływu. Tak też stajemy się zakładnikami tego (o)błędu. Chociażby w rozmowach o II wojnie światowej. Jawi się więc ona jako nieuchronna jak klęska żywiołowa. W tym znaczeniu używamy określenia „naziści", a więc nie Niemcy. Niemcy jako tacy ulegli pochodzącemu z przyrody czy natury złu nazizmu. Był on tak mocny, że nie mieli wyboru. Otóż – mieli wybór. Bo zło nie pochodzi z przyrody czy kosmosu, ale rodzi się w ludzkiej woli. Aby robić zło – trzeba chcieć je robić. Nazizm był wyborem Niemców w 1933 r., a nie deszczem meteorytów, który na nich spadł. Był wyborem demokratycznym i przez to poddali mu się w swojej masie. W konsekwencji II wojna nie była przyrodniczym tornado, ale ludzkim wyborem. Aktem woli, a nie trzęsieniem ziemi.

Rozliczamy podłych, ale zapominamy o tych, którzy tę przestrzeń podłości na oścież otworzyli

Rozliczamy dziś tych, którzy mordowali innych, mordowali siebie nawzajem, donosili do gestapo, NKWD i judenratów. Bo niegodnie się zachowali. Ale właśnie, wobec czego? Burzy? Zamieci śnieżnej? Grawitacji? Zatem wojna była złem obiektywnie koniecznym i nieuniknionym, oczywistym, a zatem nie można jej oceniać, jak nie można oceniać promieniowania kosmicznego? Trzeba rozliczać tylko ofiary wojny? A ściślej to, jak się one zachowały wzajem siebie wobec tego „naturalnego" zagrożenia. Niemcy byli, jacy byli, bo już tak mają? Z naturą nie wygrasz? W ten sposób uznajemy, że wojna była czymś naturalnym (nie oznacza oczywistym), wynikającym z praw, na które nie mamy wpływu. Patrzymy, czy załoga okrętu zachowywała się fair wobec siebie, bo przyjęliśmy, że sztorm po prostu był i kropka.

Rozliczamy podłych, ale zapominamy o tych, którzy tę przestrzeń podłości na oścież otworzyli. Rozliczamy polskich szmalcowników, ale to, że to Niemcy tych „wyszmelcowanych" Żydów mordowali, jakoś nam umyka. Skądinąd zaraz się dowiemy, że tych szmalcowników było więcej niż wszystkich żyjących wówczas Polaków. Ta liczba wszak wciąż się medialnie rozrasta. Nie rozliczamy Żydów donoszących na współbraci, bo żydowskiego zaszczucia nie da się rozliczyć. Byli wszak zdesperowani. Ale co innego Polacy. Tych rozliczyć trzeba, bo wojna była dla nich nieledwie harcerską przygodą. Zapominamy jednak, kto spuszczał bestie ze smyczy. Kto szczuł. Ale cóż, to było jak grawitacja albo śnieg. Z kosmosu. Złorzeczymy kanaliom z tego czy tamtego getta, ale to, że getta w ogóle utworzono, to działanie praw natury. Kilku oprawców osądziliśmy w Norymberdze, kilku ściągnęliśmy z Argentyny, kilku pomogło przy konstruowaniu rakiet kosmicznych, kilku odsiedziało wyroki. Niemcy rozliczone, garstka ukarana. Teraz więc podzielimy ofiary na gatunki i każdemu dołożymy.

Niemcy marzyli o germańskim nadczłowieku. Uznali siebie za naród panów. Żydzi uznali siebie za nadofiary. A wobec tego, że dotychczasowa religia im się nie sprawdziła i Jahwe był zbyt wymagający, to wymyślili nową. To faktycznie naród wybrany. Życie jednego Żyda, który zginął w komorze gazowej, jest cenniejsze od życia Polaka, Cygana, Rosjanina, których zagazowano zaraz po nim? I nikomu nie wolno z tym dyskutować. A zwłaszcza o tym, kto do cholery te komory wymyślił i kazał budować obozy! To już przecież rozliczone. Poza tym to przyroda, na którą nie mieliśmy wpływu.

A czy Auschwitz, komory, Zagłada, aleja Szucha w jej niesławie, deportacje, ściana straceń, Jedwabne, masakra Woli, śmierć Baczyńskiego, Maksymilian Kolbe i Wincenty Frelichowski, szmalcowanie, gruzy Warszawy, tragedia Kresów Wschodnich, 17 września i inne hektolitry krwi zdarzyłyby się, gdyby nie wojna? A kto wywołał wojnę? Cumulonimbus calvus, do diabła?!

Efektem tej wojny jest nowa Świątynia Salomona – Yad Vashem. Tam drzewka oznaczają ludzi. Byłem, widziałem. To miejsce pamięci męczeństwa jednego narodu (bo to było męczeństwo i niesłychana zbrodnia) i chwały jednostek. Nie ma tam Żegoty, Frontu Odrodzenia Polski, rządu emigracyjnego, ale tylko poszczególni ich członkowie, nie ma Polskiego Państwa Podziemnego, ale tylko jednostkowi jego bohaterowie. Jeśli szmalcowali, to Polacy, a jeśli pomagali, to Kowalscy. Ratujący Żydów nie działali nigdy w porozumieniu, ale tylko pojedynczo i nielicznie? Dlatego zapewne Instytut Yad Vashem nie może przypominać kniei.

Jest i medal – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Czyli „jeden sprawiedliwy człowiek wśród wyłącznie niesprawiedliwych całych narodów"? Tylko jeden naród w całości może być sprawiedliwy, a w pozostałych sprawiedliwe mogą być ledwie jednostki. Bo wskazując wybranych, pokazujemy także całą resztę. Uważnie się wsłuchajcie, to tak właśnie brzmi. Tak właśnie.

eprasa.pl e12a91f2d0

ROBERT MAZUREK

Annuszka kupiła olej

Państwo powinno być skromne, zwłaszcza takie jak nasze – państwo obywateli na dorobku. Ale żadne państwo nie może być dziadowskie

Nikt im nie współczuje. Bo też kiedy polityk wpada w sidła własnych obietnic albo – co równie częste – pada ofiarą własnych srogich filipik, raczej wzbudza wesołość tłumu. Takoż stało się i teraz z ekipą dobrej zmiany, która nie szczędziła razów rozpasanemu reżimowi poprzedniemu, a sama sobie po cichu przyznała premie. Wydało się i dalejże się głupio tłumaczyć, motać, kręcić zawstydzona lekko. Ale wszystko na nic, bo szlachetny poseł Brejza z Platformy w swym uniesieniu miota już oskarżenia, nie wiedząc, biedaczysko, że kopie dołek, w który jego kompani wpadną. Tak, Annuszka już kupiła olej słonecznikowy, panie pośle, jeśli wie pan, o czym mówię.

Bo prędzej czy później i ekipa naszego Savonaroli z problemami z trądzikiem obejmie władzę. I stanie przed znanym sobie (vide nagrania z minister Bieńkowską) dylematem: jak za grosze znaleźć wiceministrów. Piszę „grosze", bo te sześć tysięcy na rękę dla kogoś, kto miałby sprowadzić do stolicy (koszty życia!) rodzinę, wynająć mieszkanie i się utrzymać, to naprawdę nie są żadne kokosy. Zwłaszcza jeśli jeszcze niestary jest i dzieci na utrzymaniu ma, i kredyt mieszkaniowy, i takie tam.

A przecież podnieść pensji nie można, bo opozycja, bo tabloidy, bo media. Żyjemy więc w uroczej hipokryzji, którą od czasu do czasu łatamy nagrodami. Oczywiście dopóki się nie wyda. Ponieważ moja osoba pisze o tym od zawsze, to napiszę raz jeszcze: politycy w Polsce powinni zarabiać więcej. Na początek dwa razy tyle. Posłowie powinni mieć poważne biura poselskie z porządnie opłacanymi asystentami i ekspertami, a sami parlamentarzyści powinni zarabiać godnie. Kropka.

A teraz pozorna zmiana tematu. To była połowa lat 60., amerykański prezydent Lyndon Johnson rozpoczyna ambitny program walki z ubóstwem (Wielkie Społeczeństwo), a tu jeszcze wojna w Wietnamie i kasa zaczyna świecić pustkami. Johnson na znak solidarności z tymi, którzy zaciskają pasa, każe wygasić podświetlenie Białego Domu. Oszczędności są oczywiście niewielkie, ktoś mógłby więc mówić o hipokryzji, ale chodzi o symbol.

Tego mi w Polsce brakuje. I nawet nie chodzi o symbole, ale o takie myślenie. Państwo nie tylko może, lecz i powinno być skromne. Pamiętają państwo zaprzysiężenie gabinetu Morawieckiego? Ministrowie spod Pałacu Prezydenckiego wyjechali na posiedzenie rządu autobusem. Bo oszczędnie. A za nim, patataj, wszystkie ministerialne limuzyny, które ich tam przywiozły. Puste, bo przecież ekscelencja minister w busie pod czujnym okiem kamer. Więc nie, nie o takie szopki mnie chodzi.

Ale już pytanie, czy każdy resort musi utrzymywać flotyllę limuzyn, jest całkiem zasadne. Bo co by się stało z majestatem Rzeczypospolitej, gdyby wiceminister środowiska do Sejmu, na spotkanie w kancelarii premiera czy nawet otwarcie oczyszczalni w Białej Podlaskiej pojechał taksówką? I przecież nie każę mu wsiadać w najtańszego ubera! Duże firmy podpisują umowy z korporacjami taksówkowymi, rozliczają się ze zniżką i wszyscy są zadowoleni. Te taksówki to tylko symbol, ale ważny, i naprawdę myślę, że do wprowadzenia od zaraz. Podobnych oszczędności i rezygnacji z tego pseudo-Bizancjum, które sobie politycy za pieniądze podatnika fundują, powinno być więcej.

A teraz połączmy pierwsze z drugim, czyli apel o radykalną podwyżkę pensji polityków z równie stanowczym wezwaniem do oszczędzania i poskramiania wielkopańskich zachcianek. Sprzeczności w tym nie widzę, bo państwo może i powinno być skromne, zwłaszcza takie jak nasze – państwo obywateli na dorobku. Ale żadne państwo nie może być dziadowskie. Nie ma co oszczędzać na prezydenckich samolotach, pensjach dla najlepszych fachowców, promowaniu Polski za granicą czy na stypendiach dla naukowców.

To się więc da połączyć, ale do podwyżki pensji przy jednoczesnej rezygnacji ze wszystkich tych lipnych nagród trzeba odwagi. A do wprowadzenia oszczędności – pomyślunku i ciut szerszych horyzontów. Pytanie, czy da się te dwie cechy naraz znaleźć u kogokolwiek z rządzących, pozostaje otwarte.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

Demon Platformy

Jerzy Jachowicz

Dwa dni po konwencji Platformy Obywatelskiej, a więc niecały tydzień temu, zapadła nieodwołalna decyzja. Podjęta w tajemnicy przed całym światem. Jej finał nastąpił w pierwszą sobotę marca 2018 r. Czy będzie to przełomowa data w dziejach PO?

Spory wokół tej decyzji niemal nie doprowadziły do rozłamu partii. „Młode wilki" prowadzone przez Joannę Muchę i Sławomira Nitrasa postawiły ultimatum starej gwardii PO pod przywództwem Sławomira Neumanna i Rafała Grupińskiego, zwanych przez młodych „wapniakami": – Albo przyjmiecie naszą propozycję, albo się rozstajemy. Nie możemy być zakładnikami demona, który usadowił się w naszym liderze.

Ostatnim zdaniem uchyliłem rąbka skrywanej tajemnicy. Oto jej pełna historia. Zaraz po przegranych wyborach przez PO zauważono u lidera partii Grzegorza Schetyny niepokojące objawy. Początkowo wydawało się czymś naturalnym, że w wystąpieniach publicznych wylewała się z niego fala niechęci wobec Jarosława Kaczyńskiego i jego ostra krytyka. Był wszak osobą, która doprowadziła do zwycięstwa PiS, co było równoznaczne z czymś okropnie się kojarzącym – z klęską Platformy. Minęło jednak półtora roku, a Schetyna również w życiu prywatnym doszukiwał się we wszystkim zgubnego wpływu Jarosława Kaczyńskiego. Wtedy namówiono lidera PO na seanse psychoterapii, których celem było wyeliminowanie objawów niegroźnej manii. Kiedy trwające rok wizyty u terapeuty nie przyniosły poprawy, zasięgnięto porady zlaicyzowanego duchownego dostojnika, bliskiego rodzinie. Już podczas pierwszej z nim rozmowy o problemach Schetyny padła diagnoza: „Opętany przez demona". Podobno przeważyła relacja żony lidera PO Kaliny, która opowiedziała, że jej mąż podczas snu, często jak lunatyk siada przy stole i mówi: „Pani Basiu, nikogo nie przyjmuję", albo: „Proszę połączyć mnie z Brudzińskim".

W sobotę wieczorem wokół willi Schetyny czuć było woń kadzideł po odbytych egzorcyzmach uwolnienia gospodarza od „złego ducha Kaczyńskiego". Ich rezultat poznamy już wkrótce – podczas posiedzenia gabinetu cieni Platformy.

CO MNIE ZADZIWIA

Roztargniony

Katarzyna Łaniewska

To nie jest tytuł przedwojennej komedii filmowej. Rzecz się dzieje tu i teraz. Miejsce akcji – stacja benzynowa.

Poznałam już sędziego „uczynnego". Sędziego na telefon. Również sędziego, którego można nazwać wiercipiętą. Wiercił się on na swoim sędziowskim fotelu, szukając wygodnej pozycji. A może ten fotel go po prostu palił? Bawił się również ciężkim i złotym łańcuchem sędziowskim zakończonym orłem w koronie, jakby mu zawadzał. W ten sposób ferował wyroki.

Dała się także poznać wybitna sędzia, która twierdziła, że nie bierze udziału w żadnego rodzaju protestach, a potem na nich się znalazła. Przyszła, stanęła i trzymała zapaloną świeczkę, bo było ciemno. Nie przemawiała, ale dziękowała kolegom, że się tam znaleźli.

A teraz... teraz nadarza się sędzia roztargniony. Zaczęło się od tego, że płacił na stacji benzynowej, co nagrała kamera monitoringu. Pani położyła banknot 50 zł na ladzie. Sędzia go zwinął i zagarnął, no tak mówiąc dosadnie: ukradł. Schował do kieszeni i się oddalił. Sądzony w pierwszej instancji został oceniony słusznie, że kradnąc nawet 50 zł, nie można wydawać wyroków. Został odsunięty od wykonywania zawodu. Odwołał się od tej „krzywdzącej decyzji". Stanął przed nowym sądem. Pokazano nam w telewizji, jak sądzony sędzia zeznawał i szlochał, że jego dzieci płaczą w domu i nie będzie miał ich czym nakarmić. Sędziowie stwierdzili, że był roztargniony. Tak dalece, że – jak stwierdził jego obrońca – spóźnił się na rozprawę. Obrońca też szlochał. Zapytany, o co wnioskuje, wyszlochał, że o uniewinnienie. I sędziowie posłuchali. Zlitowali się nad tymi dwoma szlochającymi kolegami i stwierdzili roztargnienie. Zwinął i zabrał przez nieporozumienie.

Zaczęłam się zastanawiać, co się stanie, gdy uniewinniony, roztargniony sędzia zasiądzie za stołem sędziowskim i w powadze sprawiedliwości będzie sądził. Czy przez swoje roztargnienie każe niewinnego człowieka zamknąć do więzienia? A zbrodniarza oczyści i wypuści na wolność? Co ma ten niewinny i skazany zrobić? Rozpłakać się? Tylko czy to by mu pomogło, bo on nie jest sędzią. Wydawałoby się, że to śmieszne. Ale to jest prawdziwe. Dziwna ta specjalna sędziowska kasta.

eprasa.pl e12a91f2d0

TRENDY I OWĘDY

65 tys. premii

Taka kwota dla premier Beaty Szydło wzbudziła w internecie dyskusję fermentalną

Ryszard Makowski

Decyzję o wypłacie 65 tys. zł »nagrody« dla Beaty Szydło podjęła Beata Szydło" – obwieścił triumfalnie na TT Krzysztof Brejza z partii czystych rąk, czyli PO. Tę niezwykle cenną informację uzyskał w odpowiedzi na własną interpelację poselską. „Rzeczpospolita", gazeta ukradziona nocą przy śmietniku Rzeczypospolitej, nazwała tę kwotę „niebagatelną". Co Rafał Ziemkiewicz skwitował przytomnie: „Niebagatelną? Za rok pracy na stanowisku premiera wzięła 1/3 mniej, niż PO dawała Lisowi za jeden program".

Sednem sprawy jest pakiet. Kto ma przyznać premię premierowi, kiedy to jest najwyższe administracyjne stanowisko w państwie? Jakiż to polityczny pomyślunek miał ten poseł, żeby tak sprytnie przyszpilić PiS. No miszcz nad miszcze. Kasę, naszą publiczną, rozdrapują! Ile by to emerytur było? No właśnie, policzmy. Gdyby nie PiS, to takich lepszych ubecko-generalskich? Ze cztery, pięć... może sześć? 65 tys. zł to spora kwota, ale gdy sobie uświadomić, że gdyby nie ten rząd, byłoby nadal 60 mld strat rocznie na VAT, byłyby rozgrabione kamienice w Warszawie, sprzedane lasy, przetracony LOT, KGHM i nabyte za grube miliardy caracale, śmigłowce typu uziemionego. W tym kontekście 65 tys. jako premia roczna (!) to nie jest zawrotna suma.

Dla uspokojenia emocji posła Brejzy warto dodać, że jego partyjni ziomkowie na fuchach europosłów biorą za zdradę Polski ok. 70 tys. Miesięcznie.

eprasa.pl e12a91f2d0

***Zawistowski prezentuje:* Degradacja**

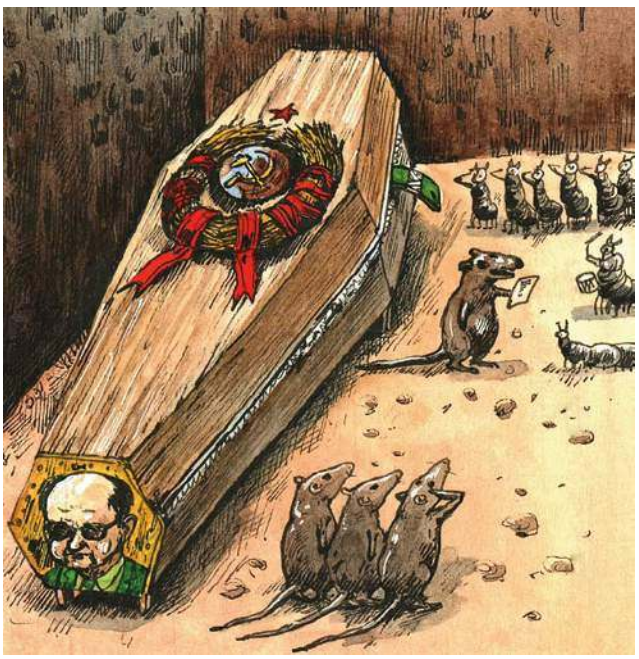

Wycinki z przeszłości

Niedaleko gmachów sejmowych w Warszawie, na skwerze przy ul. Frascati, stoi do dziś wzruszający pomnik płk. Francesca Nulla. W tygodniku „Na Szerokim Świecie" z 2 marca 1939 r. znaleźliśmy opis jego odsłonięcia. „Trzy ćwierci wieku przeszło upłynęło, gdy na wieść o powstaniu styczniowym w Polsce wśród innych ochotników pośpieszyło na pomoc »polskiej rewolucji« także 26 Włochów, którym przewodził Franciszek Nullo z okolicy Bergamo w Lombardji, który był bohaterem niedawnego włoskiego powstania narodowego. Do partji [oddziałów powstańczych] dotarło zaledwie 17.

Nulla i garstkę jego towarzyszy wiodła potrzeba walki o wolność i sympatia dla narodu ujarzmionego i uciśnionego.

Zginął w niefortunnej a krwawej bitwie pod Krzykawką w Kieleckiem, na trzeci dzień po tym, jak dotarł do oddziału powstańczego. Niemniej ofiara jego była dla Polski takiej samej ceny, jak gdyby płk Nullo zdołał w Powstaniu największych czynów dokonać.

Piękny to gest, że miasto Bergamo uczciło swego bohaterskiego syna pomnikiem, dla Polski przeznaczonym, i że burmistrz miasta Bergamo przybył do Warszawy na jego odsłonięcie".

Z ciekawostek: także hrabia Galeazzo Ciano, ówczesny minister spraw zagranicznych Włoch, wziął udział w uroczystości i późniejszym bankiecie. Pomnik przetrwał wojnę lekko uszkodzony, a w 1949 r., po restauracji, stanął ponownie.

(mk)

Odsłonięcie pomnika płk. Nullo w Warszawie — pośrodku widoczny przed wieńcami min. Ciano, który dokonał odsłonięcia.

Malowanie w Kazimierzu

Leszek Długosz

W Kazimierzu, Panie Dzieju, cały czas
Coś się dzieje
– Zmiany!
Pan patrzy – przedtem spichlerze kramy
galary
Teraz – dyskonty puby gallery
Patrzaj pan dobrze, mówię panu
– Tutaj patrzenie może być w cenie!

Te kawiarenki atelier kioski
Drzwi w drzwi (szyld w szyld)
Konkurencyjnie
– To jak sklepiki niegdyś żydowskie?
Wstąp do mnie, tanio!
Jedno przez drugie, nad trzecim woła
–Żółć przez amarant, czarne na białym
Trójkąt nad rombem, kreska przy plamie
– Tu pędzel sławny
– Znana paleta tam się poleca!
– U mnie lepsze widoki
– Rynek w czterech porach roku!
Fara na tle nieba – czysty renesans!
Monopolista od nabrzeża Wisły
– Blisko!
Widok z lotu ptaka o dwa kroki!
Ujęcie w stronę Janowca w sąsiedniej bramie!
– Psy koty dachy owoce kwiaty duchy księżyce...
Akty krąglejsze i strzeliste!
Moderna nieco przetrącona
Siódma pierś pośród czoła
Trzecia płeć
Byk Starowiejski bez ogona!
Kaczka i flaszka
W zalewie mocno procentowym
– Gwarantowana martwa natura
Post Malewicza czarna dziura

Żydzi Cyganki Ormianie
Na Małym Rynku
Panie kazimierskie i turystyczne
Secesyjny wystrój
Na gruncie tutejszym i na umkliwej czasu
Tapecie
Pod Kazimierskim niebem
– Życie malowane
–Taniej w całości, drożej na raty!
Pastisz duplikat
Oryginał jak świat, śmierć albo życie?

Patrzysz i widzisz
– Albo nie widzisz
Taki tu zwyczaj:
– Sztuka i sztuka życia w jedno
Złączone
Trochę sprzedane
Trochę kupione

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl e12a91f2d0

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Neuroautorytaryzm

Tak, proszę państwa, napisaliśmy „neuro-", nie zaś neoautorytaryzm.

„Neoautorytaryzm" to określenie, które niedawno zyskało w Polsce nowe życie dzięki głośnym, przeprowadzonym w jednym z miast Mazowsza badaniom zespołu dr. hab. Macieja Gduli. Skomentowaliśmy już te badania dla portalu Gazeta.pl, tu zaś skupimy się na problemie autorytaryzmu – ale w sensie znacznie ogólniejszym niż ten przypisywany obecnej ekipie rządzącej Polską.

FUNDAMENTALIZM DEMOKRATYCZNY

Zaliczamy się do tych obserwatorów współczesnego świata, którzy pochopnie nie odrzucają myśli, że wśród głębszych, na pierwszy rzut oka niewidocznych przyczyn kryzysu, jaki dziś przechodzi cywilizacja Zachodu, jest silna wśród liberalnych elit postawa fundamentalizmu demokratycznego.

Postawa ta zakłada, że demokratyczny ład jest zawsze lepszy od jakiejkolwiek formy autorytaryzmu. To właśnie zgodnie z doktryną demokratycznego fundamentalizmu Zachód radośnie przyjął tzw. wiosnę arabską i militarnie przyłączył się do obalenia Muammara Kaddafiego, który ponad 40 lat był dyktatorem Libii. Tymczasem dzisiaj nie ma już wątpliwości, że liczba ofiar imigrantów, których pochłonęło Morze Śródziemne, wielokrotnie przekracza liczbę ofiar autorytarnych rządów Kaddafiego i innych opresyjnych reżimów północnej Afryki razem wziętych. Nie mówiąc już, jak bardzo kryzys migracyjny nadwątlił projekt „Europa".

Wielu fundamentalistycznym entuzjastom demokracji trudno jest przyjąć do wiadomości, że może istnieć coś znacznie gorszego od władzy tyrana

WOJOWNICZA IDEOLOGIA

W podobnym kontekście wybitny brytyjski filozof John Gray pisał o niebezpieczeństwach, jakie przyniosła ewolucja myśli liberalnej, która zaowocowała „wojowniczą ideologią praw człowieka". Ideologia ta zakłada, że nasza wizja praw człowieka, uformowana i wcielana w życie w niektórych krajach Zachodu, ma wartość uniwersalną. A zatem powinniśmy wizję tę (np. prawo człowieka do „wyzwalania" się z opresyjnych tożsamości kulturowych, czyli np. swobodnego wyboru tożsamości płciowej) eksportować, gdzie tylko się da. Zdaniem Graya „praw człowieka nie można narzucić społeczeństwom, które nigdy ich nie zaznały i których większość może sobie ich nie życzyć".

Gray twierdzi, że „wojownicza ideologia praw człowieka przyczyniła się do wielu najgorszych międzynarodowych katastrof. Główną przyczyną fiaska zbrojnych ekspedycji w epoce Blaira i Camerona było to, że obaliwszy despotyczne reżimy Saddama Husajna i Muammara Kaddafiego, zniszczyliśmy państwo irackie i libijskie i stworzyliśmy obszary anarchii, na których mogły swobodnie działać siły dżihadu".

Ale wielu fundamentalistycznym entuzjastom demokracji trudno jest przyjąć do wiadomości, że może istnieć coś znacznie gorszego od władzy tyrana, że anarchia może nieść z sobą stokroć więcej cierpień.

NIEDEMOKRATYCZNY MÓZG?

A skąd „neuro-"? Są badania nad funkcjonowaniem naszego mózgu, z których wyciągane są wnioski, że spora część (większość?) ludzi spontanicznie, tj. na poziomie nieświadomych odruchów umysłu, odbiera ładу autorytarne, organizacje hierarchiczne jako bardziej właściwe, naturalne formy istnienia zbiorowości niż ładу oparte na zasadzie równości.

Choć temat neuroautorytaryzmu w istocie wymagałby osobnej książki, tu tylko dwie uwagi sygnalne. Wystarczy chyba potoczny ogląd różnych form ładu społecznego, by dostrzec, że są takie rodzaje zadań zbiorowych, z którymi lepiej sobie radzą różnorakie sposoby kierowania niedemokratycznego. We współczesnych, nawet najlepiej zakorzenionych i krzepkich demokracjach nie brak enklaw autorytaryzmu: wojsko, tajne służby, policje, Kościoły hierarchiczne, więzienia, wielkie korporacje. Wiele osób idzie drogą zawodową, życiową w takich właśnie instytucjach nie z przymusu. Tak woli.

Oczywiście jest wiele form życia zbiorowego, gdzie demokracja sprawdza się najlepiej. Ale, zważmy, np. świat akademicki – domena badań, dociekań i odkryć – jest swoistą mieszaniną tego, co autorytarne i demokratyczne. Z jednej strony ktoś przydziela pieniądze, ktoś zatrudnia, ktoś decyduje o awansach. Z drugiej przełomowe koncepcje najlepiej rodzą się w aurze swobodnej, nieobciążonej ciężarem władczego autorytetu debaty seminaryjnej.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 45/0118/F

eprasa.pl e12a91f2d0

Sieć Przyjaciół

Dołącz teraz!

Zamów subskrypcję na 12 miesięcy, a koszulkę RED IS BAD™ o wartości 103 zł otrzymasz gratis!

koszulka damska kolor czarny lub męska kolor biały

Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp do:

- Sieci i wSieci Historii w wersji cyfrowej
- specjalnego e-wydania Sieci Extra
- newslettera z najlepszymi artykułami z portalu wPolityce.pl

Wybierz subskrypcję dla siebie:

1 miesiąc	19,99 zł
3 miesiące	49,99 zł
6 miesięcy	89,99 zł
12 miesięcy	159,99 zł

+ koszulka gratis

www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl e12a911f30

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

ORLEN — Sponsor Strategiczny

LOTTO — Sponsor Generalny

TAURON — Sponsor

4F — Sponsor Kolekcji Olimpijskiej

GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny

LOT — Oficjalny Przewoźnik

Deloitte. COLUMNA MEDICA — Partnerzy PKOl

RZECZPOSPOLITA, onet, PRZEGLĄD SPORTOWY, EUROSPORT — Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl e12a91f2d0